

PAWEŁ CIELICZKO

KARTKI PANA FERDYNANDA

WYBRANE HISTORIE Z ŻYCIA
FERDYNANDA ANTONIEGO OSSENDOWSKIEGO

PAWEŁ CIELICZKO

KARTKI PANA FERDYNANDA

PAWEŁ CIELICZKO

KARTKI PANA FERDYNANDA

WYBRANE HISTORIE Z ŻYCIA
FERDYNANDA ANTONIEGO OSSENDOWSKIEGO

POZNAŃ 2025



PATRIOCI NA WYGNANIU

Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, w Maison-Laffitte w Paryżu, słuchałem Józefa Czapskiego, który – wspominając czasy swej młodości – opowiadał mi o polskich patriotach, rozsią- nych po zaborczych imperiach, którzy pozostawali wierni Ojczyźnie, mimo że nie było jej wówczas na żadnej mapie świata. Ze szczególnym sentymentem wspominał Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego i ubolewał nad tym, że barwna i szlachetna postać pisarza została usunięta z naszej pamięci literackiej i historycznej.

Czapski był wielkim orędownikiem przywró- cenia czytelnikom książek Ossendowskiego. Uwa- żał, że pisarz zasługuje także na to, by upamiętnić go w Warszawie, mieście, które kochał, w którego życiu kulturalnym uczestniczył, któremu poświęcił swoją ostatnią książkę. Cieszę się bardzo, że jesienią 2024 roku, sto lat po tym, gdy zamieszkał w stoli- cy, Ossendowski wreszcie do niej powrócił. Został patronem alei w parku Marszałka Rydza-Śmigłego, gdzie znalazł się w doborowym towarzystwie patro- nów sąsiadujących alei: Mieczysława Grydzewskie- go, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Stanisława Balińskiego i... Józefa Czapskiego.

Pozostaje jednak pytanie, dlaczego tak wy- bitny pisarz i szczerzy patriota dopiero osiemdzie- siąt lat po śmierci i trzydzieści pięć lat po upadku komunizmu doczekał się swojego miejsca na mapie Warszawy. Odpowiedź jest prosta i smutna zarazem. Ossendowski został przez komunistów skazany na zapomnienie, najcięższy wymiar kary dla pisarza, a wyrok ten wykonano tak skrupulatnie, że trwał nawet po upadku systemu stworzonego przez tych, których z taką bezwzględnością piętnował.

Bolszewicy mieli powody, by zatrzeć wszel- kie ślady po Ossendowskim. Niewielu ludzi uczy- niło im bowiem tak wielkie szkody jak polski pisarz

i podróżnik. On przekonał świat, że współpracowali z Niemcami, co odsunęło od nich aliantów; on wspie- rał rząd białych długo walczący z czerwonymi; on umknął przed zemstą bolszewickiego reżimu, a swoją męczeńską wędrówkę przez – skrwawiony i zdemo- ralizowany – nowy, wspaniały świat opisał w książce, która opowiedziała światu prawdę o bolszewickim kraju. Największą jego zbrodnią była jednak powieść *Lenin*, która zniszczyła nieskazitelny wizerunek wodza rewolucji, kreowanego na komunistycznego świętego. Komuniści nigdy mu tego nie wybaczyli.

Gdy w styczniu 1945 roku pojawili się pod Warszawą, natychmiast upomnieli się o pisarza. Ossendowski jednak i tym razem im umknął. Defi- nitywnie. Umarł kilka dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich. Śmierć była końcem życia pisarza, ale nie pościgu za nim. Towarzysze z NKWD kazali roz- kopać jego grób, a sprowadzony siłą dentysta musiał sprawdzić jego uzębienie i potwierdzić, że w grobie faktycznie spoczywa ten, którego tak zaciekle ściga- li. Wroga Związku Sowieckiego skazano na unice- stwienie. Jego książki usuwano z bibliotek i kierow- no na przemiał. Polacy mieli na zawsze zapomnieć o Ossendowskim, wielkim człowieku i szczerym patriocie, oraz o szlachetnych ideach, które głosił.

Kartki pana Ferdynanda powstały na kanwie zabiegów o uhonorowanie Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego w przestrzeni publicznej War- szawy. Nie jest to biografia pisarza, a raczej spacer przez życie i wśród książek Pana Ferdynanda. Au- tor pięknie opowiada o dokonaniach, perypetiach, znajomościach pisarza. Czasem z powagą, czasem z uznaniem, czasem żartobliwie. Jestem przekonany (i bardzo bym tego chciał), że przyczyni się do zain- teresowania tym niezwykłym człowiekiem, kolejnych czytelników.

ŻYWOT CZŁOWIEKA NIEPOKORNEGO

Ferdynand Ossendowski przez całe życie był niepokorny, nie ulegał autorytetom, chadzał własnymi drogami i dokonywał wyborów, które nie zawsze były słuszne, często ryzykowne, ale zwykle stawały się początkiem przygód tak niewiarygodnych, że nawet proza fabularna nie była odpowiednią formą dla ich przedstawienia.

Tempo życia, pogoń za bieżącymi sprawami, rozmaite zajęcia i aktywności sprawiały, że nie miał czasu na prowadzenie dzienników. Uciekając z Rosji, nie mógł ze sobą zabrać prywatnego archiwum, stąd dziś tak trudno zrekonstruować koleje jego życia. Doświadczenia, przygody i przeżycia pisarza znamy stąd, że przerabiał je na literaturę, wykorzystując jako „budulec” dla kolejnych opowieści, zarówno autobiograficznych, jak też fikcji literackich.

Nie ułatwił zadania biografom starającym się odtworzyć koleje jego życia, które objawia im się w formie powieści szkatułkowej. Rozszyfrowanie jednego wątku, otwiera kolejny, domagający się wyjaśnienia. Gdy wydaje się, że rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki, okazuje się, że to nie były szkatułki, a labirynt, po którym krążą w beznadziejnym poszukiwaniu wyjścia. Ossendowski nas zwodzi, myli tropy, wyprowadza na manowce, wystarczy na chwilę stracić czujność, by znaleźć się daleko poza szlakiem przypadków jego życia. Jeden z jego wielbicieli wspominał, że na spotkania autorskie pisarza można było chodzić bez końca, bo te same wydarzenia nigdy nie były tak samo opowiadane.

Nikt nie potrafi jednak tak jak on snuć fascynujących opowieści, w których czytelnik nie wie,

gdzie kończy się relacja, a zaczyna fikcja artystyczna. Był prekursorem gatunku, który dekady później nazwano reportażem literackim. Dlatego postanowiłem oddać głos jemu samemu i opowiedzieć o nim w formie kilkudziesięciu krótkich opowieści, ukazujących jego różne oblicza i doświadczenia. Życie Ossendowskiego tak bardzo przenikało się bowiem z literaturą, że był zarówno narratorem, jak i bohaterem swoich książek.

Pisarstwo Ossendowskiego jest jak szlachecka sylwa, w której znaleźć można wszystko – zarówno najważniejsze wydarzenia rodzinne, jak i to co, działo się w kraju i na świecie. Ossendowski nie pozostawił autobiografii, ale cały jego pisarski dorobek to opowieść o nim samym, o jego podróżach, doświadczeniach, przemyśleniach i emocjach. Zawsze był w pędzie, zawsze w drodze, w podróży. Nie miał czasu na uporządkowanie swojej twórczości, pozostała więc taka, jaka wyszła spod jego pióra – wielogłosowa, wielowątkowa, niejednoznaczna, pełna znaków zapytania, a przede wszystkim fascynująca.

Kartki Pana Ferdynanda to krótkie fragmenty jego tekstów opatrzone komentarzami opisującymi konteksty i okoliczności ich powstania. Ta książka skonstruowana jest trochę jak menu degustacyjne, czytelnik otrzymuje rozliczne próbki pisarskie Ossendowskiego, dowiaduje się nieco o nim samym i o jego życiowej wędrówce ma okazję przekonać się, co mu zasmakuje, i dopiero wówczas zasiąść do pełnego tomu.

Nie pozostaje mi nic więcej, jak życzyć „smakowitej” lektury.

ZŁODZIEJE KSIĄŻEK



Uciekają aż się kurzy,
Do ранnego słońca blasku;
Nagle patrzą: co to znaczy?
Ludzka głowa leży w piasku.

Głowa rzekła: – „Jak się macie?
Ja nie bardzo, ledwie żyję,
Gdyż piaszczysta, straszna burza
Zasypała mnie po szyję!”

Odkopali go czym prędzej,
Do murzyńskiej wiodą wioski,
A tam krzyczą – „Niech nam żyje
Pan profesor Ossendowski!”

Bo to sławny był podróżnik,
Co wędrując poprzez knieje,
Znalazł małpkę, mądrą Kasię,
Potem jej opisał dzieje.

Podziękował im serdecznie,
Czule potem małpkę głaska:
„Gdy będziecie kiedyś w Polsce,
Przyjdźcie do mnie, jeśli łaska!”

Kornel Makuszyński
Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje

Pamiętam doskonale moment, gdy pierwszy raz zetknąłem się z nazwiskiem bohatera tej książki. Miałem wówczas kilka lat, znałem niemal na pamięć cztery księgi przygód Koziołka Matołka napisanych przez Kornela Makuszyńskiego, a zilustrowanych przez Mariana Walentynowicza, gdy otrzymałem kolejny ich komiks – *Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki*. Na jednej z ilustracji bohaterowie tego kolorowego albumu przemierzali Saharę, kiedy zobaczyli głowę zakopanego w piaskach pustyni człowieka. Podjęli natychmiastową akcję ratowniczą, a ocalonym okazał się profesor Ossendowski, polski podróżnik, którego sława dotarła nawet do afrykańskich wiosek.

Ferdynand Antoni Ossendowski zaistniał wtedy w mojej wyobraźni jako postać absolutnie niezwykła i fascynująca. Profesor, a właściwie jego głowa wystająca znad afrykańskich piasków sugerowała udział podróżnika w jakiejś egzotycznej awanturze. Miał ogromne szczęście, bo wśród bezkresnych piasków pustyni pojawili się małpka Fiki-Miki i czarnoskóry Goga-Goga, którzy uratowali go z opresji. Profesor Ossendowski jawił mi się wówczas, kilkuletniemu chłopczykowi w okularach, dla którego czytanie książek było największą przyjemnością, kimś podobnym do śmiałka, którego dziś nazwałbym Indiana Jones – archeologa, wykładowcy uniwersyteckiego, podróżnika przemierzającego najbardziej egzotyczne miejsca na Ziemi, pakującego się w największe tarapaty i co najważniejsze zawsze wychodzącego z nich obronną ręką. U schyłku lat siedemdziesiątych filmowa postać Indiany Jonesa jeszcze nie istniała, ale moją dziecięcą wyobraźnią zawładnął polski profesor, który mógłby być jej pierwowzorem.

Zapraгнаłem jak najszybciej poznać jego przygody, spodziewałem się przeczytać o niezwykłych osiągnięciach, jakich dokonał nie siłą mięśni, ale dzięki swej inteligencji i wiedzy. Niestety, okazało się, że nikt nie jest w stanie pomóc mi w odnalezieniu jakichkolwiek informacji o profesorze Ossendowskim. Ani w bibliotece szkolnej, ani nawet w miejskiej, której zasoby wydawały mi się wówczas nieprzebrane, nie było żadnej książki Ossendowskiego, a tym bardziej żadnej książki o nim samym. Bibliotekarki twierdziły, że sobie to nazwisko wymyśliłem, a gdy pokazywałem im odpowiedni obrazek w komiksie Makuszyńskiego i Walentynowicza, uśmiechały się tylko z politowaniem i wyjaśniały, że postać profesora jest tak samo fikcyjna jak postaci innych bohaterów komiksu – małpki Fiki-Miki czy jej przyjaciela Goga-Goga. Ossendowski był ich zdaniem bohaterem literackim, nie istniał człowiek o takim nazwisku, a pan Makuszyński wymyślił je sobie, żeby mu się dobrze rymowało.

Z żalem przyjąłem to wyjaśnienie i pewnie bym o moim bohaterze zapomniiał, gdyby nie zimowy wyjazd do wujostwa Skulskich, z którymi mieszkała moja babcia cioteczna. Sabina Skulska

była emerytowaną nauczycielką, seminarium pedagogiczne skończyła jeszcze przed wojną, co było synonimem jakiegoś utraconego, lepszego świata. Babcia Sabina była bardzo zainteresowana moimi dziecięcymi przemyśleniami. Uśmiechnęła się ciepło, słysząc o moich porażkach w poszukiwaniach profesora Ossendowskiego i poprosiła, abym opisał, jak sobie wyobrażałem tego bohatera i jego przygody.

Z dziecięcą fantazją opowiadałem jej o egzotycznych podróżach profesora, który potrafił nawiązać kontakt z ostatnimi przedstawicielami ludów rodzimych: Pigmejami i Masajami w Afryce, Aborygenami w Australii, Maorysami w Nowej Zelandii, łowcami głów na Papui, Indianami w dżungli amazońskiej. Mówiłem o jego poszukiwaniach zaginionych buddyjskich klasztorów w Tybecie oraz legendarnego Yeti w Himalajach. Profesor wyjeżdżał prowadzić badania naukowe, a podczas każdej wyprawy pakował się w jakieś straszliwe tarapaty, odkrywał zagubione świątynie i miejsca kultu sprzed wieków, trafiał na groźnych przestępców, ostatecznie jednak zawsze ratował świat, ocalał zapomnianą społeczność przed zniszczeniem, sam zaś powracał z gotową książką przygodową oraz uratowanym skarbem, który przekazywał do muzeum, dzięki czemu nasze zbiory były coraz bardziej imponujące. Był jak Pan Samochodzik działający z rozmachem Indiany Jonesa.

Babcia Sabina z zaciekawieniem słuchała moich opowieści i zachęcała do kolejnych. A gdy wreszcie zmęczyłem się wymyślaniem nowych historii, których bohaterem był profesor Ossendowski, w jej oczach rozbłysły wesołe chochliki, spojrzała na mnie i powiedziała: „Profesor Ossendowski istniał naprawdę. To nie jest fikcyjna postać. To był nasz wielki pisarz. Kiedy byłem w twoim wieku, a potem nieco starsza, wszyscy zaczytywaliśmy się w jego książkach. Jutro ci o nim opowiem, bo dziś już nie masz sił, żeby słuchać”. Zasnąłem, śniąc o przygodach, jakie mógłbym przeżyć w najbardziej egzotycznych rejonach świata jako asystent wielkiego podróżnika, odkrywcy, badacza, szpiega i awanturnika, profesora Ossendowskiego.

Plan na kolejny dzień ferii zakładał, że pójde na poranek filmowy i na zajęcia do centrum kultury, ja jednak wolałem zostać w domu i poznać opowieści babci Sabiny. Jak bowiem miałbym oglądać kreskówki o Pampalinim, niezbyt rozbarniętym łowcy zwierząt, skoro mogłem słuchać historii o profesorze Ossendowskim. W pokoju babci Sabiny usiadłem na miękkim dywanie przy dębowym sekretarzyku i zaśłuchałem się w jej, a właściwie jego opowieściach. Słuchałem zafascynowany, bo babcia Skulska wspaniale opowiadała, a gdy przypominała sobie zdarzenia z czasów swojego dzieciństwa wraz z nimi wracał język kresowych Polaków, tak wspaniały, tak śpiewny, coraz bardziej zapominany.

Opowiedziała mi wówczas o wielkim, indyjskim słoniu Dimbo, który wpadł w sidła kłusowni-

ków i pewnie umarłby z głodu albo stał się ofiarą tygrysa, gdyby z opresji nie uratował go ubogi, samotny chłopiec o imieniu Tulor. Dimbo zrezygnował z życia w dżungli i pomagał Tulorowi, nie z przymusu, ale z miłości do chłopca, który uratował go przed śmiercią.

Mówiła też o innym słoniu, Gustawie, który pracował w cyrku i wraz z innymi zwierzętami zbuntował się przeciw tresurze, przemocy i występom przed publicznością. W czasach mojego dzieciństwa pokazy tresowanych zwierząt cyrkowych były czymś zupełnie oczywistym, a babcia wyznała, że po przeczytaniu książki *Zwierzyniec* profesora Ossendowskiego nigdy już nie odwiedziła cyrku, bo zrozumiała, jak bardzo zwierzęta cierpią, by dostarczać nam rozrywki.

Wzruszyła mnie opowieść o białej suczce, która wabiła się Czao-Ra i razem z myśliwym Maruszem przemierzała zaśnieżone połacie tajgi i tundry, pomagając mu w polowaniach na zające, kuny i lisy. Pewnego dnia zostali zaatakowani przez wielkiego niedźwiedzia. Pokonali go po ciężkiej walce, ale myśliwy miał złamaną nogę i nie mógł się poruszać. Czao-Ra wyruszyła więc samotnie przez zasypaną śniegiem krainę, by sprowadzić pomoc.

Poznałem także *Życie i przygody małpki* – szympanszki o imieniu Kaśka, której stado zginęło, a ona podarowana została profesorowi Ossendowskiemu i mieszkała z nim i jego żoną w Warszawie. Gdy małpka umarła, profesor znalazł jej pamiętnik wydrapany na kawałkach kory, a jego przyjaciel, inny profesor, zajmujący się rozszyfrowywaniem starożytnych języków, odczytał go. I dzięki temu mogliśmy poznać świat widziany oczami małej małpki.

Z zachwytem słuchałem opowieści o chłopcach, którzy jak ja uczyli się w szkole, ale w wakacje wyjeżdżali w egzotyczne podróże. Tak było z Jurkiem, który popłynął do Afryki, gdzie jego ojciec kierował tartakiem na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Bohater zaprzyjaźnił się z czarnoskórym chłopcem o imieniu Herkules oraz z amerykańskim podróżnikiem, panem Burneyem, którzy odsłoniли przed nim niezwykle sekrety przyrody Czarnego Łądu.

Od wakacyjnego wyjazdu na egzotyczną wyspę, gdzie na plantacji herbaty pracują jego rodzice, rozpoczynały się także przygody czternastoletniego Władka. Bohater powieści *Skarb wysp Andamańskich* zaprzyjaźnił się z Dżairem, wnukiem słynnego wodza, porwanego przed laty przez brytyjskiego gubernatora, pragnącego przejąć jego kolekcję pereł. Nastolatkomie szybko przełamują różnice kulturowe i wspólnie odkrywają uroki wyspy. Dobry czas kończy się, gdy zostają porwani i uwięzieni w górach przez przedstawicieli konkurencyjnego plemienia.

Poruszyła mnie historia trojga rodzeństwa: Henryka, Romka i Irenki. Bohaterowie powieści *Mali zwycięzcy* przez wiele miesięcy musieli sami sobie radzić z wyzwaniem oraz niebezpieczeństwami,

jakie rzuciła im kapryśna natura na pustyni Szamo w Azji Centralnej. Dzieci samodzielnie musiały zdobywać wodę i pożywienie, zbudować sobie schronienie, nauczyć się polować, łowić ryby, rozpoznawać rośliny, słowem musiały nabyć sztukę przetrwania.

Najbardziej przejmująca była chyba jednak opowieść babci Sabiny o bohaterach ostatniej książki Ossendowskiego *Wacek i jego pies*, którą opatrzył podtytułem *Opowiadanie dla młodzieży z czasów ostatniej wojny*. Książka ukazała się w 1946 roku, już po śmierci autora, a opowiadała o przyjaźni chłopca Wacka Wężyka i psa Mikusia, w którego żyłach płynęła wilcza krew. Chłopiec był sierotą, jego ojca zabili Niemcy, gdy bronił ich domu, a matka umarła we wsi, gdzie wraz z synem dotarła po wygnaniu ich z Wielkopolski. Tam właśnie spotkali się chłopiec i wilczek. Niemcy wkrótce spalili wieś, a dorosłych mieszkańców zabrali na roboty do Rzeszy. Wacek i pies kolejne schronienie znaleźli u gajowego mieszkającego w puszczy, której stali się obrońcami. Pamiętam, że ta prosta opowieść o relacji między chłopcem i psem, ale także o obowiązku obrony swojego „terytorium” i potrzebie pomszczenia doznanych krzywd bardzo mnie wzruszyła i na długie lata zapadła w pamięć.

Z wypiekami na twarzy słuchałem opowieści o bohaterach książek Ferdynanda Ossendowskiego i zupełnie nie rozumiałem, dlaczego nie ma ich w żadnej bibliotece. Byłem przekonany, że uczniowie chętnie czytali by te jego „przygodówki”, poznawali dzięki nim odległe kraje, a także historię własnej ojczyzny. Wykreowani przez niego bohaterowie, mimo że pochodzili z dalekich kontynentów, byli mi znacznie bliżsi niż postaci z zalegających w naszej bibliotece książeczek opowiadających podobno o problemach moich rówieśników, wydawanych w serii Biblioteki Błękitnych Tarcz. Jeszcze bliżsi byli mi bohaterowie powieści historycznych Ossendowskiego, którzy walczyli z Krzyżakami, Tatarami, Moskalami, Kozakami czy Turkami, a z którymi ni jak nie mogli rywalizować partyzanci z książeczek wydawanych w serii z tygrysem.

Pytałem babcię Sabine, dlaczego w szkolnych bibliotekach nie ma książek Ossendowskiego. Uśmiechnęła się tylko smutno i stwierdziła tajemniczo: „Zaraz po wojnie jeszcze były, a potem wszystkie zniknęły”. Nie znałem wówczas okoliczności ich zniknięcia, myślałem, że ktoś je wypożyczył i nie oddał do biblioteki, bo tak mu się spodobały. „Ale przecież można było sprawdzić na karcie, kto je zabrał” – nie ustępowałem. „Oni nie wypisywali kart bibliotecznych, oni po prostu je zabrali” – zakończyła babcia Skulska, a ja wyobraziłem sobie szajkę groźnych przestępców włamujących się do kolejnych szkół, by okradać biblioteki z książek Ossendowskiego. W zasadzie się nie pomyliłem, nie miałem tylko pojęcia, że ta czerwona szajka była tak potężna, że na ponad czterdzieści lat zawładnęła całym krajem.

Z LISEM W HERBIE

Lisowie, którzy białą wierzchołek strzały z dwoma strzałami białymi w polu czerwonym i lisa w hełmie noszą. Polscy rycerze, wśród których mało osób elokwentnych.

Jan Długosz
Insygnia lub klejnoty Króla i Królestwa Polskiego

Opowieść biograficzną rozpoczyna się zwykle od wywodu przodków, bo w postaciach krewnych i ich postępkach, znanych z rodzinnych opowieści, odnaleźć można często klucz do zrozumienia wyborów życiowych, jakich dokonywał później ich potomek. W przypadku Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego ten „wytrych genealogiczny” wydaje się szczególnie skuteczny, bo nie ograniczał się on do poszukiwania kolejnych gałęzi drzewa genealogicznego, by czerpać dumę z dokonań rodzinnych. On swoich przodków wymyślał i czynił ich bohaterami literackimi swoich powieści historycznych. Byli to ludzie odważni i zuchwali, czasem może zbyt popędliwi i narwani, ale zawsze szlachetni, gotowi do wszelkich poświęceń dla rodziny i ojczyzny.

Pisarz wielokrotnie mówił, że jego przodkowie pieczętowali się herbem Chytry Lis, a pochodzili ze starego, rycerskiego rodu Lisów. Afiliacji tej nie potwierdzały niestety staropolskie herbarze. Ossendowscy nie występowali wśród Lisów w *Herbach rycerstwa polskiego* (1584) Bartosza Paprockiego ani w czterotomowym *Herbarzu polskim* (1728-1743) Kaspra Niesieckiego, a nawet w imponującej rozmiarami, dwunastotomowej *Polskiej encyklopedii szlacheckiej* (1934-1939). Ich nazwisko pojawiło się wśród rodzin uprawnionych do posługiwania się herbem Lis dopiero w *Herbarzu Polski od średniowiecza do XX wieku* (2007), opracowanym przez Tadeusza Gajla. Czymże jednak są dokumenty wobec wyobraźni, zwłaszcza tak bujnej jak wyobraźnia Ferdynanda Ossendowskiego? Stefan Krzywoszyński pisał, że jego *porywisty talent opowiadaczy i polotna wyobraźnia sprawiały, że [...] nie zawsze sam odróżniał, co było wytworem fantazji, a co ścisłością sprawozdawczą, ale zawsze święcie wierzył w to, co opowiadał*. Skoro zaś był on przekonany, że znakiem jego rodziny był herb Lis, to warto się przyjrzeć tradycjom związanym z tym rodem.

Jan Długosz w najstarszym polskim herbarzu *Insygnia lub klejnoty Króla i Królestwa Polskiego* (1464-1480) blazonował, czyli opisał herb Lis zgodnie z regułami heraldyki, a jego posiadaczy określił jako ludzi niezbyt wymownych. Jeśli Ossendowski faktycznie miał Lisa w herbie, to wyrodził się ze swojej rodziny, bo trudno sobie wyobrazić człowieka bardziej niż on elokwentnego.

Legenda herbowa Lisów głosi, że w tarczy herbowej średniowiecznych przodków naszego bohatera znajdował się po prostu lis, a obecną formę zyskała ona w wyniku wydarzenia, które Kasper Niesiecki szczegółowo przytoczył w swoim herbarzu. Wydarzyć się to miało w 1058 roku, za panowania Kazimierza Odnowiciela, który walczył z niszczącymi kraj Litwinami i Jadrzyngami. W pogoń za oddziałami pogańskich barbarzyńców posłał niewielki oddział dowodzony przez rycerza z rodu Lisów, który wytopił obóz wrogów rozbitą nad rzeką. Rycerz wiedział, że sam nie podoła przeciwnikom, poczekał więc aż

zapadnie zmierzch i wystrzelił wysoko w górę zapaloną strzałę. Władca ujrzał sygnał na niebie, pojął jego znaczenie i natychmiast wyruszył we wskazanym kierunku. Dotarłszy do Bzury, ruszył swymi wojskami z dwóch stron na przeciwników i zwyciężył. Wdzięczny monarcha nadał pomysłowemu rycerzowi nowy herb – białą strzałę z dwoma poprzeczkami, Lisa zaś przeniósł do klejnotu herbowego. Pan Ferdynand musiał być bardzo dumny z tak odważnego i rozumnego przodka. Jako zapalony myśliwy doceniał w nim doskonałego tropiciela. Przede wszystkim jednak widział w swoim przodku cechy, które i jemu samemu pozwoliły wielokrotnie wyjść cało z wielkich opresji czy odnieść zwycięstwo bez nadmiernego narażania się.

Pan Ferdynand nie odnalazł śladów swych przodków w starych herbarzach czy kronikach. Niefaska historia zapamiętała innych, często znacznie mniej na to zasługujących. Nie miało to jednak wpływu na jego opinię o własnym rodzie, a innych postanowił do niej przekonać. Bohaterami swych powieści historycznych czynił kolejnych przedstawicieli rodu Lisów, którzy zawsze byli blisko spraw najważniejszych dla ojczyzny, walczyli dla niej, a wrodzone szczęście i nabyta przezorność sprawiały, że potrafili unikać śmierci, dzięki czemu przedłużali ten zacy ród o kolejne pokolenia.



Herb szlachecki Lis

Z RODU KNIAZIOM RÓWNEGO



Ilustracje w tym rozdziale pochodzą
z książki *Wańko z Lisowa*
(autor książki: Ferdynand Antoni Ossendowski,
autor ilustracji: Konstanty Sopoćko)

W każdym dobrym dziele, kniaziu,
gniazdo Lisowe przy tobie stanie!
Możny nasz ród, kniaziom równy,
bo z Piastami od początków
władania ziemią lechicką krew
lali bez ustanku. Mężowie na
radzie mądrzy, a w boju pierwsi,
bo mocarni, sposobni do miecza,
włóczni, topora i innej zbroi.
Dwadzieścia gniazd Lisowych
tkwi w ziemi łęczyckiej z nurtem
Bzury. [...] Gdy wici rzucają po
osiedlach, dwie albo więcej setek
Lisów się uzbiera, bez drużynników
i pachółków zbrojnych.
[...] Za rubieżą naszą na Jaćwingach
odrobili swoją Strzałę i Lisa.
Za dzielność i spryt, a przydarzyło
się to wtedy, gdy królował,
bez podziału siedząc na tronie,
Kazimierz Mieszkowicz, szczery,
prawy Piast.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Wańko z Lisowa

Osobisty wywód przodków literackich Ossendowski rozpoczął od Wacława Lisa, bohatera powieści *Wańko z Lisowa* (z 1928 roku), której akcja rozgrywa się w XIII wieku, w czasach rozbicia dzielnicowego Polski, gdy piastowscy książęta walczą zawzięcie o swoje interesy, nie zważając na to, że ich spory oddalają możliwość scalenia i odbudowania Królestwa Polskiego. Bohater powieści pochodzi z Lisowa, gniazda rodu, znajdującego się na ziemi łęczyckiej na Kujawach, nad którymi władzę sprawuje książę Konrad Mazowiecki. Tereny nad Bałtykiem zamieszkują jeszcze pogańskie plemiona Jaćwingów, Prusów i Litwinów, a z ziemi chełmińskiej rozpoczyna się już ekspansja niemieckich rycerzy zakonnych zwanych potocznie Krzyżakami. Książę zaprosił ich, aby zabezpieczyli północne granice Mazowsza przed najazdami pogan i wsparli go w ich chrystianizacji, oni zaś wznoszą potężne, ceglane zamki, co oznacza, że zamierzają tu pozostać na dłużej. Jakby nie szczęście było mało, od azjatyckiego wielkiego stepu ciągną hordy mongolskich wojowników. Jeźdźcy na małych konikach obracają w perzynę Ruś Kijowską i zaczynają pustoszyć ziemie polskie. Arcybiskup gnieźnieński Pełka, który stara się przekonać piastowskich książąt, aby zawiesili spory i połączyli siły w obronie przed nadciągającymi barbarzyńcami, z misją specjalną wysyła swego młodego krewnego Wacława z Lisowa.

Dla niepokornego, zuchwałego i do szaleństwa odważnego młodzieńca najważniejszymi wartościami są Bóg, honor i ojczyzna, a w ich obronie nie waha się stanąć w szranki z podstępny księciem mazowieckim i jego sługami, bezwzględny krzyżackim komandorem, a nawet z niedźwiedziem. Młody Lis ma wpływ na najważniejsze decyzje podejmowane przez Jaćwingów, Krzyżaków, Piastów, a nawet króla czeskiego Wacława czy węgierskiego władcę Belę. Udaje mu się przekonać ich wszystkich do podjęcia wspólnego wysiłku i ratowania cywilizacji chrześcijańskiej przed popadnięciem w azjatyckie jarzmo. Jego rola w bitwie pod Legnicą oraz w kolejnych potyczkach z mongolskimi oddziałami sprawiła, że inwazja została powstrzymana, a najjeźdźcy nie poszli za Odrę, Łabę i Ren, ale wycofali się za Wisłę, za Bug, a w końcu za Dniestr.

Wańko z Lisowa dobrze wykonał swoje zadanie, a jego nagrodą było małżeństwo z Jolentą, córką jaćwińskiego kniazia Soderycha. Jej matką chrzestną była święta Jadwiga Śląska, żona księcia Henryka Brodatego, matka poległego na legnickim polu księcia Henryka Pobożnego, która osobiście przybyła na ślub, pobłogosławiona przez arcybiskupa Pełkę.

Podobnie jak z Wacławem było ze Spycigniewem Lisem, bohaterem kolejnej powieści historycznej Ossendowskiego. Sposobem jej publikacji pisarz nawiązywał do swojego mistrza, Henryka Sienkiewicza, który *Krzyżaków* czy *Trylogię* publikował w cotygodniowych odcinkach. Podobnie było

z *Na straży!*, której kolejne części ukazywały się w „Małym Dzienniku”, a cała książka wydana została w 1937 roku. Wydawca promował ją pisząc, że „oczaruje nas legendą wieków, potęgą turniejów, błyskiem piorunowym miecza, płomieniem bohaterstwa i poświęcenia, poezją czystej i wzniosłej miłości. Nieprzeliczone szeregi zakutych w stal rycerzy, bezkresne puszcze i ponure zamczyska krzyżackie powstaną przed oczyma naszych Czytelników”. Akcja powieści rozpoczyna się na legnickim zamku księcia Bolesława Rogatki, najstarszego syna poległego pod Legnicą Henryka Pobożnego, gdzie pojawia się, umykający przed zemstą Krzyżaków, Spycigniew Lis.

Przodkowie pana Ferdynanda, już od początku jego sagi rodu Lisów, okazują się jednymi z najznakomitszych rycerzy polskich. Byli jednak skromni, nie chępli się swoimi sukcesami i nie interesowało ich dworskie życie, nie pisali więc o nich średniowieczni kronikarze. Białe plamy wypełniły dopiero powieści historyczne pisane przez ich potomka.



WALECZNE ORŁY



Rembrandt
Jeździec polski

Na twarde i niebezpieczne posługi
woła nas Król i Ojczyzna, ale też
dozwoliły zakazanych innym
pułkom wolności i zysków.
W orężu i odwadze cały nasz żołd,
cała nagroda. Pewniejsze one będą
niż zawodne z publicznego skarbu
zapłaty. Niepospolitej ja od was
żądam odwagi! Jeżeli jeden wśród
was jest, który by na wymierzone
przed sobą działo nie rzucił się,
jeden nie uderzył na pięciu,
gdy ja rozkażę, nie wskoczył
pierwszy na mury, lub w bystre
i głębokie nurty, niech
do szeregów moich nie dąży!
Orężem waszym będą szabla
i rusznica, łuk z sajdakiem,
rohatyna, koń lekki i wytrwały;
ani wozów, ni taborów, ani ciurów
nie ścierpię! Wszystko nosić
będziecie ze sobą. Nie wymagam ja
po was gładkich w szyku obrotów,
ino natrzeć zuchwale,

kiedy potrzeba rozsypać się,
zmylić ucieczkę, znów się odwrócić
i nieprzyjaciela obskoczyć, to – dzieło
nasze! Dam odpoczynek, gdy czas po
temu, lecz w potrzebie, w pracach
waszych znać nie będziecie ni dnia,
ni nocy. Przebiegać najodleglejsze
szlaki nieprzyjacielskie, krainy palić,
wsie burzyć i miasta, pędzić przed
sobą trzody bydła i jeńców tysiące,
nie przepuszczać nikomu –
to odtąd stać się ma jedynym
zatrudnieniem waszym!

Ferdynand Antoni Ossendowski
Lisowczycy



Okładka książki
Lisowczycy Ferdynanda
Antoniego Ossendowskiego

Pan Ferdynand wiedział, że Ossendowscy wywodzą się z Osędowic na Kujawach i tam właśnie umieścił gniazdo rodowe swoich literackich przodków, którzy pochodzić mieli z Lisowa na Kujawach.

Osędowice w rzeczywistości były niewielką wsią szlachecką położoną na ziemi łęczyckiej. Szlacheckość wsi nie dowodziła rycerskich tradycji jej właścicieli, wskazywała jedynie na to, że we wsi nie było żadnych chłopów, a mieszkali w niej i pracowali wyłącznie jej szlacheccy właściciele, co nie świadczyło o ich szczególnej zamożności. Potwierdzają to zresztą rejestry poborowe z 1576 roku. Wynika z nich, że niewielki majątek podzielony był pomiędzy Pawła i Mikołaja Ossędowskich Szadlibotów, którzy wspólnie posiadali jeden łan ziemi, oraz Augusta i Mikołaja Ossędowskich Kozłowiczów, którzy także razem dysponowali jednym łanem. Przodkowie Ossendowskiego byli więc bardzo ubogimi posesjonatami, co uświadamia porównanie, że przy lokacji wsi jeden łan przyznawano wówczas każdemu chłopu, wójtowi zaś nie mniej niż trzy łany.

Trudno się dziwić, że dumni potomkowie rycerskiego rodu nie chcieli żyć gorzej od włościan i szukali okazji, by zmienić swoje położenie, a udział w wojnie był ku temu najlepszą sposobnością. Pod koniec XVII wieku nie ma ich już w Osędowicach, których właścicielami są wówczas Janiccy i Gajewscy. Ossendowskich odnajdujemy natomiast na północnym wschodzie Rzeczypospolitej. Tam właśnie, w Inflantach Polskich, dzięki spektakularnym sukcesom państwa polsko-litewskiego, pojawiły się fantastyczne perspektywy dla ludzi odważnych i operatywnych. Pisarz przenosiny znad Bzury nad Dźwinę wyjaśniał nie biedą swoich przodków, ale ich odwagą i gotowością do poświęceń dla ojczyzny. Pisał, że po zwycięstwach odniesionych przez króla Stefana Batorego nad Moskwą opuścili oni swoje siedziby i osiedlili się w rejonie Pskowa, strzegąc najdalej na wschód wysuniętych polskich placówek wojskowych.

Pan Ferdynand nie napisał o tym, jak jego przodkowie zdobywali z Batorym Smoleńsk i Psków, bo ich pewnie nie było na tak ryzykownej wyprawie wojennej. Umieścił ich natomiast wśród tych, którzy pod wodzą hetmana Stanisława Żółkiewskiego zdobyli Moskwę i panowali na Kremlu. Jego literackiego przodka, Marcina Lisa, poznajemy jako żołnierza, który wraz z kuzynami zasilą szeregi oddziału lekkiej jazdy polskiej, sformowanego przez Józefa Aleksandra Lisowskiego. Tytułowi Lisowczycy (powieść o takim tytule wydana została w 1928 roku) byli w XVII wieku najbardziej znanymi i pożądanymi najemnikami na świecie, stanowili postrach pól bitewnych całej Europy, bowiem walczyli zarówno dla Rzeczypospolitej, jak i jako wojsko zaciężne we Francji, Włoszech, krajach niemieckich, Rosji, a nawet w Finlandii. Doskonale wyszkoleni jeźdźcy na małych koniach, uzbrojeni w zakrzywione szable, rohatyny oraz łuki lub rusznice, wywoływali popłoch

wśród przeciwników i przerażenie ludności, która znalazła się na ich krwawym szlaku. Bohaterowie powieści przemierzają ziemie ruskie, kraj spalonych wsi, zrujnowanych miast i zdegenerowanych przez wojnę ludzi. Sami włączają się w ten szalony korowód śmierci i zniszczenia, rabując na poczet należnego im żołdu.

Lisowie dołączają do wielkiej wyprawy, której celem jest osadzenie na moskiewskim tronie księcia Władysława, syna polskiego króla Zygmunta III Wazy. Są ludźmi dumnymi, wolnymi, do szaleństwa odważnymi, ale też bezwzględными, którzy w walce dla Rzeczypospolitej nie cofną się przed zbrodnią i okrucieństwem. Pisarz widział ich jako waleczne orły i tak pierwotnie zatytułował powieść, której brudnopis przechowywany jest w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

PANOWIE NA INFLANTACH



Okladka książki
Zagonec Ferdynanda
Antoniego Ossendowskiego

Skończyła się wojna moskiewska, acz niezupełną przewagą Rzeczypospolitej... 11 grudnia roku 1618 stanęła wiekopomna, nad rzeką Dywiliną, ugoda pomiędzy Polską a Moskwą. Pokój na lat czternaście utwierdzony został. Ziemie: smoleńską, siewierską, czernichowską, część pskowskiej i Białej Rusi car Michał zmuszony był odstąpić Koronie Polskiej i zrzec się tytułów księcia inflanckiego, smoleńskiego i czernichowskiego. Królewicz Władysław, aczkolwiek nie cofnął swych praw do tronu moskiewskiego, posłał Michałowi najznamienitszych więźniów. [...] Wycofał swe bitne wojska hetman Jan Karol Chodkiewicz i na rubieży legł, baczne oko mając na podstępного sąsiada od wschodu oraz na grożącego od północy Szweda.

Polska zaczęła się, skupiona, niby do skoku gotowa, gdyż zawszą w owe czasy czyhał na nią wróg, a od południa podążała najstraszniejsza burza wojenna. Kipiało w ziemi Wołoskiej i od Stambułu załatywały podmuchy orkanu tureckiego...

Ferdynand Antoni Ossendowski
Zagończyk

Kontynuacją *Lisowczyków* jest powieść *Zagończyk* (z 1931 roku), której akcja rozpoczyna się wraz z zakończeniem wojen moskiewskich, co oznaczało brak zajęcia dla oddziału wojsk zaciężnych Aleksandra Lisowskiego. Bohaterem tej powieści jest kolejny wyimaginowany przodek pisarza – Andrzej Lis, rotmistrz lisowczyków, który wysłany zostaje na pomoc obleganemu przez buntowników Wiedniowi.

Jest to kolejna powieść Ossendowskiego napisana w stylu płaszcza i szpady, choć jej bohaterowie, kreśleni grubą kreską, w jednoznacznych, czarno-białych barwach, bardziej pasowałyby do konwencji westernu. Powieść doskonale realizuje sienkiewiczowski wzorzec konstrukcji narracji. Jej ramę fabularną stanowią wydarzenia z dziejów siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która znajdowała się wówczas u szczytu swej potęgi, a równocześnie u progu upadku. Fikcyjni bohaterowie umieszczeni zostają w historycznych dekoracjach i uczestniczą w ważnych wydarzeniach, nie brakuje opisów walk i potyczek, obrazów życia codziennego, a także wątku miłosnego.

Prawdziwi przodkowie pana Ferdynanda, podobnie jak wykreowani przez niego bohaterowie literaccy, „służyli w wojsku w kampanii moskiewskiej i licznie zasilali szeregi lisowczyków”. Oddziały lekkiej jazdy polskiej sformowane przez Lisowskiego w 1609 roku wspierały Dymitra II Samozwańca, zaangażowały się także w kampanię moskiewską, a hetman Jan Chodkiewicz zlecił im zadanie zniszczenia nieobjętych działaniami wojennymi terenów Rosji, stanowiących zaplecze dla armii rosyjskiej. Tam narodziła się czarna legenda Lisowczyków,

a raczej ich złowieszcza sława. Określano ich jako jeźdźców apokalipsy, bo ich szlak znały gwałt, rabunek, śmierć i ogień; po ich przejściu pozostawały niepogrzebane trupy, ruiny, zgliszcza i spalona ziemia. Po zakończeniu wojen moskiewskich walczyli na frontach całej Europy, uchodząc za najstraszliwszych kondotierów wojny trzydziestoletniej. Żołdu z reguły im nie wypłacono, a należne, i nienależne, im pieniądze ściągali z ludności cywilnej. W taki sposób swój majątek zbudował zapewne Karol Ossendowski, który w 1636 roku stał się właścicielem majątku Humelmujże w Inflantach Polskich.

Uzyskanie dóbr ziemskich nie zmieniło jednak charakteru Lisów (Ossendowskich) i nie uczyniło z nich zasiedziały gospodarzy. Kolejnego przedstawiciela tego rodu poznajemy jako bohatera powieści historycznej *Pod sztandarami Sobieskiego* (z 1938 roku), w której przodkowie pana Ferdynanda wspierają hetmana, a potem króla Jana III w jego walkach z Tatarami i Turkami. W powieści widać wyraźnie wpływy lektury *Trylogii* Sienkiewicza, ale też osobiste doświadczenia autora związane z jego przeżyciami z młodości, którą spędził u stóp twierdzy kamienieckiej. Krytycy uznali tę powieść Ossendowskiego za „hurrapatriotyczną opowiastkę o tym, jak garstka dzielnych obrońców ojczyzny potrafi przeciwstawić się nieprzelicznym rzeszom najeźdźców”. Zważywszy jednak, że książka wydana została w 1938 roku, kilkanaście miesięcy przed tym, gdy dwaj potężni sąsiedzi napadli na Polskę, należy chyba nieco rozgrzeszać ten „hurrapatriotyzm” i traktować go bardziej w kategorii mobilizowania do dzielnej obrony ojczyzny budującymi przykładami z przeszłości.

KARTKI PANA FERDYNANDA

Spadkobiercy Karola Ossendowskiego dobrze gospodarzyli inflanckimi dobrami albo też z łupów wojennych zyskiwali środki na ich powiększenie. Prawnuk Karola, Ludwik Ossendowski, występuje już bowiem jako właściciel trzech wsi: Humelmujża, Mzury oraz Lisów, a jako panów tych majątków odnajdujemy jeszcze jego synów: Felicjana, Józefa i Wincentego, z których ostatni był pradiadkiem pisarza. Znaleźć można jednak przekazy, z których wynika, że majątności Ossendowskich, oprócz ich inflanckiego gniazda, wsi Homełmujże, obejmowały także Dewalemujże, Pokumino, Witkopowszczyznę i Żytniewo, a w ich posiadanie weszli dzięki spadkowi otrzymanemu po – zmarłym w 1587 roku – wielkim mistrzu krajowym zakonu krzyżackiego w Inflantach, Gotlardzie Kettlerze.

Pokrewieństwo czy powinowactwo z tak znamienną postacią jak założyciel dynastii książąt kurlandzkich byłoby wyjaśnieniem urzędów, jakie w Rzeczypospolitej pełnili przodkowie pisarza, wśród których odnaleźć można: wojewodzie smoleńskiego, kasztelana czernichowskiego, starościca inflanckiego czy łowczego inflanckiego. Przodek Pana Ferdynanda, niejaki Kasper Ossendowski, był podobno jednym z 72 kawalerów – ustanowionego w 1634 roku przez króla Władysława IV Wazę – Orderu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, który zatwierdzony został papieską bullą, ale jego idea nie spotkała się z uznaniem szlachty i order zlikwidowano w 1638 roku. Najwyższy tytuł przypadł zaś Stanisławowi Ossendowskiemu – biskupowi, protonotariuszowi Stolicy Apostolskiej, profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorowi książek historycznych o czasach Wazów, któremu cesarz Napoleon Bonaparte nadał tytuł hrabiego de Varzin.

Być może to właśnie wyrażne opowiadanie się po stronie Napoleona sprawiło, że po jego klęsce Ossendowsy pozbawieni zostali majątków i tytułów. Kampania moskiewska z 1612 roku stała się początkiem kariery tego rodu w Inflantach, dwieście lat później, kampania moskiewska z 1812 roku stała się początkiem upadku Ossendowskich.



Władysław IV
sportretowany
przez Rubensa



Michał I Romanow

PANOWIE NA INFLANTACH

MOCNI LUDZIE



Fridtjof Nansen
Samojedzi, 1913

Byłem rosyjskim człowiekiem,
na rosyjskiego oficera kształcono
mnie; żyłem w zachwycie przed
potęgą ogromnego imperium
naszego i nagle – nie jestem
Rosjaninem... a budzące we mnie
dreszcz oddania i zachwytu

nasze imperium nie jest wcale
moim... Urodziłem się Polakiem...
Nauczyciele i pop korpusowy tak
często powtarzali nam, że Polska,
która „nierządem stoi, przegniła do
reszty“, musiano ją więc ratować,
zaprowadzić ład i porządek,
uszcześliwić naród... Trzech
największych monarchów –
rosyjska cesarzowa, król pruski
i imperator austriacki podzielili
Polskę i zaczęli rządzić...
Niewdzięczny naród nie chciał się
poddąć. Zuchwały bunt... Polacy –
buntownicy...

Ferdynand Antoni Ossendowski
Trębacz cesarski

Losy kolejnych literackich przodków pisarza potraktować można jako próbę zmierzenia się przez niego z problemem porzucenia własnej tożsamości narodowej, który dotknął najbardziej znamienitych i zasłużonych przedstawicieli rodzin szlacheckich. Zapominali oni o swoich polskich korzeniach, by robić kariery w armii i aparacie zaborczego państwa. Podobny problem dotknął Lisów, których kolejnego potomka, Władzia Lisa, poznamy jako członka carskiego Korpusu Kadetów w Petersburgu. Życie bohatera powieści *Trębacz cesarski* (1930) zmienia się jednak zasadniczo, gdy przypadkiem dowiaduje się on o swoim polskim pochodzeniu i zaczyna poznawać prawdziwe dzieje swego rodu.

Gdy wybuchła powstanie listopadowe, nie ma żadnych wątpliwości, po której stronie powinien stanąć, dołącza do insurekcji i walczy w powstańczych szeregach jako porucznik wojsk polskich. Gdy powstanie upada, a on dostaje się do rosyjskiej niewoli, nie prosi o carską łaskę, ale z dumą przyjmuje wyrok zesłania na Syberię. Pomimo upadku powstania i marzeń o wolnej Polsce, Władzio Lis czuje się zwycięzcą, tym bardziej, że na katordze postanawia mu towarzyszyć jego młoda żona, poznana jeszcze w Petersburgu Julianna Truszkowska. Oboje wiedzą, że polskość wymaga poświęceń, ale jest ich warta.

Do postaci Władysława i Julianny Lisów, Ossendowski powraca w powieści *Mocni ludzie* (1935), opowiadającej o ich zesłaniu do syberyjskiej głuszy. Bohater powieści to „Polak cnót wszelakich”, jest inteligentny, odważny, zaradny, bystry, silny i szlachetny, czym zyskuje sobie natychmiast szacunek Samojedów, mieszkańców syberyjskiej wioski. Błyskawicznie potrafi dostosować się do warunków życia w odległym kraju i pomaga tubylcom rozwiązać dręczące ich problemy: chroni osadę przed dzierstwem carskich urzędników, znajduje metodę na zapobieżenie okresowemu śnięciu ryb w rzece, a nawet potrafi przekonać współmieszkańców do porzucenia barbarzyńskich praktyk i rytuałów utrwalonych wielowiekową praktyką.

Równie świetlista jest postać jego żony Juliany, stanowiącej z kolei wzór cnót niewieścich – jest piękna, dobra, szlachetna, mądra, a także wierna, lojalna i posłuszna mężowi. Wraz z nim zakłada szkołę domową i uczy samojedzkie dzieci czytania i pisanie. Przekazuje mieszkańcom praktyczne umiejętności: kobiety uczy kroju, szycia i haftowania, mężczyźni zaś zachęca do uprawy ziemniaków, które pozwolą ich rodzinom przeżyć najtrudniejsze miesiące syberyjskiej zimy. Okazuje się także doskonałą lekarzką, która pomaga miejscowym w leczeniu chorób, a swoimi kompetencjami medycznymi imponuje nawet carskiemu naczelnemu lekarzowi, który bierze ją za wykształconego lekarza, bo przez myśl mu nie przechodzi, że wiedzę czerpie jedynie z przesłanych jej przez rodzinę poradników.

Najważniejszym walorem tej książki są ludzie, których Ossendowski pokazał w sposób niezwykle wnikliwy. Obraz polskich zesłańców i rosyjskich administratorów jest uproszczony, czarno-biały, znany z innych powieści. Zupełną nowością są natomiast opisy Samojedów, autochtonicznych mieszkańców Syberii, przedstawionych jako postaci z krwi i kości, a nie jako bezimienna masa tubylcza, nieoświecona, niewykształcona, żyjąca jedynie dzięki rosyjskiej cywilizacji, z której dobrodziejstw nie potrafi nawet skorzystać. Pisarz pokazuje ich jako ludzi odważnych, dumnych, niezłomnych, uczciwych, którzy potrafią przetrwać wbrew trudnym warunkom, w jakich przyszło im żyć. Znamienne jest, że Samojedzi świadomie odrzucają kulturę rosyjską, by nie uzależnić się od najeźdźcy. To są prawdziwi mocni ludzie,

tak niewiele różniący się od Polaków zmuszonych żyć pod zaborami, ludzie zasługujący na to, by rządzić swoim krajem i żyć według własnych reguł.

Opowieść o zesłaniu Lisów to kolejny etap literackiej genealogii Ossendowskiego. Tym razem fabuła nawiązuje do rodzinnej historii matki pisarza. Bortkowiczowie bowiem za wspieranie powstańców styczniowych zostali pozbawieni majątków i zesłani na Sybir. Nic nie wiadomo o podobnych doświadczeniach przedstawicieli rodziny Ossendowskich, którzy swoje majątkowości utracili znacznie wcześniej, bo na początku XIX wieku i przeszli do warstwy urzędniczej. Już pradziadek pisarza, Wincenty, był asesorem sądów licyńskich, natomiast dziadek Ignacy w 1852 roku wszedł do carskiego korpusu urzędniczego, otrzymując mianowanie na kolegiatnego rejestratora, urzędnika czternastej, najniższej rangi. Jego żona, Zuzanna z Wierzbickich, urodziła mu ośmioro dzieci. Trzej najmłodsi z rodzeństwa, Marcin, Władysław i Aleksander studiowali na wydziale nauk przyrodniczych Petersburskiego Uniwersytetu Państwowego i zostali lekarzami, a Aleksander nawet doktoryzował się na Wojskowej Akademii Medycznej. Dziadek pisarza zakończył karierę jako wyższy urzędnik kolejowy w Rydze, a gdy zmarł, jego żona przeprowadziła się do dzieci mieszkających w Petersburgu.

Ferdynand Ossendowski żył w czasach, kiedy pamięć historyczna była wymazywana, a pamiątki przeszłości niszczone. Na jego oczach ginęły tradycje wielopokoleniowych rodów rycerskich, których spadkobiercy nie widzieli sensu w podtrzymywaniu płonnych nadziei i wyrzekali się swego pochodzenia, by robić kariery w carskim aparacie urzędniczym czy umacniać rosyjską kulturę. Żył w czasach, gdy wydawało się, że Polska nigdy już nie powróci na mapę Europy. Obserwował, jak ludzie z jego otoczenia, myśląc o dobrej przyszłości dla swoich dzieci, zupełnie odrzucali przeszłość, która mogłaby być dla nich zagrożeniem, przeszkodą w pełnym zintegrowaniu się z elitami społeczeństwa rosyjskiego. Wybierali osobiste korzyści, rezygnując z dokonania i osiągnięć przodków. Działania takie i taki sposób myślenia nie ominęły rodziny Ossendowskich i samego Ferdynanda, który, pnąc się po szczeblach kariery w Imperium Rosyjskim, coraz bardziej oddalał się od swojej polskości i przez kilkadziesiąt lat funkcjonował doskonale jako Anton Martynowicz.

Rewolucja październikowa i krwawa wojna domowa na ziemiach upadłego imperium rosyjskiego, przekonały go jednak, że pochodzenia narodowego nie da się wyprzeć i na koniec i tak najważniejsze okazuje się ustalenie czy człowiek jest Rosjaninem, Niemcem, Ukraińcem, Czechem czy Polakiem. Ossendowski chciał być obywatelem świata, ale z polskim paszportem, a skoro nie zachowało się wiele dokumentów potwierdzających jego polskość, to postanowił sam napisać historię swoich herbowych przodków, Lisów, tak jak ją sobie chciał wyobrazić.

(NIE)ŚWIĘTY ANTONI

Jeśli cudów szukasz,
idź do Antoniego,
wszelkich łask dowody
odbierzesz od niego.

Morze się ucisza,
czarty uciekają,
umarli na nowo
do życia wracają...

Nowenna do św. Antoniego z Padwy

Ferdynand Antoni Ossendowski zawsze przywiązywał ogromne znaczenie do znaków, symboli, wróżb i przepowiedni, zwłaszcza gdy dotyczyły jego osoby. Nic więc dziwnego, że przez większą część życia wolał posługiwać się imieniem Antoni, wywodzącym się od starożytnego rodu Antoniuszów, którego założycielem był wybitny mówca i polityk rzymski Marek Antoniusz Orator, a najbardziej znanym członkiem Marek Antoniusz – słynny wódz i polityk, mąż Kleopatry. Panu Antoniemu musiał podobać się nie tylko antyczny rodowód imienia, ale także jego symboliczne znaczenie, bo tych, którzy je nosili określano jako ludzi wybitnych, wspaniałych, doskonałych.

Współczesne badania psychologiczne potwierdzają, że ludzie noszący takie samo imię mają podobne cechy charakteru. Mężczyźni o imieniu Antoni odznaczają się sumiennością, są rzetelni, starają się stale rozwijać, zdobywać nowe doświadczenia i umiejętności, a wszystko to robią nie dla poklasku, ale dla własnej satysfakcji. Syntetyczna inteligencja, doskonała pamięć, wytrwałość, konsekwencja i rozwaga to kolejne cechy, które sprawiają, że Antoni osiąga zaplanowane cele i odnosi sukcesy. Jest bowiem typem indywidualisty, lubi decydować sam o sobie, a nabyte kompetencje potrafi wykorzystać tak, by uzyskać dla siebie jak największe korzyści. Ossendowski zdaje się idealnie potwierdzać ten opis.

Państwo Ossendowsky, wybierając dla swojego pierworodnego syna imiona Ferdynand Antoni, pierwsze takie imiona w rodzinie, kierowali się chyba jednak innymi przesłankami. Najważniejszą konsekwencją nadania dziecku konkretnego imienia było oddanie go pod opiekę świętego, od którego brał swoje imię. Niebieskim opiekunem naszego bohatera został święty Antoni z Padwy, który przed przyjęciem imienia zakonnego, pod jakim został zapamiętany, nazywał się Fernando Martins de Bulhões, co na polski tłumaczone jest jako Ferdynand Bulłone. Nadanie synowi obu imion patrona – zarówno świeckiego, jak i zakonnego – było decyzją zastanawiającą, ale jeśli szukać w niej jakiejś symboliki, to sugerować by mogła nadzieję rodziców, że w życiu ich syna dokona się jakaś radykalna i pozytywna przemiana.

Patron Ossendowskiego urodził się w Lizbonie w zamożnej, szlacheckiej rodzinie i wychowywany był w dostatku. W wieku piętnastu lat zaczął się – jak notują z bólem hagiografowie – trwający kilka lat kryzys moralny, objawiający się nadmiernym pociąganiem seksualnym. Gdy się z niego wyzwolił, uznał, że powinien odpokutować za popełnione grzechy i wstąpił do zakonu kanoników regularnych. Kilka lat później zachwyciły go idee świętego Franciszka z Asyżu i przystąpił do zakonu braci ubogich. Szybko stał się jednym z najbardziej gorliwych kaznodziejów, działał przede wszystkim w Padwie, jego nauk słuchały tysiące wiernych, opowiada-

no legendy o dokonywanych przez niego cudach. Gdy umarł w 1231 roku, natychmiast rozpoczęto starania o jego wyniesienie na ołtarze, proces kanonizacyjny trwał niespełna rok i do dziś pozostaje najkrótszym w dziejach Kościoła katolickiego.

Ojciec pisarza, Marcin Ossendowski, był lekarzem, jego dziadek urzędnikiem administracji carskiej dość niskiej rangi, ale ich rodzinne wspomnienia sięgały dumnych, rycerskich przodków. Jeszcze żywsza była pamięć o szlacheckich przodkach w rodzinie matki, która pamiętała jak Bortkowiczowie pozbawieni zostali majątku za udział w powstaniu styczniowym. Być może rodzice liczyli, że nadanie synowi imion Ferdynand Antoni sprawi, że rodzinny los znów się odmieni i za sprawą syna rodzina powróci na miejsce, które uważali za należne dla niej ze względu na pochodzenie i zasługi. Któż zaś mógłby lepiej pomóc w odzyskaniu utraconych tytułów, herbów i majątków niż święty, do którego modlono się szukając rzeczy zagubionych?

Ferdynand Antoni Ossendowski niewątpliwie znał i zapewne wielokrotnie odmawiał nowennę do świętego Antoniego z Padwy, bo do kogoż miał się zwracać o pomoc, jeśli nie do swego opiekuna. Patron zaś najwyraźniej dbał o swojego podopiecznego, któremu pomagał wychodzić cało z opresji, jakie dla innych skończyłyby się tragicznie. Ossendowski przez całe życie wdawał się w ryzykowne awantury, czasem robił to dla idei, czasem dla pieniędzy, a czasem z obu tych przesłanek. Być może jego odwaga, granicząca często z brawurą, brała się z poczucia, że czuwa nad nim święty Antoni, święty potrafiący uciszać morze i przeganiać czarty, patron spraw beznadziejnych.

Święty Antoni musiał bardzo polubić swojego imiennika, bo jego opieka nad nim nie ograniczyła się do życia doczesnego Ossendowskiego. Czuwa nad nim także po jego śmierci, a wyrazne tego dowody dostrzec można w ostatnim czasie. Pisarz, który zmarł w 1945 roku, a kilka lat później na śmierć skazana została pamięć o nim, powraca bowiem do życia: jego książki publikowane są przez kilka wydawnictw, ukazują się jego kolejne biografie, jego imieniem nazywane są ulice. Ferdynand Antoni Ossendowski powraca do nas tak, jakby był spełnieniem powtarzanej wielokrotnie frazy – „umarli na nowo do życia wracają”.

SZCZENIĘCE LATA



Napoleon Orda
Lucyn, 1876

Pamięci Ferdynanda Antoniego
Ossendowskiego (1876-1945),
polskiego pisarza, podróżnika,
działacza politycznego i społecznego,
urodzonego w Łudzy (Lucynie)

Związek Polaków na Łotwie

Tablica pamiątkowa w Łudzy (Lucynie)

Dla każdej miejscowości, zwłaszcza niewielkiej, fakt urodzenia się w niej człowieka, który odniósł światowy sukces, stanowi przedmiot lokalnej dumy, a sławny krajan propagowany jest na wszelkie sposoby do promowania regionalnych atrakcji. Dla kilkutysięcznej Łudzy (Lucyna), zagubionej wśród lasów i jezior Łatgalii, najdalszej prowincji Łotwy, autor ponad setki książek, zaliczany do pięciu najbardziej poczytnych na świecie, a przy tym doskonały myśliwy i miłośnik dobrej kuchni, to postać wręcz wymarzona, by stać się symbolem tego miasteczka. Bo właśnie w Lucynie, tym żydowsko-polsko-rosyjskim miasteczku w guberni witebskiej, w dniu 27 maja 1876 roku swój pierwszy krzyk wydał Ferdynand Antoni Ossendowski.

Trudno zrozumieć, dlaczego miasto położone w otoczeniu trzech malowniczych jezior nie wykorzystuje postaci pisarza do promowania swoich walorów przyrodniczych, turystycznych, łowieckich czy gastronomicznych – choćby wśród polskich miłośników kultury kresowej, bo przecież było ono przez ponad dwieście lat ważnym ośrodkiem na mapie Inflant Polskich. O tym, że Ossendowski urodził się w Lucynie, przypomina jedynie głaz w parku miejskim, na którym staraniem Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” umieszczona została pamiątkowa tablica. Odsłonięto ją 9 września 2017 roku, pod auspicjami Związku Polaków na Łotwie, w ramach XXI Festiwalu Kultury Polskiej, a ufundowana została przez Senat Rzeczypospolitej Polski.

Być może brak zainteresowania władz Lucy na promowaniem się jako miejsce narodzin Ossendowskiego wykorzysta oddalona o 60 kilometrów Opoczka w obwodzie pskowskim. Uczniowie tamtejszej szkoły odnaleźli bowiem na lokalnym cmentarzu grób Marii z Ossendowskich Rożnowskiej oraz jej męża Józefa herbu Nowina. Zaczęli szukać informacji o związkach znanego pisarza z ich miejscowością. Zwrócili się do instytucji, mogących dysponować wiedzą z tego zakresu, a Instytut Literatury Rosyjskiej przesłał im pismo, w którym stwierdzał, że dysponuje autobiografią pisarza, w której własnoręcznie napisał, że urodził się 27 maja 1876 roku właśnie w Opoczce, w guberni pskowskiej. Jeśli do tego dodać pojawiające się noty (na przykład na nagrobku pisarza), że urodził się w Witebsku, to widać, jak trudno jest pisać o Ossendowskim, jak nic w jego życiu nie jest pewne, skoro nawet informacja tak – wydawałoby się – oczywista jak miejsce jego urodzenia budzi tak wiele wątpliwości.

Kilka lat później, gdy przyszła na świat siostra małego Antka, jego rodzice postanowili porzucić rodzinne strony, w których ich przodkowie zamieszkali od kilkuset lat. Wiadomo, że w 1884 roku rodzina Ossendowskich opuściła gubernię witebską i znad Dźwiny, z północno-wschodnich Kresów dawnej Rzeczypospolitej przeniosła się na jej południowo-wschodnie Kresy, nad Dniestr wijący się u podnóża niezdobytego zamku górującego nad Kamieńcem Podolskim. Biografowie pisarza nie potrafili wskazać przyczyny, która spowodowała tę decyzję. Na pewien trop zdaje się naprowadzać sam pisarz, który w jednej ze swych książek pisał o tragedii, jaka wydarzyła się w północnej guberni, w zapomnianej wsi, wokół której rozpościerały się rozległe bagna, głębokie jeziora i wartkie rzeki.

Do mieszkańców tej wsi na krańcu świata dotarła wieść o epidemii cholery zbierającej śmiertelne żniwo wśród ludności okolicznych osad. Przerażeni, zwrócili się o pomoc do guślarza słynącego z wielkiej mądrości, a specjalizującego się w powstrzymywaniu zarazy. Starzec wyprowadził wieczorem na plac czarnego barana, poderżnął mu gardło, jego krwią zbroczył młyński kamień, na którym następnie rozpałił ogień. Gdy krew zaczęła parować, dorzucił do ognia ziół i zaczął wróżyć. Mówił, że widzi podążającą od wsi do wsi białą śmierć, której drogaznaczona jest mogiłami, mówił o ludziach ginących w straszliwych mękach. W końcu wskazał winnych tego, co się działo – obcych, odzianych w białe szaty, którzy poprzedzali śmierć, byli jej przewodnikami, wędrowali od siedliska do siedliska i zatrawali studnie, rzeki oraz potoki, skazując mieszkańców na śmierć w męczarniach. Kilka dni później do wsi dotarł lekarz i felczer, którzy mieli przygotować mieszkańców do walki z epidemią. Patrzone na nich nieufnie, a gdy przybyłszy założyli białe kitle, chłopcy nie mieli wątpliwości, uznali ich za wysłanników pie-

kieł zapowiedzianych przez guślarza i natychmiast zamordowali. Być może historia taka lub podobna przydarzyła się lekarzowi, który przyjaźnił się z ojcem pisarza, być może tak poruszyła jego matkę, że wymusiła na mężu opuszczenie zapadłych guberni, których mieszkańcy tkwili jeszcze w mrokach pogaństwa, a niesienie im pomocy można było przypłacić utratą życia.

Dziecięce lata Ferdynand Ossendowski spędził więc nie wśród omszałych, wilgotnych puszczy i lasów, a na otwartych stepach rozciągających się aż poza horyzont. Niewiele wiadomo o jego kamienieckich latach, ale imponująca, biała twierdza wrośnięta w skalne urwiska, dominująca nad wieżami cerkwi, kościołów oraz minaretu dostawionego przez Turków, zapadła głęboko w wyobraźnię chłopca i jeszcze po wielu latach powracała we wspomnieniach i jego książkach o kresowych rycerzach. Fantazję późniejszego pisarza pobudzały opowieści o twierdzy zwanej Puklerzem Rzeczypospolitej, Przedmurzem Chrześcijaństwa, Miastem Niezdobytym, które oparło się czterdziestu najazdom tureckim, a także Kozakom dowodzonym przez Chmielnickiego i jego atamanów.

Bohaterską legendą obrósł nawet upadek Kamieńca Podolskiego, którego kilkuset obrońców uległo dopiero trzystutysięcznej armii sułtana Mehmeda IV, a dowodzący jej obroną Wołodyjowski i Ketling woleli zginąć, wysadzając magazyny prochowe, niż oddać ją wrogom. Siła opowieści wykreowanych przez Henryka Sienkiewicza od dzieciństwa towarzyszyła Ossendowskiemu, którego marzeniem było zawładnięcie duszami czytelników, tak jak to potrafił uczynić polski noblista.

Z twierdzą kamieniecką wiąże się także pierwsza awanturyczna wyprawa małego Antka, którą zorganizował jako ośmiolatek. Wyruszył na nią wraz z dwoma kolegami, Wyszyńskim i Ejsmondem. Zeszli po plecionej drabinie spuszczonej na dno suchej studni, a tam wkroczyli do korytarza, przeszli nim do rozległej komnaty, za którą znajdowały się ciężkie, żelazne drzwi. Chłopcy je sforsowali i znaleźli się w pomieszczeniu, do którego nikt nie zaglądał od kilku stuleci. Gdy zerwali ciężkie pajęczyny i opadł kurz, ich oczom ukazał się kościotrup tureckiego żołnierza, z kosmykiem włosów na czubku głowy, resztkami odzieży oraz zardzewiałą szablą, przykuty łańcuchem do skały. Najwyraźniej więzień pozostawiony został w podziemnej celi i skazany na powolną śmierć.

W Kamieńcu Podolskim Antek Ossendowski rozpoczął naukę w rosyjskim gimnazjum klasycznym i zbierał pierwsze doświadczenia dziennikarskie i redaktorskie, wydając uczniowskie pisemka. Tam także zarobił piórem pierwsze pieniądze – było to 11 rubli, jakie otrzymał jako trzynastolatek za relację z pieszej wycieczki po Krymie oraz wyprawy morskiej do Konstantynopola, którą odbył ze stryjem Władysławem Ossendowskim.

Kresowa strażnica była miejscem kształtowania się patriotyzmu chłopca. U jej stóp słuchał opowieści o potędze dawnej Rzeczypospolitej, która przez wieki broniła granic chrześcijańskiego świata przed Turkami, Tatarami, Kozakami i Moskalami. Tu zrozumiał fenomen Rzeczypospolitej, gdzie obowiązywało dziesięć języków, a wyznawcy każdej religii zachowywali swoje prawa, bo przecież to właśnie w Kamieńcu Podolskim w 1666 roku Ormianie zawarli unie z katolikami. Rozlewiska i mokradła nad Smotryczem były miejscem jego pierwszych wypraw myśliwskich. W Kamieńcu Podolskim słuchał opowieści powstańców styczniowych o ich nierównej walce z carską despotią, tutaj nasiąkał polską kulturą i patriotyzmem.



Alojzy Misierowicz, Napoleon Orda
Kamieniec Podolski Ogród generała
Jana de Witte, 1875

STUDENT Z PETERSBURGA

[...] w życiu nieszczęśliwy; mając żywy temperament, popełniał wiele błędów i nietaktów, za które musiał ciężko nieraz pokutować.

Julian Talko-Hryniewicz

Petersburg, do którego wdowa po doktorze Marcinie Ossendowskim wraz z dwojgiem dzieci przeprowadziła się po śmierci męża, na ponad trzydzieści lat stał się miastem, wokół którego koncentrowało się życie naszego bohatera. We wspomnieniach pisarza początek ich pobytu nad Newą jawi się jako okres życia w biedzie i niedostatku, gdy matka starała się utrzymać rodzinę, udzielając lekcji muzyki oraz korepetycji dzieciom z ziemiańskich rodzin, a on sam już jako nastolatek uczył mniej zdolnych kolegów, by dorobić do budżetu rodzinnego. Rzeczywistość nie była chyba jednak aż tak dramatyczna jak w opowieści literata, Ossendowscy bowiem nie bez powodu wybrali Petersburg. W stolicy zawsze były najlepsze perspektywy, a oni mogli liczyć na pomoc Władysława Ossendowskiego, znanego wenerologa, który wspierał bratową, bratankę oraz bratanicę.

Sama wdowa okazała się zresztą osobą bardzo zaradną. Nie ograniczała się do udzielania korepetycji, ale już w 1897 roku samodzielnie zarządzała pensjonatem z pokojami po półtora rubla dziennie, a niedługo potem otworzyła własną szkołę. Zadbala o dobre wykształcenie syna, który w Petersburgu

ukończył gimnazjum, a w 1895 roku zapisał się na wydział matematyczno-przyrodniczy stołecznego uniwersytetu. Finansowała także edukację córki, która odbywała kursy pedagogiczne w ekskluzywnym stołecznym Instytucie Jelizawietinskim, a po jego zakończeniu wyszła za mąż za zdolnego, młodego inżyniera, Tadeusza Jesionowskiego.

Ossendowscy żyli więc w Petersburgu na całkiem dobrym poziomie, jednak znacznie poniżej wybujałych oczekiwań, jakie miał wobec życia Ferdynand. Jego ambicje wynikały pewnie z faktu, że ojcowie jego gimnazjalnych kolegów zajmowali ważne stanowiska i byli najbardziej znaczącymi postaciami w Rosji. Ossendowski wielokrotnie gościł u nich i doskonale czuł się w bogatych domach, był głęboko przeświadczony, że jest stworzony do życia w komforcie. Swoje aspiracje materialne oraz talent literacki pokazał w ostatniej klasie gimnazjum, gdy w wypracowaniu o rodzinnym domu opisał ze szczegółami jeden z pałaców, jakie oglądał w Stambule, a pomieszczeniom, z których korzystać mieli jego bliscy, przypisał współczesne funkcje. Praca uzyskała najwyższą notę, ale przyniosła też konsekwencje,

rada pedagogiczna cofnęła bowiem przyznane uczniowi stypendium, uznając za rzecz niedopuszczalną udzielanie wsparcia finansowego komuś, kto żyje niemal jak sułtan turecki. Ferdynand był podobno bardzo dumny z efektu, jaki wywołała jego praca, ale utratą stypendium przejęła się jego matka, której interwencja doprowadziła do przybycia do ich mieszkania specjalnej komisji z zadaniem zwerifikowanie rzeczywistych warunków, w jakich żyją.

Po ukończeniu gimnazjum Ferdynand zdecydował się studiować chemię, która wydawała się wówczas nauką, jaka przesądzi o kierunku rozwoju świata w XX wieku. Zdolny student szybko zwrócił na siebie uwagę profesora chemii fizjologicznej, wybitnego chemika i balneologa Stanisława Szczepana Zaleskiego i wkrótce został jego ulubionym uczniem i nieodłącznym asystentem. Towarzyszył profesorowi w wyprawach naukowo-badawczych, prowadził wraz z nim pionierskie doświadczenia związane z analizą chemiczną, geologiczną oraz klimatyczną syberyjskich jezior oraz badania hydrologiczne, których efektem było odkrycie licznych źródeł wód leczniczych. Badania te prowadzili między innymi na Kaukazie, gdzie odkryli cenne źródła w Kisłowodzku, Krasnej Polanie czy gruzińskim Borżomi, a także nad limanami (rozlewiskami) Dniestru, w obwodzie donieckim, w Soczi i Tuapse, na Altaju, nad Jenisejem i nad jeziorem Bajkał. Relacja Ossendowskiego z ich podróży po Altaju i Kraju Urianchańskim ukazała się w 1899 roku i była chyba jego pierwszą książką podróżniczą.

Znajomość, a nawet przyjaźń z profesorem Zaleskim miała charakter naukowy, ale była także deklaracją polityczną. Ossendowski opowiadał się po stronie tych Polaków, którzy zdecydowali się na robienie karier naukowych czy biznesowych w państwie carów, pozostawiając za sobą mrzonki o powstaniach i niepodległości. Profesor Zaleski był bowiem symbolem dobrowolnego podporządkowania się caratowi, a wielu rodaków uważało go za renegata. Szanse na bycie prawdziwym polskim patriotą przekreślił już jako student Uniwersytetu Warszawskiego, gdy na czele delegacji uczelnianej pojechał na pogrzeb cara Aleksandra II, zastrzelonego przez polskiego rewolucjonistę, Ignacego Hryniewieckiego. Po powrocie do Warszawy uznany został za zdrajcę i kolaboranta. Ignorowany, prześladowany i opluwany przez kolegów, wyjechał do Rosji, gdzie doceniono jego kompetencje naukowe, i zrobił błyskotliwą karierę akademicką.

Słowa wybitnego badacza Syberii, profesora Uniwersytetu Warszawskiego i Wileńskiego, Juliana Talko-Hryniewicza, przytoczone na początku tego tekstu, odnoszą się właśnie do profesora Zaleskiego, ale ich adresatem z powodzeniem mógłby zostać jego ulubiony uczeń. Ossendowski miał bowiem żywy temperament, co niejednokrotnie prowadziło go do pochopnych decyzji i błędów, czym zrażał

sobie wielu ludzi, a konsekwencje, jakie ponosił, były często zupełnie nieadekwatne do skali popełnionych przez niego wykroczeń... choć bywało też odwrotnie. W czasie studiów i kolejnych lat spędzonych w Rosji Ossendowski traktował imperium carskie jako swój kraj, starał się mu lojalnie służyć, zarówno w czasie pokoju, jak i podczas wojny. Trzymał się z daleka od polskich spisków i powstańczych knań, uważając, że skazane są one na niepowodzenie, a przynieść mogą jedynie negatywne konsekwencje. Jego przodkowie cierpieli już z tych powodów w dostatecznym stopniu, więc byłoby nierozsądnym nie wyciągnąć wniosków z ich doświadczeń.

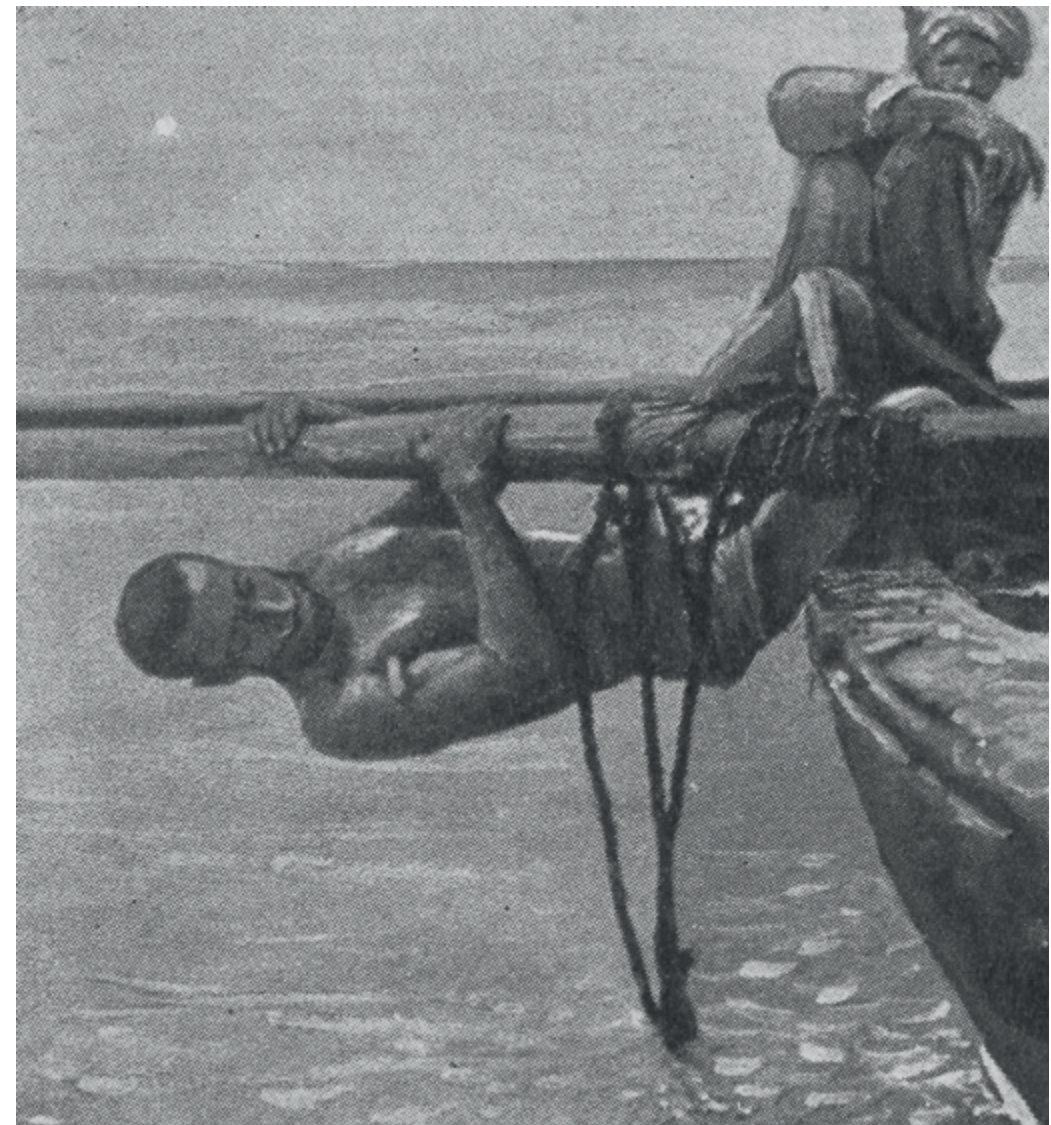
Drogę do poprawy sytuacji Polaków żyjących pod zaborem rosyjskim dostrzegał nie w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym, ale w zreformowaniu i demokratyzacji Rosji. Wiara, że to jest możliwe, sprawiła, że zaangażował się w działalność organizacji studenckich domagających się liberalizacji i demokratyzacji stosunków panujących w Rosji. Uczestniczył w wystąpieniach antyrządowych oraz zamieszkach studenckich w Petersburgu. Obawiając się aresztowania, wyjechał z Rosji do Paryża. Na Sorbonie kontynuował studia chemiczne i słuchał wykładów profesora Berthelota, wybitnego francuskiego chemika i polityka. Podczas pobytu nad Sekwaną nawiązał także znajomość z Marią Skłodowską-Curie, z czego był bardzo dumny do końca życia, opowiadając, że asystował noblistce przy jej badaniach naukowych.

Do Rosji powrócił dopiero w 1901 roku, dzięki wstawiennictwu profesora Zalewskiego, który przekonał władze, że Ossendowski nie stanowi zagrożenia dla imperium jako rewolucjonista, a bardzo przyczyni się do jego rozwoju jako utalentowany chemik. Nie zamieszkał już jednak w Petersburgu, ale w odległym Tomsku na Syberii, gdzie w organizowanym przez profesora Zaleskiego Instytucie Technologicznym prowadził wykłady z fizyki oraz chemii fizycznej. Na tej właśnie uczelni 10 maja 1901 roku obronił doktorat o alotropii związków srebra. Młody badacz zaczynał być znany w środowisku naukowym, jego kolejne artykuły naukowe drukowane były w specjalistycznych periodykach, zyskiwał coraz szersze uznanie jako profesjonalista i praktyk.

PRZYJACIELE Z WYSP ANDAMAŃSKICH

Nurkowie zostawali pod wodą do minuty bez oddechu, toteż wynurzywszy się, zsiniałymi ustami łapczywie chwyтали powietrze, dysząc ciężko. Inni rybacy, znajdujący się na łodziach, śledzili uważnie, czy nie czai się gdzieś rekin, a dojrzawszy drapieżną rybę, odpędzali ją uderzeniem długich bosaków po wodzie i głuchym, do grzmotu podobnym, warczeniem bębnow.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Skarb Wysp Andamańskich



Kalabon, poławiacz peret,
ilustracja z książki
Skarb Wysp Andamańskich

Czas wakacji student Ossendowski spędzał bardzo aktywnie. We Władystoku zaciągał się jako pisarz okrętowy na statki rosyjskiej żeglugi handlowej, kursujące wzdłuż wybrzeży Azji. Poznał wówczas wybrzeża Chin, Korei, Japonii, Indochin, Indii, a także wysp rozrzuconych na morzach i oceanach okalających kontynent azjatycki. Nie miał zbyt wiele pracy, ale miał czas na przyglądanie się odwiedzanym krajom i notowanie swoich obserwacji. Młody podróżnik nie ograniczał się do prowadzenia dziennika pokładowego, ale starał się swoim doświadczeniom nadać formę literacką. Efektem była jego debiutanka powieść *Chmury nad Gangesem*, za którą uhonorowany został nagrodą petersburskiego Towarzystwa Literackiego.

Czterdzieści lat później powrócił do wspomnień i obserwacji z czasów młodości, potraktował je jako tworzywo literackie i napisał współczesną powieść dla młodzieży *Skarb Wysp Andamańskich*. Była to chyba jego najpopularniejsza i najlepsza książka dla nastolatków. Traktowała o rzeczach ważnych: szacunku dla innych, tolerancji, odmienności, wrażliwości, lojalności i przyjaźni, a robiła to w sposób wolny od nachalnej pedagogiki, opowiadając o niezwykłych przygodach dwóch nastolatków, całkowicie odmiennych, a równocześnie bardzo podobnych.

Rękopis przechowywanym w Muzeum Literatury nosi tytuł *Tajemnica Wysp Andamańskich* i chyba ten autorski pomysł był lepszy. Bohaterem książki jest czternastoletni Władek Krawczyk, który przypłynął z Gdyni aż na Wyspy Andamańskie na Oceanie Indyjskim, by spędzić wakacje z rodzicami, którzy zajmowali się tam prowadzeniem plantacji herbaty. Nastolatek szybko znudził się jednak przebywaniem w domu z matką czy poznawaniem arkanów uprawy i zbierania herbaty, w które chciał go wprowadzić ojciec. Znacznie bardziej interesowali go rówieśnicy, z którymi spędzał całe dnie. Nie przeszkadzało mu, że jego towarzysze zabaw mają ciemniejszą karnację, kruczoczarne włosy i żyją w nędznych chatkach. Nie przeszkadzało mu nawet to, że w każdej chacie jest kąt, w którym ułożony jest stos ludzkich kości i czaszek, bo członkowie plemienia Minkopi wierzą, że w kościach mieszkają duchy ich przodków, a gdy o nie dbają, to przodkowie się nimi opiekują. Bohater nie ocenia tubylców, nie czuje się od nich lepszy, po prostu przypatruje się im, poznaje ich obyczaje, stara się respektować reguły obowiązujące w ich świecie. Tylko raz występuje przeciwko zasadom społeczności, gdy staje w obronie przywiązanego do drzewa, skazanego na śmierć czarnoskórego młodzieńca z plemienia Kalabanów, którego zaślania własnym ciałem.

W młodym Polaku nie ma nic z kolonialnej wyższości, a jego przyjaciel i przewodnik Dzaira nie ma w sobie nic z Sienkiewiczowskiego Kalego. Oka-

zuje się zresztą, że nie jest on zwykłym chłopcem, ale wnukiem słynnego wodza Jomagi, porwanego przed laty i zamordowanego przez brytyjskiego gubernatora Horna, który zagarnął kolekcję niezwykle cennych pereł zwaną „Skarbem Tamaranów”.

Chłopcy zostają schwytani przez dzikie plemię Kalabanów i uprowadzeni w góry Szalati. Mają tam zginąć, ale ratuje ich ocalony wcześniej młodzieniec z tego szczepu. Wędrując korytarzami wykutymi w górach, trafiają do kopalni złota, jaskiń z fantastycznymi naciekami oraz rysunkami poczynionymi przez ludzi, którzy żyli na tych ziemiach przed tysiącami lat. Odnajdują wreszcie wielką grootę z legendarnymi skarbami zrabowanymi przez okrutnego pirata Diego Anda.

Gdy jako bardzo młody człowiek czytałem powieści awanturnicze o poszukiwaczach skarbów – niezależnie, czy ich bohaterem był Jim Hawkins z klasycznej powieści Stevensona, czy Pan Samochodzik z popularnego cyklu Nienackiego – zawsze nie mniej niż odnalezienie skarbu zastanawiało mnie to, co się z nim stanie potem. Ossendowski kwestię tę rozstrzygnął fenomenalnie. O znalezionych pirackich łupach powiadomione zostały brytyjskie władze kolonialne, a przysłani specjaliści potwierdzili, że to cenne zabytki. Zorganizowano wielką licytację, dzięki której muzea w Kalkucie, Pekinie i innych azjatyckich miastach (ale nie British Museum ani Luwr) zakupiły niezwykle wartościowe eksponaty. Środki uzyskane z ich sprzedaży przekazano Dżairowi, młodemu wodzowi plemienia Minkopi, on zaś postanowił przeznaczyć je na finansowanie edukacji swoich rodaków, by przygotowali się do samodzielnego zarządzania swoim krajem.

Dżair dał im od razu przykład i sam wyjechał na studia, by na najlepszych uniwersytetach zdobyć wiedzę i kompetencje potrzebne dobremu władcy. Doskonałymi umiejętnościami mediacyjnymi wykazał się zaraz po powrocie, doprowadzając do zakończenia odwiecznego konfliktu oraz pojednania pomiędzy śniadymi Minkopi i czarnoskórymi Kalabanami, którzy odtąd wspólnie zaczęli korzystać z dóbr i możliwości, jakie oferuje ich wspólna wyspa.

Książce Ossendowskiego zarzucać można naiwność i nadmierną idealizację, ale chyba takie właśnie opowieści powinny kształtować młodych ludzi, jeśli mają naprawić świat, który zastali, i uczynić go najlepszym ze światów.



Minkopi strzelający z łuku do ryb, ilustracja z książki *Skarb Wysp Andamańskich*

GALERY SPOKOJNEGO ZMIERZCHU

Panowie wiecie zapewne, jak ciężki los czeka w Europie i Ameryce ubogich starców? Zaledwie ich osiem procent w najbardziej kulturalnych państwach znajduje opiekę nad sobą, tymczasem w Chinach każdy starzec czy stara kobieta wiedzą, że do śmierci nie zostaną opuszczeni, a nawet będzie im lepiej, niż było wtedy, gdy mogli pracować. „Pływający Kanton”, chociaż zaludniony jest przez biedaków i do tego wyjątkowych biedaków żyjących z dnia na dzień, istniejących nie wiadomo jak i czym, nie stanowi wyjątku. Proszę zwiedzić tę krypę, która nosi nazwę „Galery Spokojnego Zmierzchu”!

Ferdynand Antoni Ossendowski
Wędrownik w świat

W czasach Ossendowskiego podróżowanie było kosztownym i elitarnym hobby, na które stać było nielicznych. Większość ludzi obraz innych krajów i narodów kształtowała nie na bazie osobistych doświadczeń, filmów dokumentalnych czy reportaży radiowych, ale czytając relacje z dalekich wypraw. Na ich autorach ciążyła ogromna odpowiedzialność, bo to oni przybliżali czytelnikom ludzi wywodzących się z odmiennych kręgów cywilizacyjnych, pokazywali im przedstawicieli obcych kultur, budowali obraz Innego.

Ossendowski większość życia spędził w wielokulturowym Imperium Rosyjskim, a dzięki długim wyprawom badawczym na Kaukaz, Daleki Wschód, Syberię czy do Mandżurii poznał z bliska ludzi o zupełnie odmiennych wierzeniach, poglądach, doświadczeniach, sposobach życia. Nauczył się na nich patrzeć bez kierowania się stereotypami, nie traktował ich jak egzotycznych mieszkańców odległych krain, ale jako ludzi, których losy potoczyły się odmiennie niż Europejczyków. Potrafił dostrzec i docenić ich osiągnięcia społeczne, przyznać, że niektóre przewyższają znacznie dokonania tak dumnego z siebie, białego człowieka.

Cechami takimi jak empatia, wrażliwość, otwartość na innych obdarzył także Wojtkę Budzisz, bohatera swojej książki *Nieznany szlakiem*, który po śmierci ojca, rybaka, opuszcza rodzinny dom i zaciąga się do pracy na starym statku handlowym. Podczas podróży chłopak poznaje życie Afrykańczyków skolonizowanych przez białych ludzi, Syngalezów pracujących ciężko na herbacianych polach Cejlonu, Chińczyków niszczonego przez mocarstwa kolonialne oraz opium czy mieszkających na antypodach Samończyków.

Wojtek Budzisz przygląda się egzotycznym krajom, patrząc na nie oczami Antka Ossendowskiego, który jako młody chłopak także pływał na statkach handlowych po morzach oblewających kontynent azjatycki. Kanton go zachwyca. Przygląda się temu prawie dwumilionowemu miastu, ruchliwemu, bogatemu, wręczemu jakimś niezmiernie gorączkowym, niespokojnym rytmem, wydaje mu się ono podobne do pulsowania europejskich czy amerykańskich metropolii. Podziwia ogromne budynki podobne do nowojorskich drapaczy chmur, należące do amerykańskich, brytyjskich, francuskich czy niemieckich instytucji finansowych. Przemierza równe, przecinające się pod kątem prostym ulice, wytyczone według ściśle określonego planu, dla którego zrealizowania zburzono buddyjskie świątynie i wycięto historyczne parki, od stuleci chroniące swym cieniem kamienne lwy i barany oraz miejsca do medytacji. Obserwuje jednak przede wszystkim ludzi – białych cudzoziemców przemierzających miasto dumnym krokiem zdobywców świata lub z pogardą spoglądających zza szyb samochodów na

tłum miejscowych, którzy odwzajemniają się przybyszom wrogimi spojrzeniami.

Przewodnikiem Wojtkę po pływającym Kantonie jest Holender, Hugo von Osten, lekarz konsulatu Królestwa Niderlandów. Podczas długich lat spędzonych w Chinach bardzo polubił Chińczyków. Docenił ich dokonania, zrozumiał sytuację, w jakiej przyszło im żyć i – pomimo że wzbudzały niechęć Europejczyków i Amerykanów – postanowił zamieszkać wśród nich i służyć im swoją wiedzą medyczną. Przede wszystkim jednak chciał im wynagrodzić niesprawiedliwość, jaka spotykała ich na każdym kroku ze strony ludzi Zachodu, dzielących bliźnich na białych, uprzywilejowanych, godnych szacunku lub budzących strach oraz na pogardzanych i lekceważonych nie-białych „pólludzi”.

Bohaterowie powieści zwiedzają pływający dom starców zwany „Galerą Spokojnego Zmierzchu”, gdzie w obszernych, czystych izbach, na pokładzie i pod pokładem mieszka około pięćdziesięciu starców. Siedzą oni na matach, leżakach czy krzeselkach, niektórzy grają w domino, inni zajmują się drobnymi pracami, kolejni nucą piosenki, są też tacy, którzy po prostu odpoczywają, paląc fajkę i wpatrując się w dal. Przewodnik opowiada, że w pływającym Kantonie jest około sześćdziesięciu takich statków, na których mieszka prawie cztery tysiące seniorów. Na ich utrzymanie żadnych funduszy nie łoży państwo ani lokalne władze, a tylko miejscowa wspólnota. Przekupnie przekazują im część swoich towarów, mężczyźni wykonują drobne naprawy, kobiety zajmują się gotowaniem, sprzątaniem i praniem, a dzieci spędzają ze starszami czas, słuchając ich dobrych rad i wspomnień.

W okresie międzywojennym powszechna była obawa przed zniszczeniem cywilizacji zachodniej przez azjatycką, jeśli jej milionowe masy zaleją kontynent europejski, tak jak to uczyniły przed wiekami hordy Czyngis-chana. Paniczny strach przed Azjatami nie omijał artystów tak wybitnych jak Witkacy, który powieści ich niesprawiedliwy i poniżający obraz, zapominając, że Chińczycy nie są w stanie być nawet panami swojego kraju, który został podbity i zniszczony przez białych, a jego odzyskanie jest ich najważniejszym celem, zaplanowanym na długie lata.

Na tym tle jako człowiek bardzo wrażliwy i na wskroś nowoczesny, we współczesnym tego słowa znaczeniu, prezentuje się Ferdynand Ossendowski, który potrafił wyjść poza uprzedzenia i schematy myślowe towarzyszące białym ludziom na kontynencie azjatyckim, a zwłaszcza w Chinach. Dostrzegał powody niechęci czy nienawiści Chińczyków do przedstawicieli zachodniego świata, którzy zawłaszczili ich kraj i uczynili z nich niewolników.

KIRGISKA NARZECZONA

Wymówić się od dziewczyny, którą dają jako „hanum”, znaczy to samo, co skazać ją na śmierć, bo nikt jej więcej nie poślubi i będzie ona zmuszona zabić się, ratując się przed drwinami i pogardą. U Kirgizów tak się dzieje od pradziadów! Wtedy tylko hańba nie spada na głowę niedoszłej „hanum”, gdy mężczyzna odejdzie, a oczy porzuconej dziewczyny nie zobaczą go w chwili, gdy koń lub wóz ruszy. Wtedy dziewczyna rozplata warkocze i chodzi tak przez trzy dni, a później wyrywa cztery włosy i rzuca je w stronę, w którą odjechał mężczyzna. Z włosami wraz znikną i wspomnienia o nim, „hanum” staje się zwykłą dziewczyną i może być oddana innemu.

Ferdynand Antoni Ossendowski
W ludzkiej i leśnej kniei

Nasi najslawniejsi podróżnicy, tacy jak Bronisław Malinowski, Arkady Fiedler czy Tony Halik, opowiadali o tym, jak wodzowie plemion czy naczelnicy wiosek ofiarowywali im młode dziewczęta, przekonując ich, że dorosły mężczyzna powinien regularnie obcować cielesnie z kobietą, a skoro nie zabrali w podróż swojej, to gościnność zobowiązuje gospodarzy do zapewnienia im miejscowej. Z reguły nie wyznaczali jednak przypadkowych dziewcząt, a najczęściej swoje córki, uważali bowiem, że dziecko będące potomkiem białego mężczyzny będzie nadzwyczajne. Podobna przygoda przydarzyła się Ferdynandowi Ossendowskiemu.

Pięknej, młodej dziewczyny nie ofiarowano mu wśród palm tropikalnej wyspy, a na azjatyckim stepie, gdzie wraz z profesorem Szczepanem Zaleskim prowadził badania nad jeziorami mineralnymi w rejonie Irtysza. Ich przewodnikiem był Kirgiz o imieniu Sulejman, dzięki któremu naukowcy wiele dowiedzieli się o wierzeniach, obyczajach i życiu mieszkańców tych terenów. Serię niefortunnych zdarzeń zapoczątkował jadowity pająk, tarantula, który podczas jednej z ich wypraw ukąsił Sulejmana. Kirgiz ignorował ból i opuchliznę, które starał się pokonać tradycyjnymi metodami. Ossendowski obawiał się, że to nie wystarczy, sprawa nie skończy się na spuchniętym palcu i cierpieniu przewodnika, ale może dojść do poważnego zakażenia, a nawet do śmierci. Jego argumentacja musiała być przekonująca, bo Kirgiz nie zlekceważył ostrzeżenia, naostrzył swój nóż i nakazał młodemu badaczowi, by obciął mu palec. Po amputacji, zszyciu rany, zatamowaniu krwawienia i założeniu opatrunku, Sulejman jakby nigdy nic odszedł do swoich obowiązków. Ossendowski zaczął mieć wątpliwości, czy zbyt pochopnie nie zalecił tak radykalnego postępowania, zabrał więc odcięty palec, by zbadać go w laboratorium. Badanie potwierdziło, że intuicja go nie zawiodła, a amputacji dokonał w ostatnim momencie, bo gangrena już się rozwijała i niewiele brakowało do konieczności odcięcia całej ręki.

Sulejman, dowiedziawszy się, że zawdzięcza Ferdynandowi ocalenie, uznał badacza za swojego „kunaka”, co u ludów Azji Środkowej oznacza przyjaciela przyjmowanego ze specjalnymi honorami, któremu jest się winnym ochronę i lojalność. Postanowił odwdziżyć się swojemu wybawcy podarunkiem stanowiącym dla ludów koczowniczych największą wartość – młodym wielbłądem. Ossendowski odmówił przyjęcia tak cennego daru, a Sulejman zgodził się go przyjąć z powrotem dopiero, gdy Ferdynand wyjaśnił mu, że wkrótce wraca do Petersburga, a na stołecznych ulicach widok wielbłąda płoszyłby doróżkarskie konie i narażał go na nieprzyjemności. Kirgiz zabrał wielbłąda, odprowadził go do swojej osady, a następnego dnia powrócił z podarunkiem, który na pewno nikogo by nie przeraził. Podarował Ossendowskiemu młodego, bystrego pacholka o milej aparycji, który obsługiwał odtąd wyłącznie Ferdynanda, dbając o jego posiłki, zaparzając mu herbatę, przynosząc wodę, czyszcząc ubrania i buty, przygotowując jego posłanie. Troska, staranność i oddanie pacholka krępowały Ferdynanda, ale na rozmowę z nim zdobył się dopiero, gdy w łóżku znalazł bukiety polnych kwiatów. Pacholek wyjaśnił mu wówczas, że nie jest chłopcem, tylko trzynastoletnią dziewczyną, siostrą Sulejmana, którą ten podarował Ferdynandowi jako dar za ocalenie. Zszokowany badacz dowiedział się, że dziewczyna bardzo się z tego cieszy, a służy mu z wielką przyjemnością i będzie służyła mu zawsze, bo jest jego „hanum”, pierwszą żoną Ferdynanda.

Ossendowski tłumaczył jej, że w jego kulturze ludzie inaczej łączą się w pary małżeńskie. Dziewczynie jednak wcale to nie przeszkadzało, mógł przecież mieć kolejne żony, z którymi połączy się na innych zasadach, ona miała być jego „hanum”. Badacz nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji, by nie urazić Sulejmana i nie skrzywdzić dziewczyny. Kirgiz wyjaśnił mu bowiem, że odmowa przyjęcia „hanum” byłaby obrazą dla ich rodu i musiałyby zostać krwawo pomszczona. Uspokoił go jednak, że jeśli faktycznie nie chce dziewczyny, to może zaprowadzić ją nad jezioro i tam utopić, bo jest ona jego własnością i może z nią uczynić, co tylko zapragnie. Sytuacja wydawała się bez wyjścia, profesor Zaleski podśmiewał się tylko z problemów matrymonialnych młodego współpracownika, który z przerażeniem myślał o reakcji swojej matki na kirgiską synową oraz o tym, jak będzie z nią składał wizyty swoim petersburskim znajomym.

Dziewczyna była zaniepokojona brakiem zainteresowania ze strony męża i tym, że wyraźnie jej unika. Starła się dowiedzieć, z czego wynika jego niechęć. Dopytywała, czym go uraziła i jak mogłaby się poprawić, by zasłużyć sobie na jego miłość. Ferdynand natomiast uspokajał dziewczynę, a żeby nie było jej przykro, zapewniał ją, że bardzo mu się podoba i darzy ją gorącym uczuciem, ale w jego kulturze inaczej się to wyraża. Gdy uspokojona „hanum”

odchodziła, żałował tych deklaracji, które jeszcze bardziej zapętląły i tak niełatwą sytuację. Pewnego dnia wdał się z nią w rozmowę o odwiecznych prawach i obyczajach stepowych ludów, a zwłaszcza o zasadach dotyczących „hamun”. Dowiedział się, że w surowym prawie jest pewna luka, pozwalająca mężczyźnie zrezygnować z ożenku tak, aby nie narażać dziewczyny na konsekwencje.

Wiadomość o możliwości rozwiązania małżeństwa bardzo ucieszyła Ferdynanda, który stał się radośniejszy i bardziej towarzyski, co bardzo cieszyło Kirgiza i jego siostrę. Ossendowski tymczasem knuł, jak wykorzystać kruczek w kirgiskim prawie zwyczajowym i pozostawić dziewczynę, nie obrażając przy tym jej brata, a jej nie narażając na nieprzyjemności. Musiał opuścić ją w taki sposób, by nie widziała jego twarzy, kiedy odjeżdża.

Badania dobiegały końca i wraz z profesorem Zaleskim miał powrócić do Petersburga. Chciał wyjechać tak, by „hanum” nie zobaczyła, jak wsiada do pociągu. Zakochana, kirgiska żona nie odstępowała go jednak na krok, a i szwagier nie spuszczał z niego wzroku. Gdy pociąg miał już odjeżdżać przypominał sobie, że ma dla nich prezenty, piękną biżuterię z chryzolitami, pokazał im jak pięknie promienie słoneczne załamują się w szlifowanych kamieniach, gdy odwrócili się od składu kolejowego, przyglądając się im pod słońce, obiegł pociąg i wsiadł do niego z drugiej strony. Lokomotywa ruszyła, a dziewczyna nie mogła dojrzeć jego twarzy, gdy odjeżdża. Ich związek był zakończony. Wiedział, że gdy kilka dni później będzie docierał do stolicy, ona będzie już rozplątywała swój warkocz i puszczała na wiatr cztery włosy, zapominając o mężczyźnie, który jeszcze kilka dni wcześniej miał być jej mężem i panem przez całe życie.



ARGONAUCI WSCHODNIEJ SYBERII



Goldowie

Kiedy Bronisław Malinowski wydawał w 1922 roku *Argonautów zachodniego Pacyfiku*, książkę, która stała się jednym z najważniejszych dzieł współczesnej antropologii i ugruntowała metodę obserwacji uczestniczącej, Ferdynand Antoni Ossendowski kończył spisywać swoją relację z wypraw na Syberię, Daleki Wschód i Azję Centralną. Książka *W ludzkiej i leśnej kniei* (z 1923 roku) opowiadała o jego doświadczeniach z życia wśród rodzimych plemion Syberii. Czytając ją, często sprawdzałem, czy przywoływane przez niego ludy rzeczywiście istniały, czy ich obyczaje, obrzędy i wierzenia były takie, jak je opisywał, bo trudno było w to uwierzyć. Okazywało się, że pisarz nie dawał upustu swojej niepokromionej wyobraźni, ale opowiadał o rzeczach, jakie rzeczywiście mógł zobaczyć podczas swej dziesięcioletniej wędrówki po najdalszych zakątkach Syberii, Mandżurii, Azji Centralnej czy Sachalinu.

Opowieść o spotkaniu z Goldami (obecnie nazywanymi Nanajami), przedstawicielami tunguskiego ludu zamieszkującego wschodnią Syberię, stała się dla niego pretekstem do przybliżenia jego historii, wierzeń i obyczajów. Jest to obserwacja szczególnie cenna, bo Ossendowski był jednym z niewielu, którzy przyglądali się degeneracji i upadkowi Goldów. Przez stulecie potrafili oni doskonale dostosować się do bardzo trudnych warunków, żyli na niedostępnych, dziewiczych terenach, gdzie temperatura spadała poniżej pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Nie podołali jednak pojawieniu się białego człowieka i najgroźniejszym osiągnięciom jego cywilizacji: alkoholowi, tytoniowi i narkotykom. Goldowie byli doskonałymi myśliwymi, syberyjska tajga nie miała przed nimi tajemnic, rosyjscy kupcy kupowali od nich skórki soboli, na które polowali, a jako walutę stosowali wódkę. Podróżnik przyglądał się temu, jak alkohol rozkłada tę prastarą społeczność.

O kilka kroków dalej pod drzewem stał wysoki tubylec w poszarpanym ubraniu, upięszonym jaskrawymi szmatami i wstążkami, w wysokim kołpaku z kory brzoźowej. Prostował się ciągle i zginał do samej ziemi, ciągnąc za długi rzemień, którego koniec niął w mroku, wśród gałęzi starego, rozłożystego drzewa. Zacząłem wpatrywać się w niejasne kontury gałęzi i nagle zauważyłem, że wysoki człowiek w kołpaku... wieszka innego człowieka. Czarna figura wisielca powoli wznosiła się ku szeroko rozpostartym gałęziom, kołysząc się z boku na bok.

Chciałem ratować nieszczęśliwego, lecz jeden z moich przewodników, dawno mieszkający w obwodzie amurskim, uśmiechnął się i rzekł:
– Niech się pan nie przeraża! Goldowie wieszają swych nieboszczyków. Jest to forma pogrzebu.

Tak było istotnie. Trafiliśmy na pogrzeb Golda, który zmarł od nadmiernego pijaństwa.

Ferdynand Antoni Ossendowski
W ludzkiej i leśnej kniei

Przykładem tubylca, którego wódka doprowadziła do śmierci, był martwy Gold, którego wciąganiu na wysokie drzewo asystował polski eksplorator Syberii. Ossendowski zrelacjonował przebieg obrzędów pogrzebowych, które łączyły odwieczne praktyki szamańskie ze stypą suto zakrapianą alkoholem. Zwłoki zmarłego umieszczano na łubkach kory, ściągniętej precyzyjnie z pnia brzozy, a następnie obwiązywano mocno rzemieniami i wciągano na wyrastający wysoko konar. Podróżnik opowiadał, że na takich „pogrzebowych” drzewach zdarzało mu się widzieć po kilkadziesiąt wiszących trupów, w których trumnach ptaki wiły sobie gniazda. „Brzozowa trumna” miała tam wisieć do czasu, aż rzemienie przegniją i jej zawartość spadnie na ziemię, a jak wynikało z doświadczeń Goldów, trwałość rzemieni gwarantowała, że na ziemię spadną czyste kości.

Obrzędy pogrzebowe prowadził szaman, a składały się one z czterech części. Pierwsza polegała na przygotowaniu trumny, zamknięciu w niej zmarłego i zawieszeniu jej wraz ze zwłokami na drzewie pogrzebowym. Druga wiązała się z prześląganiem dusz zmarłych, którzy wcześniej zawiśli w tym napowietrznym cmentarzu, by przyjęli duszę i ciało zmarłego towarzysza i ugościli go jako nowego sąsiada. Trzecia skupiała się na duchu zmarłego, którego szaman wzywał do pojednania się i pożegnania z rodziną oraz przyjaciółmi, co było warunkiem opuszczenia przez niego tego świata. Wreszcie czwartą częścią pogrzebu, najbardziej oczekiwaną przez uczestników, była uczta pożegnalna, zwana „izaną”, podczas której uczestnicy biesiady pili na umór.

Obserwator zwracał uwagę na czynności wykonywane przez szamana, który tańczył, podskakiwał, wykonywał piruety, bił w bębny, grał na prymitywnych organkach, zmieniał stroje, a wszystko to zakrapiał sporymi ilościami spirytusu. Alkohol traktował jako trunek rytualny, którym częstował duchy zmarłych. Dzielił się z nimi w takiej proporcji, by duchy zachowały trzeźwość. Niewiele wódki wlewał zmarłym, większość sam wypijał. Obserwując smutne twarze Goldów, pijących wódkę bez żadnego umiaru, Ossendowski obawiał się, czy będą w stanie podnieść się następnego dnia. Gdy się przebudził o świcie, ich już nie było.

Ossendowski nie mógł wyjść ze zdumienia, że ci sami mężczyźni, których oglądał podczas uczty pogrzebowej całkowicie zamroczonych alkoholem, byli równocześnie tak doskonałymi łowcami. Obserwował prowadzone przez nich polowania, które imponowały mu, bo były prawdziwą i uczciwą walką człowieka ze zwierzęciem. Opowiadał na przykład o myśliwym z tego plemienia, który na krótkich nartach poruszał się tak szybko, że potrafił dogonić jelenia, potem biegł wraz z nim, kierując go ku wozowi, a tam dopiero zadawał mu śmiertelny cios.

Wielkie uznanie podróżnika budziły ich ubrania, które uważał za najdoskonalsze do przebywania w strefie arktycznej. Przypominały one kombinezony narciarskie, a wykonane były z naturalnych skór. Goldowie nie używali bielizny ani skarpetek, na nogi zakładali buty wykonane z jeleniej skóry, które połączone były ze spodniami uszytymi z tej samej materii. „Koszule goldzkie” uważał za najdoskonalszy wynalazek: uszyte były z dwóch warstw jeleniej skóry, zszytych ze sobą tak, że włosie było zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Pomiędzy skórą była pustka powietrzna, uzyskana dzięki wszyciu pomiędzy nie jelenich żył, będąca najlepszą ochroną termiczną. Do rękawów tych koszul przytroczone były rękawice oraz czapka, stanowiąca zarazem osłonę twarzy. Ossendowski wspominał, że sam używał kombinezonów przygotowanych przez Goldów i twierdził, że były to najlepsze stroje myśliwskie z jakich kiedykolwiek korzystał. Wyglądać w nich musiał nie jak syberyjski argonauta, ale astronauta.



Goldowie



Stanisław Poniatowski
Gold, 1914

SYBERYJSKIE TYGRYSY

„Przywidziało mi się!” – pomyślałem, lecz w tej chwili Luter, stojący na prawo ode mnie, na cały głos wrzasnął: – Tygrys! Tygrys!...

Wtedy zdałem sobie sprawę, że przed kilku minutami oczy moje spotkały się z jarzącymi oczami straszliwego drapieżnika. Widocznie namyślał się, czy napaść na mnie, czy też prześlizgnąć się niepostrzeżenie. Wybrał na moje szczęście ostatnie, inaczej zginąłbym z pewnością.

Ferdynand Antoni Ossendowski
W ludzkiej i leśnej kniei

Pisarstwo Ferdynanda Ossendowskiego wielokrotnie zestawiano z twórczością Rudyarda Kiplinga. Podobieństw pomiędzy tymi autorami jest faktycznie wiele. Akcja ich książek rozgrywa się w Azji, wśród jej autochtonicznych społeczności; bohaterami są często dzieci, z których perspektywy pokazywana jest otaczająca rzeczywistość; bardzo znaczące miejsce zajmują także zwierzęta, którym nadawane są cechy ludzkie, tak że stają się one symbolami określonych postaw.

W twórczości obu pisarzy szczególną figurę stanowi tygrys, ukazywany jako okrutny i podstępny antagonistą człowieka. W *Księdze dżungli* Kiplinga jest nim złowrogi i bezwzględny wróg Mowgliego – tygrys Shere Khan, który jest uosobieniem pychy i chęci dominacji. W książkach Ossendowskiego pojawiają się natomiast tygrysy syberyjskie, znacznie większe i groźniejsze od bengalskich.

Myśliwi uczestniczący w polowaniu, podczas którego pisarz spotkał się oko w oko z tygrysem, spostrzegli drapieżnika, gdy oddalał się z miejsca nieoczekiwanego spotkania. Po chwili odnaleźli ślady wielkiego kota, który, przyglądając się podróżnikowi, przysiadł na tylnych łapach i przygotowany był do skoku. Ossendowski otarł się o śmierć, wystarczył jeden tygrys sus, a jego szyja byłaby rozerwana szponami dzikiego zwierzęcia. Dlaczego tygrys zrezygnował z pewnego ataku? Myśliwi nie potrafili tego wyjaśnić. Przeżegnali się tylko, dziękując Bogu za ocalenie.

Podobnie postępowali łowcy wywodzący się z ludów, które od stuleci żyły na Syberii. Mimo że byli doskonałymi myśliwymi, nie polowali na tygrysy, bo uważali je za zwierzęta święte. Obawiali się, że zabicie przegowanego kota sprowadzi na nich gniew bogów. Uważali go za zwierzę szlachetne i tak potężne, że człowiek nie powinien z nim walczyć, a raczej nauczyć się żyć, akceptując jego obecność, unikając konfliktów z największym drapieżcą. Tygrysy syberyjskie były przyzwyczajone, że z ludźmi nie wchodziły sobie w drogę i być może właśnie ta „naturalna” umowa pomiędzy północnymi łowcami a tygrysami, ocaliła Ossendowskiego, bo drapieżnik uszanował niepisane porozumienie o nieagresji.

Być może w zaskoczeniu złamaniem tego porozumienia kryło się także wyjaśnienie niezwyklego sukcesu myśliwskiego, jaki odniósł jeden z bohaterów książki *W ludzkiej i leśnej kniei*, zwany Pijanym Tygrysem. Był nim przewodnik Ossendowskiego, Kozak o nazwisku Kanugutów. Dopytywany przez pisarza, opowiedział mu historię, której zawdzięczał swój przydomek. Jej początek wiązał się z eskortowaniem rosyjskiego generała, wizytującego budowę kolei transsyberyjskiej, za co Kozak otrzymał tak sowitą zapłatę, że postanowił jej część natychmiast upłynnić w kolejowym bufecie. Gdy wieczorem, kompletnie pijany, wracał konno do domu, koń przeląkł się czegoś i rzucił go z siodła. Wyczerpany alkoholem mężczyzna zasnął pod krzakiem. Obudził się o świcie, spojrzał ku nasypowi kolejowemu i zobaczył wpatrującego się weń tygrysa. Nie myśląc wiele, chwycił za karabin i oddał strzał. Gdy po chwili wyjrzał zza krzaka i zobaczył ciągle wpatrującego się w niego tygrysa, oddał drugi strzał. Kiedy po raz trzeci wychylił się z kryjówki, tygrys nadal spoglądał na niego nienawistnym wzrokiem, strzelił więc w jego kierunku po raz trzeci, a będąc pewnym, że znowu chybił, skulił się, czekając na nieunikniony

atak. Dopiero po godzinie odważył się wyrzeć ze swojej kryjówki, spojrzał na kolejowy nasyp, ale tygrysa na nim nie było. Ruszył ku miejscu, gdzie go widział ostatni raz i znalazł tam... ciała trzech tygrysów, które zastrzelił.

Kozak Kagunow nie był jedynym „pijanym tygrysem”, o jakim pisał Ossendowski. Podczas swoich podróży badawczych dotarł do brzegów Oceanu Spokojnego i na wyspę Sachalin, która była nie tylko miejscem zsyłki katorżników, ale także oficerów rosyjskich, skazanych za sprzeniewierzenie funduszy państwowych, hazard, pijaństwo, skandale czy okrucieństwo przekraczające normy dopuszczalne w armii carskiej. Dla większości z nich Nowokijewsk, położony przy granicy z Koreą, był ostatnim garnizonem i wiedzieli, że spoczną na miejscowym cmentarzu. Jeden z oficerów opowiedział Ossendowskiemu o ulubionej zabawie oficerów tej jednostki. Odbывała się ona wieczorem, gdy pijani oficerowie zbierali się w kasynie, które było brudną i ciemną szopą. Rozpoczynano od losowania i ten, kto wyciągnął biały los, zostawał myśliwym, a ten, który czerwony, tygrysem. Publiczność wspinała się na górne szczeble drabin rozstawionych pod ścianami, na dole pozostawał tylko „myśliwy” z rewolwerem i „tygrys” z dzwoneczkiem. Wypijano po szklance wódki czy araku i gaszono światło. Tygrys przekradał się pod ścianami, a myśliwy wsłuchiwał się w szmery i czekał, aż zdradzi go dzwoneczek, aby oddać śmiertelny strzał. Gdy nie trafiał, następowała zamiana ról. Czasami w trakcie takiej zabawy ginęło po kilku oficerów, których ciała poranne patrole odnajdywały nad brzegiem zatoki, a w raporcie zapisywano, że oficer zginął w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z bronią.

Największy postrach wśród mieszkańców rosyjskich wschodnich guberni budzili jednak inni ludzie-tygrysy. Byli to tak zwani chunchuzi, chińscy bandyci operujący na terenie Korei, Mandżurii, północnych Chin, Kraju Ussuryjskiego i wschodniej Syberii. Rekrutowali się spośród przestępców, dezertków, ludzi marginesu społecznego i innych awanturników wyjętych spod prawa. Tworzyli oni organizację mafijną w najgorszym znaczeniu tego słowa. Napadali na prywatne domy, sklepy i składy kupców, banki i kantory, pobierali haracze od robotników chińskich zatrudnionych w przedsiębiorstwach. Ossendowski najbardziej zbulwersowany był postępowaniem chunchuzów, którzy zatrudniali się jako służba w europejskich domach, a gdy poznali już rozkład budynku, obyczaje gospodarzy, a przede wszystkim miejsca, gdzie przechowują pieniądze, biżuterię i cenne przedmioty, okradali z majątku tych, którzy zaprosili ich do swojego domu. Chunchuzowie wielokrotnie pojawiają się na kartach książek Ossendowskiego, najczęściej jako rozbójnicy, zawsze pisze o nich z odrazą i uważa za najgorszy sort ludzi, z jakimi zetknął się na Dalekim Wschodzie.

OPOWIEŚCI Z DALEKIEJ PÓŁNOCY

W ostatnich pięćdziesięciu latach caratu Polaków – urzędników, lekarzy i żołnierzy najchętniej posyłano na posady na Syberię.

Pamiętam otwarcie Klubu Syberyjskiego w Piotrogradzie, gdzie jeden z obecnych gości, Polak, w swojej mowie bardzo dowcipnie zauważył:
„My, Polacy, posiadamy dwie ojczyzny: jedną – Polskę, drugą – Syberię!”.

Ferdynand Antoni Ossendowski
W ludzkiej i leśnej kniei

Ossendowski był częstokroć porównywany do Jacka Londona, jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich, którego powieści opowiadają o życiu na dalekiej północy, o zmaganiu się człowieka z naturą oraz determinacji umożliwiającej przetrwanie. Miejszem akcji książek Londona była północ Ameryki, której realia niewiele różniły się od rzeczywistości syberyjskiej opisywanej przez Ossendowskiego. Na Syberii mogła się przecież rozgrywać akcja opowieści o Bucku, mieszańcu bernardyna i owczarka szkockiego, wiodącym spokojne życie w Kalifornii, skąd został porwany i sprzedany na Alaskę, gdzie został psem zaprzęgowym. W tajdze odkrył drzemiące w nim instynkty dawnych przodków i powrócił do swej wilczej natury (*Zew krwi*). Podobnie zresztą jak historia półkwi wilka, który na dalekiej północy dorastał i przechodził przez okrutne doświadczenia, zanim trafił pod opiekę człowieka, który go oswoił i nauczył życia wśród ludzi (*Biały Kieł*). Polski pisarz mógłby być także z powodzeniem narratorem, a nawet bohaterem opowieści o młodym człowieku, który zakochuje się w dziewczynie z wyższych sfer, którą spotyka na petersburskich salonach, a żeby ją zdobyć, postanawia zostać pisarzem i zrobić karierę literacką (*Martin Eden*).

W twórczości Ossendowskiego bez trudu odnaleźć można wątki i opowieści nieróżniące się od naturalistycznych powieści Londona. Podobnie jak amerykański autor, polski podróżnik pisał prostym, sugestywnym językiem, najlepiej oddającym brutalność natury i trudne wybory moralne, przed jakimi stawiani byli bohaterowie. Fabułą ich opowieści często jest walka człowieka lub zwierzęcia z siłami natury, z determinującym ich losem czy pętającymi normami społecznymi. Z pisarstwa obu autorów przebiega autentyzm osobistego doświadczenia życia w trudnych warunkach zimnej Północy, widać także wyraźne wpływy darwinizmu oraz filozofii Nietzschego. Obaj materiał do swych książek czerpali z osobistych doświadczeń. London brał udział w wyprawie poszukiwaczy złota do Klondike, gdzie poznał bezlitosny klimat i trudności, z jakimi muszą zmierzyć się pionierzy. Ossendowski przez dziesięć lat przemierzał Syberię jako naukowiec, poszukując złóż węgla, ropy naftowej, złota i innych cennych metali, których eksploatacja miała na kolejne dekady przesądzić o potęgze Rosji.

Paradoksalnie to Ossendowski miał znacznie szersze doświadczenia i bardziej wszechstronnie opisywał rosyjską północ. W artykułach naukowych pisał o odkrywanych przez siebie złożach, ich położeniu, zasobności czy strukturze. Ludzi, których poznał podczas swoich syberyjskich wędrówek, uczynił bohaterami powieści, nowel, opowiadań czy relacji. Jego północne opowieści są znacznie bogatsze niż Londona, bowiem poznał nie tylko środowisko eksploratorów i poszukiwaczy złota, ale także miał liczne relacje z władzami cywilnymi i wojskowymi

instalowanymi dla opanowania tych niezmierzonych przestrzeni. Doskonale rozumiał także doświadczenia zesłańców przymusowo zasiedlających Syberię, a przede wszystkim starał się poznać i zrozumieć ludy autochtoniczne, które mieszały tutaj, nim rozpoczęła się kolonizacja i rabunkowa polityka realizowana przez białych ludzi.

Obrazki literackie z Syberii, jakie Ossendowski pozostawił w licznych swoich książkach, zarówno adresowanych do dorosłego czytelnika (na przykład *W ludzkiej i leśnej kniei*), jak i do młodzieży (na przykład *Mocni ludzie*) czy do najmłodszych czytelników (na przykład *Czao-Ra. Opowieść północna*), pokazują, że niczym nie ustępują one obrazom kreślonym przez Jacka Londona w jego *Opowieściach z Alaski*. Ossendowski miał potencjał literacki na stworzenie wielkiej powieści syberyjskiej, podobnej do *Wygi* Londona, bo podbój Syberii niewiele się różnił od amerykańskiej gorączki złota. Na Syberii działali Rosjanie, Żydzi, Niemcy, Brytyjczycy, Amerykanie, Polacy, Japończycy, do pracy zaprzęgano tysiące Chińczyków i Koreańczyków, a wszystko to działo się przy postępującej eksterminacji ludności autochtonicznej.

Niestety, w czasach rosyjskich Ossendowski zajmował się tak rozlicznymi działalnościami – był badaczem, wykładowcą, politykiem, dziennikarzem, reporterem, wydawcą, organizował fabryki, opracowywał patenty – że literaturę traktował jako zajęcie dodatkowe i nie miał szczególnych aspiracji literackich. Gdy osiedlił się w Polsce, opromieniony sławą jednego z najbardziej poczytnych pisarzy na świecie, pisał bardzo wiele, często na akord, ale wówczas, gdy Syberia znajdowała się pod władztwem komisarzy ludowych, nie było już klimatu czytelniczego do stworzenia powieści o niej jako o kraju wielkich możliwości, gdzie hartują się i łamią charaktery, a milionowe fortuny upadają tak prędko, jak szybko powstają.

Klimatu takiego nie było zwłaszcza w Polsce, gdzie od czasów romantyków i zesłanych powstańców listopadowych, ten rejon świata miał nawet specjalne, polskie określenie – Sybir. Było to jedno z najstraszniejszych słów w języku polskim, w którym zawarte było najgłębsze nieszczęście, tragedia, niedola i droga bez powrotu. Przekonania rodaków, że Syberia była nie tylko miejscem zesłania, ale dla wielu Polaków stała się ziemią obiecaną, gdzie dorabiali się majątków, do których daleko było łódzkim lodermenschom, takim jak Karol Borowiecki z powieści Władysława Stanisława Reymonta, nie podjął się nawet Ossendowski.

PRZEDSIĘBIORCA WOJENNY



Port Artur, 1904

W pamiętnym dla Rosji roku 1904 przeniosłem się do Tomsku, gdzie zajmowałem stanowisko docenta politechniki, do Władywostoku, zaproszony dla dokonania chemicznych badań węgla, ropy i złota, tudzież innych surowców Azji Wschodniej. Po moim przybyciu na Dalekim Wschodzie zaczęły się dziać wypadki dające dużo do myślenia...

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

Profesor Zaleski, przekonując władze carskie, by zezwoliły na powrót Ossendowskiego, zapewniał, że młody naukowiec nie stanowi dla Rosji zagrożenia, a dobrze jej się przysłuży swoimi badaniami i pracą naukową. Nie przypuszczał, że działalność jego podopiecznego nie ograniczy się do nauki, a będzie on miał znaczny udział we wzmacnieniu rosyjskiego przemysłu oraz potencjału militarnego podczas wojny z Japonią.

Sprężyną, która uruchomiła ciąg wypadków, o których wspomina Ossendowski, było wykupienie przez Rosję koncesji na korzystanie z rzeki Jalu, stanowiącej jej granicę z Koreą. Wiadomość o tym wywołała ogromne oburzenie w Japonii, która traktowała Koreę jako swoją strefę wpływów, a działanie Rosji uważała za pierwszy krok zmierzający do zagarnięcia przez nią tego kraju. W Tokio obawiano się, że Rosjanie zastosują metodę działania przetestowaną już w Mandżurii, gdzie rozpoczęli od wykupienia koncesji na zbudowanie Kolei Wschodniochińskiej, a w krótkim czasie zawładnęli prowincjami Heilung-Kiang, Fengtien oraz Kirin, które były obszarem japońskich interesów.

Japończycy nie mogli pozwolić na wyparcie ich przez Rosjan z półwyspu koreańskiego, bo to zagrażałoby już bezpośrednio bezpieczeństwu wyspiarskiego państwa. Oddziały armii japońskiej pojawiły się na granicy koreańsko-rosyjskiej z rozkazem niszczenia rosyjskich oddziałów wojskowych, instalacji, przedsiębiorstw, a nawet ekspedycji naukowych, które samowolnie przekroczyłyby granicę. Na początku stycznia 1904 roku doszło do pierwszych starć z oddziałami rosyjskimi, po których nastąpiła cisza... Cisza przed burzą.

Wojna japońsko-rosyjska rozpoczęła się w nocy z 8 na 9 lutego 1904 roku od ataku floty japońskiej na carskie okręty zacumowane w Port Artur oraz w portach na wybrzeżu Korei. Rosyjska flota Pacyfiku praktycznie przestała istnieć. Japonia zyskała pełne panowanie na morzu. Utrzymanie dominacji nad Koreą nie było jedynym celem armii cesarskiej, jej wojska lądowe wkroczyły do Mandżurii, by odzyskać kontrolę nad tym regionem.

Ossendowskiego zmobilizowano już w pierwszych dniach wojny. Wysłany został na Daleki Wschód z zadaniem zorganizowania tam laboratorium badawczego oraz fabryk, w których produkowane będą materiały potrzebne walczącej armii rosyjskiej, całkowicie uzależnionej od dostaw przesyłanych torami kolei transsyberyjskiej z europejskiej części Rosji. Dostarczenie na Daleki Wschód mundurów, żywności, uzbrojenia, amunicji, transport żołnierzy – wszystko to przekraczało przepustowość kolei. Zniszczenie linii kolejowej w wyniku ataku dywersyjnego uniemożliwiłoby prowadzenie działań wojennych przez wojska rosyjskie. Konieczne było

jak najszybsze uruchomienie na miejscu produkcji tego, co tylko możliwe. Takie właśnie zadanie postawiono przed młodym chemikiem.

Pierwszym wyzwaniem było zadbanie o to, by to, co już znajdowało się na Syberii, mogło się po niej przemieszczać. Do poruszania osi wagonów kolejowych, kół wozów taborowych i innych pojazdów niezbędne były ogromne ilości smaru, który przywożony był dotychczas koleją z europejskiej części Rosji. Smar niezbędny był także do używania armat, dział, a nawet karabinów. Ossendowski szybko znalazł rozwiązanie tego problemu i opracował recepturę pozyskiwania oleju ze strąków soi, która była w Mandżurii powszechnie rosnącym chwastem.

Równolegle z prowadzeniem badań laboratoryjnych przystąpił do budowy fabryki w Charbinie, jednym z najważniejszych miast rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Zakład natychmiast rozpoczął produkcję i pozyskiwał surowiec (olej sojowy) prostą metodą zimnego tłoczenia. Oleju było tak dużo, że Ossendowski wykorzystał jego ilości do wytwarzania smarów, a także zaczął fabrykować mydło. Wystarczyło kilka miesięcy, a dostawy smarów i mydeł z Rosji mogły zostać całkowicie wstrzymane, bo fabryka zbudowana przez polskiego chemika z powodzeniem zaopatrywała w te produkty cały Daleki Wschód.

W PALARNI OPIUM

W ciemnych, cuchnących fun-tze pracowali szewcy, krawcy, ślusarze i blacharze; dalej prowadził swój proceder golibroda, zeszkrobując ostrym odłamkiem kosy włosy z chińskich twarzy i myjąc rozplecione warkocze tak gorącą wodą, że klienci wyli z bólu; zaplatał je, sztukując końskim włosiem najmniej obfite i okazałe i zawiązując nowymi, jedwabnymi sznurami z kitą na końcu.

Przy małym stoliku siedział otyły, stary Chińczyk, uzbrojony w olbrzymie okulary w czarnej oprawie, co było oznaką jego uczoności. Miał przed sobą pudełko z tuszem, kilka pędzli, paczkę papieru i długich kopert, z czerwonym paskiem pośrodku. Był to specjalista od pisania podań do władz, listów prywatnych i rachunków firmowych. Chińczyk w okularach też bardzo głośno zalecał swoją sztukę, która – jak zaręczał – miała skutek niezawodny.



Plantacje maku
przerabianego
na opium

Przy innym stoliku siedział lekarz, udrapowany w szeroki płaszcz, mając na małym, spłaszczonym nosie dodające powagi okulary. Wysłuchiwał skarg cierpiących na różne dolegliwości pacjentów i – nie pytając ich o nic i nawet nie patrząc – wymieniał sumę należną za lekarstwo i suchą, pomarszczoną dłonią wyciągał z szafki proszki i pigułki. Dalej doszły mnie jakieś dzikie krzyki, jęki i obłędny śmiech, dochodzący z fun-tze o szczelnie zamkniętych oknach i drzwiach.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

Z fun-tze, drewnianego domku skleconego z desek – pomimo zamkniętych drzwi i okien – dochodziły dzikie krzyki, jęki i obłędny śmiech. Funkcjonowała w nim palarnia opium. Jedna z tysięcy działających wówczas w Chinach. Znajdowały się one nawet w małych miejscowościach, czyniąc z milionów Chińczyków niezdolnych do normalnego funkcjonowania narkomanów.

Do lat 40. XIX wieku opium było w Chinach zakazane, zakaz ten był jednak nagminnie łamany, zwłaszcza przez Brytyjczyków, którzy przywozili ogromne ilości narkotyku z plantacji w swoich koloniach i rozprowadzali go na czarnym rynku. Skalę zbrodniczego procederu ilustruje wydarzenie z 1839 roku, kiedy cesarz Daoguang nakazał zablokowanie brytyjskich faktorii handlowych i zniszczenie zgromadzonych w nich zapasów opium. Niszczenie narkotyku, polegające na mieszanii go z solą i wysypywaniu do morza, trwało przez 22 dni, bo zarekwirowano 20 tysięcy skrzyń opium. Akcja antynarkotykowa wzbudziła wściekłość Europejczyków i doprowadziła do wybuchu tak zwanej pierwszej wojny opiumowej, w trakcie której wojska brytyjskie i francuskie zajęły chińskie porty i zmusiły władze chińskie do podpisania traktatu pokojowego. Państwo Środka musiało się zobowiązać do otwarcia swojego rynku na import zachodnich towarów, przede wszystkim opium.

Zalegalizowany narkotyk szybko zyskał ogromną popularność wśród Chińczyków i stał się przyczyną postępującego rozkładu tego tradycyjnego społeczeństwa. Palarnie opium za drobną opłatą oferowały zapomnienie o wszelkich problemach, miliony ludzi popadały w letarg i stawały się niezdolne do podjęcia jakichkolwiek działań bardziej skomplikowanych niż zarobienie na kolejną działkę. Uzależnienie ludzi od opium stało się skutecznym sposobem na podporządkowanie Chin zachodnim mocarstwom kolonialnym.

Ossendowski wspominał, że tylko raz odwiedził palarnię opium, bo chciał się osobiście przekonać, jak funkcjonują takie przybytki i zrozumieć, co powoduje, że ludzie zapominają się w nich tak bardzo, że tracą majątek, rodzinę, zdrowie i życie. Miał wówczas niespełna 30 lat, a zdarzyło się to w niewielkiej kolonii robotniczej Boduno, gdzie przyjechał w związku z rekrutowaniem chińskich robotników do organizowanej przez niego fabryki w Charbinie.

Wszystko zaczęło się całkiem niewinnie. Położył się na granatowym materacu, na leżance z drewna gruszy i z zaciekawieniem przypatrywał się młodej Chince w żółtej sukni. Ta umoczyła długą igłę w naczyniu z kości słoniowej, nabrała na jej czubek kuleczkę ciemnobrązowej masy, utwardzała ją nad płomieniem świecy i ponownie zanurzyła w brunatnej masie; czynność tę powtórzyła kilkakrotnie. Czarną kulkę wielkości ziarnka grochu toczyła potem na szpatułce z kości słoniowej, aż uzyskała ona

odpowiedni kształt i spistość, a następnie włożyła ją do porcelanowej fajki, która w nakrywcę główki miała miejsce przeznaczone na ten opiumowy koralik.

Ossendowski zaciągnął się dymem z fajki, który zaczął drażnić i drapać jego gardło. Niedoświadczony palacz krztusił się, czuł gryzienie i łaskotanie „jakby w jego wnętrznościach zamieszkał rój pszczoł”. Po chwili nieprzyjemne doznania ustały, zaczął odczuwać miłe rozluźnienie, przez głowę przepływały coraz radośniejsze myśli, powoli popadał w odrętwienie. Wzrok mu się mącił, nie widział już dziewczyny w żółtej sukni, zamiast niej pojawiły się narkotyczne zwidy. Poczuł, jak zewsząd otaczają go wychudłe twarze, wpatrujące się w niego ciemnymi oczodołami. Słyszał, jak zapraszają go do krainy zmarłych, jak go nawołują. Starał się zapanować nad sytuacją, chciał się przeciwstawić postępującemu odrętwieniu, nie potrafił jednak tego dokonać, tracił kontakt z rzeczywistością.

Nie wiedział, jak długo znajdował się w tym stanie, poza świadomością. Gdy wreszcie zaczął wracać do rzeczywistości i otworzył oczy, wydawało mu się, że w sali wokół niego nic się nie zmieniło. Czuł się tak, jakby minęło zaledwie kilka minut. Gdy spojrział w okno, przekonał się, że minąć musiało wiele godzin, bo na zewnątrz zapadł już zmrok i świecił księżyc. Spojrzał na kobietę pochylającą się nad jego łóżkiem. Płakała. Jej łzy spadały na jego pościel. Nie rozpoznawał jej, ale wydawało mu się, że gdyby ją poznał, to byłby w stanie jej pomóc i powstrzymać jej płacz. Zaczął się jej intensywnie przypatrywać i nagle w płaczącej kobiecie rozpoznał swoją matkę. Owładnęło nim przerażenie, zacisnął powieki i natychmiast odwrócił się na leżance. Kiedy ponownie uniósł powieki, ujrzał leżącego przed sobą mężczyznę z szeroko otwartymi, nic niewidzącymi oczami. Zaczął krzyczeć z przerażenia.

Jego głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy poczuł, że czyjaś delikatna dłoń trzyma go za rękę, gładzi i uspokaja. Gdy tym razem otworzył oczy, ujrzał znany mu pokój w palarni opium, oświetlony łagodnym światłem lampy. Młoda Chinka przepraszała, że podała mu zbyt dużą porcję, bo nie wiedziała, że to jego pierwsze doświadczenie z paleniem opium. Zapewniała, że następnym razem będzie znacznie przyjemniej. Następnego razu już jednak nie było. Panu Antoniemu w zupełności wystarczyło jedno-razowe doświadczenie narkotyczne.

REWOLUCJA I POGROMY

Do stolicy trafiłem w momencie rodzącej się rewolucji [...]. Byłem pamiętnego dnia, 9 stycznia 1905 roku, w Petersburgu i widziałem znaczną część tragedii, gdy tysiące robotników z fabryk petersburskich, studentów i inteligentów wyległy na ulice, zbierały się w wielkie kolumny, które nareszcie zlały się w jeden olbrzymi pochód, sunący wolno i majestatycznie główną ulicą stolicy – Newskim Prospektem, a zdążający, za poradą agenta policji, popa Gapona, ku pałacowi monarchy z błaganiem o lepszy i uczciwszy rząd. Na placu pałacowym, jak wiadomo, wierne carowi wojska strzelały do tłumów, nie szczędząc nabojów.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

Pamiętny 9 stycznia 1905 roku, o którym pisze Ossendowski, przeszedł do historii jako krwawa niedziela i uznawany jest za początek rewolucji 1905 roku, która wstrząsnęła całym carskim imperium. Podłożem społecznego niezadowolenia były wiadomości o kolejnych klęskach ponoszonych przez armię rosyjską w wojnie z lekceważoną Japonią, a przede wszystkim skokowy wzrost cen podstawowych artykułów i brak kompensujących podwyżek płac dla robotników. Wspomniany przez Ossendowskiego prawosławny duchowny, współpracownik carskiej Ochrany (tajnej policji), Gieorgij Gapon kierował Stowarzyszeniem Rosyjskich Robotników Fabrycznych Miasta Petersburga, które powstało pod kuratelą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, aby kontrolować aktywność pracowników i zapobiegać ich angażowaniu się w działalność socjalistycznych i antycarskich organizacji robotniczych. Bezpośrednim powodem wystąpienia było zwolnienie kilku robotników z Zakładów Putiłowskich, a jego organizatorzy chcieli jedynie przekazać carowi petycję i zwrócić się do niego z prośbą o ochronę przed wyzyskiem właścicieli fabryk oraz samowolą urzędników.

Ossendowski pojawił się w Petersburgu w związku z potrzebami swojego syberyjskiego laboratorium oraz budowanej fabryki, których sposób finansowania ustalić musiał z urzędnikami ministerialnymi. Przypadkowo stał się świadkiem rewolucyjnych wydarzeń, rozpoczynających zmiany systemu panującego w Rosji, czego kolejną odsłoną była rewolucja lutowa 1917 roku, a decydującym akordem bolszewicka rewolucja październikowa 1917 roku. Wydarzenia z 1905 roku Ossendowski określał jako „rewolucję częściową”, zorganizowaną przez liberalną inteligencję, do której przyłączyli się robotnicy, a która podtrzymywana była przez szukające okazji do każdej zamieszki stronnictwa socjalistyczne. Był naocznym świadkiem walk ulicznych, widział zbudowane na ulicach barykady, słyszał strzały rebeliantów oraz salwy oddawane przez wojska wierne carowi. Sam ledwie uszedł z życiem, gdy następnego dnia, 10 stycznia 1905 roku, szedł Prospektem Newskim, główną ulicą Petersburga, kiedy ta została zamknięta z dwóch stron przez żołnierzy rosyjskich oddających kolejne salwy w kierunku zgromadzonych na niej, bezbronnym przechodniów.

Wypadki w Petersburgu spowodowały, że przeciwko władzy carskiej wystąpiły zniewolone narody. Jako pierwsi poderwali się Polacy, po nich nieujarzmieni mieszkańcy Kaukazu, a wreszcie mieszkańcy Uralu oraz członkowie ludów syberyjskich i szczepów mongolskich, wtłoczonych przemocą w potężne ciało Rosji. Dla rewolucji 1905 roku charakterystyczne było, że poszczególne grupy chciały wówczas zrealizować swoje odmienne cele. Robotnikom zależało na wyższych pensjach i ośmiogodzinnym dniu pracy, chłopom na zmniejszeniu ucisku obszarników, inteligencji na przeprowadzeniu liberalnych, demo-

kratycznych reform, a socjalistom i komunistom na obaleniu caratu i ustanowieniu władzy rad.

Imperium carskie było wówczas w fazie schyłkowej, nie potrafiło już pokonać armii japońskiej, ale potrafiło jeszcze ujarzmić zbuntowane narody. Car nie negocjował z petersburskimi robotnikami, a tym bardziej z podbitymi narodami. Powstania i zrywy wolnościowe zostały bezwzględnie stłumione przez wojsko, a ich uczestnicy ponieśli srogie konsekwencje. W wielu miejscach rosyjscy żołnierze odmawiali strzelania do rosyjskich robotników i chłopów. Carscy doradcy znaleźli jednak doskonały sposób na spacyfikowanie buntowników oraz tych, których podejrzewali, że mogą się zbuntować w przyszłości. Wykorzystali do tego męty i wyrzutki społeczne, dla których szkołą życia były carskie więzienia. Partia monarchistyczna wezwała tych ludzi z marginesu społecznego, by pomogli w skróceniu karku rewolucyjnej hydrze i stanęli w obronie dobrego, białego, świętego cara. Masowo zaczęto wypuszczać przestępców z więzień, obiecywano im wolność, bezkarność, a czasem też pieniądze za zabijanie tych, których wskazywano im jako wrogów cara. Morderstwa, gwałty i rabunki stały się codziennością. Całe imperium zapłonęło od masakr dokonywanych na Polakach, Tatarach, Ormianach i Żydach. „Był to – pisał Ossendowski – pamiętny okres «pogromów», czyli oddania zawodowym zbrodniarzom, niedawno wypuszczonym z więzień, na pastwę i łup nieraz całych miast za milczącą zgodą władz miejscowych i rządu petersburskiego”.



Wojciech Kossak
Krwawa Niedziela w 1905 roku

CHŁOPCY MALOWANI

Ossendowski nie przebywał zbyt długo w Petersburgu, bo już w lutym 1905 roku był na powrót w Charbinie, gdzie organizował warsztaty i zakłady mające na miejscu wytwarzać produkty potrzebne armii walczącej z japońską inwazją. Powracając ze zrewolucjonizowanej, europejskiej części Rosji, był zdumiony optymizmem panującym na Dalekim Wschodzie. Na Syberii nie zdawano sobie sprawy ze skali wystąpień antyrządowych, a mimo bolesnych klęsk poniesionych na froncie, przybywające oddziały młodych wojaków, pewnych siebie, radosnych, doskonale się prezentujących w barwnych mundurach, przekonywały, że porażki wynikały tylko z zaskoczenia, ale teraz, gdy rosyjski sztab otrząsnął się już z szoku wywołanego podstępny atakiem, Japończycy zostaną szybko pokonani i będą bardzo żałowali, że odważyli się podnieść rękę na świętą Rosję.

Tymczasem podstępni Japończycy nie zamierzali się poddać, a nawet przegrać choćby drobnej bitwy. Z przybycia rosyjskich żołnierzy bardzo się natomiast ucieszyli, bo w swych kolorowych mundurach stanowili oni doskonałe ruchome tarcze. Japońscy strzelcy potrafili wybijać do nogi barwne, rosyjskie oddziały, sami zaś pozostawali dla nich niemal niewidoczni w maskujących mundurach w kolorze khaki.

Dowództwo rosyjskie zwróciło się do laboratorium, które prowadził Ossendowski, by opracowało ono metodę farbowania mundurów żołnierzy rosyjskich na kolory ochronne. W procesie technologicznym musiały być wykorzystane dostępne na miejscu minerały. Nasz chemik sprawnie wywiązał się z zadania i przygotował recepturę barwnika produkowanego w oparciu o węgiel brunatny. Dzięki niemu rosyjscy żołnierze stali się wkrótce niewidoczni dla wroga i przynajmniej w tym zakresie nie odstawali od swoich przeciwników. Wielu spośród nich ocalenie życia zawdzięczało maskującym mundurom, które farbowano dzięki technologii opracowanej przez Ossendowskiego.



Rosyjski plakat z początku wojny rosyjsko-japońskiej
Kozackie śniadanie, 1904

W lutym 1905 roku powróciłem do Charbina. Tu dowiedziałem się o szczegółach porażek, doznanych przez wojska syberyjskie, lecz nastrój panował wszędzie doskonały. Jeszcze święcie wierzono w zwycięstwo Rosji i pokładano nadzieję w świeżych pułkach, dążących z zachodu [...].

Razem z pierwszymi jaskółkami zjawily się oddziały wojsk z europejskiej Rosji. Przybyły jak na wycieczkę wojenną, w białych, różowych i błękitnych bluzach i wszystkie okolice Charbina, niby kwiatami, pokryły się barwnymi grupami nowo przybyłych żołnierzy. Przyjemnie było patrzeć na te malownicze, jaskrawe plamy na ciemnoszmaragdowym tle łąk i krzaków.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

MISTER OSS

[...] Przeszliśmy już, mój koń i ja, niemiecką wszerek krainę
I rosyjska granica za nami została
Tutaj mróz jest zwycięzcą, daje nam się we znaki
Nie masz już dnia bez gradu, codziennie pada śnieg.

Gdym wreszcie znalazł wieś, szarą i posępną
Spytałem, gdzieżem zaszedł i jak zwie się kraj
Litością zdjęty dawnych słuchałem powieści
O Polsce startej ze wszystkich świata map.
Tam widać ślady potężnego zamku
Tu mur obronny został z dawnych lat
Błyszczą się w zimnym świetle słońca o zachodzie
Nawet kukułka lecąc smutny kreśli cień.

Zwykle światu są chwała, zmierzch, rozkwit, upadek
Znana to kolej rzeczy i porządek życia
Ale aż takie zgłiszcza i taką ruinę
Sam nie wiem, czy kto widział nawet w mroku snów.

Zwykle świata pytanie być albo nie być,
wznosić czy rujnować
Zasada, której nie zaprzeczy nikt
Trzeba tu być choć raz i zobaczyć
Tę ziemię, na której nie ma nieszczęścia granic.

Kraj, którego przeszłość kwitła
Gdzie podziały się jego kolory i zapachy?
Kiedyż przyjdzie do Polski wiosna
Podobna do krótkiego snu?

Naobumi Ochiai
Wspomnienie Polski (Pōrando-kaiko)
(tłum. Ewa Pałasz-Rutkowska)

Ossendowski intensywnie pracował, by wzmocnić potencjał wojenny armii carskiej walczącej na Dalekim Wschodzie z Japończykami. Pomimo tego nie uniknął zarzutów, że był agentem japońskiego wywiadu. Dzisiaj brzmi to może niezbyt poważnie, ale na początku XX wieku współpraca wywiadowcza Polaków i Japończyków nie była niczym zaskakującym, a po wybuchu w 1904 roku wojny japońsko-rosyjskiej w Kraju Kwitnącej Wiśni pojawili się nawet przywódcy dwóch głównych polskich nurtów niepodległościowych – Józef Piłsudski z Polskiej Partii Socjalistycznej oraz Roman Dmowski z Narodowej Demokracji. Nic tak bowiem nie jednoczy narodów jak wspólny wróg, a Rosja była śmiertelnym zagrożeniem zarówno dla Polski, jak i dla Japonii. Pokonanie, a choćby osłabienie carskiego imperium leżało w strategicznym interesie obu narodów, z których jeden był największym sąsiadem Rosji na wschodzie, a drugi na zachodzie.

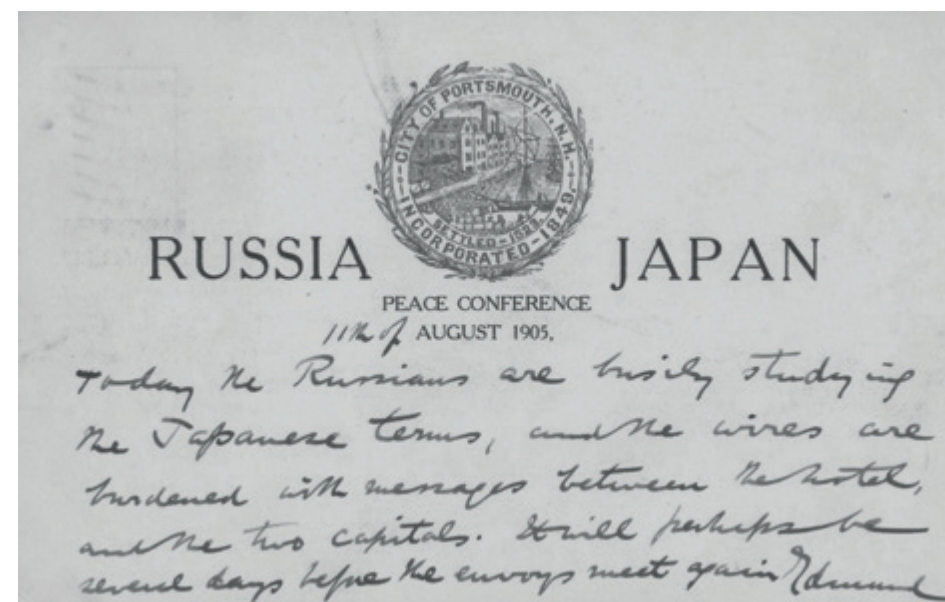
Polacy z sympatią odnosili się do Państwa Kwitnącej Wiśni, które po wiekach izolacji wkroczało na światową szachownicę i starało się na niej zająć jak najlepsze miejsce, bez kompleksów atakując największego gracza. Sukcesy odnoszone przez Japonię już pod koniec XIX wieku, gdy pokonała Chiny i zajęła część Mandżurii oraz Koreę, wzbudzały uznanie nad Wisłą. Sympatia ta była zresztą odwzajemniana przez Japończyków, którzy o Polakach sporo wiedzieli, z wielkim uznaniem wyrażali się o osiągnięciach państwa polskiego i bardzo współczuli nam z powodu jego upadku i wymazania z map świata. O Polsce nie tylko mówili, ale także o niej śpiewali – jedna z najpopularniejszych japońskich pieśni wojskowych, zatytułowana *Wspomnienie Polski*, przez kilkadziesiąt lat, do 1945 roku, śpiewana była w każdym japońskich koszarach.

Powstanie tej pieśni wiąże się z postacią kapitana Fukushima Yasumasy, pochodzącego z samurajskiego klanu Matsumoto, który, zakończywszy misję attaché wojskowego Japonii w Niemczech,

postanowił powrócić do swego kraju konno. W siodle spędził 16 miesięcy (od 11 lutego 1892 roku do 12 czerwca 1893 roku), przejechał 15 tysięcy kilometrów, a na swej drodze – od Berlina po Władywostok – spotykał Polaków, których opisywał jako ludzi pokonanych, ale niezłamanych, z dumą zawsze podkreślających, że są Polakami. To zapewne oni dostarczali mu najcenniejsze informacje wywiadowcze, które zbierał podczas swojej wyprawy, bo każdy wróg rosyjskiej despotii był ich sprzymierzeńcem. W pamiętniku wiele miejsca poświęcił naszym rodakom, pisząc, że opłakuje dusze niepogrzebanych bohaterów i nie może opanować przejmującego go do głębi uczucia wiecznej nienawiści do tych, którzy pognębili ten bohaterski naród. Kapitan Fukushima stał się bohaterem Japonii, a Naobumi Ochiai napisał poemat *Podróż na koniu* (1893) którego częścią jest wiersz *Wspomnienie Polski* (Pōrando-kaiko).

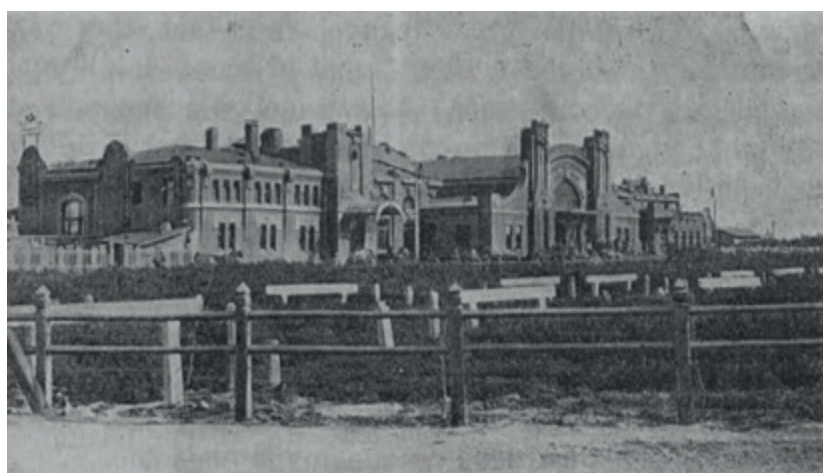
Ossendowski nie eksponował w swoich książkach bliskich relacji, jakie łączyły go z premierem Sergiejem Witte, ale prawdopodobnie na jego zaproszenie znalazł się w składzie delegacji rosyjskiej, która w Portsmouth, w stanie New Hampshire, negocjowała warunki pokoju kończącego wojnę japońsko-rosyjską. Traktat podpisano 5 września 1905 roku, a Rosja uznała w nim dominację Japonii w Korei, oddała jej południową część Sachalinu, a także zobowiązała się do wycofania swoich wojsk z Mandżurii oraz przekazania Japonii rosyjskich koncesji na korzystanie z miast portowych, w tym z Port Artur i Dalnyj. Zwycięstwo Japonii miało nie tylko wymiar praktyczny, ale także ogromne znaczenie propagandowe, bo po raz pierwszy w nowoczesnej wojnie państwo azjatyckie zatriumfowało nad europejskim mocarstwem.

Ossendowskiego nie było na oficjalnej liście uczestników pokojowych negocjacji. Musiał mieć w nich jednak znaczący udział, skoro jego podpis – Mister Oss – znalazł się na mapie, na której wykreślono nowe granice pomiędzy Rosją i Japonią.



Pocztówka związana z zawarciem pokoju w Portsmouth, 1905

PREZYDENT RZĄDU DALEKIEGO WSCHODU



Dworzec Kolei Wschodniochińskiej
w Charbinie

[...] więc postanowił wyłonić z siebie komitet naczelny, który miał objąć administrację kraju. Do tego komitetu zostałem wybrany głosami ludności europejskiej w Mandżurii i przedstawicieli Władywostoku, powiadomionego telegraficznie o wypadkach [...]

W godzinę później komitet zebrał się na pierwsze posiedzenie dla obrania prezydium. Zaszczyczony zaufaniem delegatów, zostałem wybrany na prezesa komitetu naczelnego. Natychmiast wyprawiłem telegram do naczelnego wodza, generała Liniewicza, do dowódcy tyłów armii, generała N.J. Iwanowa, i naczelnika Kolei Wschodniochińskiej, generała D.L. Horwatha, zawiadamiając ich, że komitet ujmuje w swe ręce całe życie kraju, zawiesza ruch pociągów pasażerskich, natomiast zwiększa ilość pociągów wojskowych dla ewakuacji armii, która powinna w swoim kraju stanąć w obronie praw ludu i do walki z występnyim rządem.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani



Generał Nikołaj Iudowicz Iwanow

Wojna z Japonią obnażyła dramatyczną sytuację Rosji, która okazała się kolosem na glinianych nogach i padła na kolana przed wyspiarskim państwem, mimo buńczucznych zapowiedzi, że jego armia zostanie nakryta czapkami. Świadome warstwy społeczeństwa rozumiały, że problem ma charakter systemowy i domagały się od Mikołaja II, by zwołał parlament i przekazał mu swoje kompetencje ustawodawcze. Car zadeklarował zwołanie Dumy, ale jedynie jako ciała doradczego, nie chciał bowiem osłabić pozycji grup, które gwarantowały jego rządy: cerkwi prawosławnej, ochrony (tajnej policji) oraz ziemiaństwa zrzeszonego w Związku Narodu Rosyjskiego.

Nie mogąc liczyć na rzeczywisty udział we władzy, społeczeństwo wypowiedziało posłuszeństwo rządowi i postanowiło sięgnąć po jej pełnię. Rozpoczęło się od proklamacji Centralnego Związku Kolejowego ogłaszającej strajk kolei, poczty i telegrafu na terenie całej Rosji do czasu zniesienia sądów polowych wydających masowo wyroki śmierci oraz zakończenia stanu oblężenia w Polsce. Następnie w kolejnych zakładach przemysłowych, jednostkach wojskowych oraz w miejscowościach zaczęły się wyłaniać rady czy komitety, które przejmowały władzę nad poszczególnymi rejonami państwa. Taki właśnie komitet powstał w Charbinie, a na jego przewodniczącego wybrano Antoniego Ossendowskiego.

Ossendowski bardzo sprawnie kierował pracami komitetu, szybko udało mu się zapanować nad rewolucyjnym wrzeniem oraz anarchizacją życia na podległym mu terenie. Dowodzący regularnymi wojskami generał Nikołaj Liniewicz stwierdził, że tylko komitet jest w stanie zapanować nad nastrojami ludności i zaaprobował jego władzę. Sukcesy charbińskiego komitetu były tak spektakularne, że wkrótce uznany został za centralny komitet, rząd tymczasowy dla całego Dalekiego Wschodu, a jego „prezydentem” został Ossendowski.

O działalności charbińskiego komitetu, a potem tymczasowego rządu Dalekiego Wschodu, którego prezydentem był Ossendowski, wiemy przede wszystkim z jego książki *Od szczytu do otchłani*, wydanej w języku polskim. Aktywność ta odmiennie przedstawiana jest w jego publikacjach, opisujących ten sam okres życia, które wydane zostały po rosyjsku i po angielsku. W wydanej jeszcze w carskiej Rosji książce *W kurzawie ludzkiej* minimalizuje znaczenie swojej osoby i skalę działania komitetu, koncentrując się na swoich doświadczeniach więziennych, co wydaje się zrozumiałe, bo nie chciał po raz kolejny narażać się na szykany ze strony władz policyjnych i sądowych. Z kolei w książce wydanej w Stanach Zjednoczonych, już po opuszczeniu Rosji, pisze o kierowanym przez siebie Komitecie jako głównym ośrodkiem władzy na Dalekim Wschodzie, a siebie opisuje jako prezydenta Syberii, którego władza przez pewien czas porównywalna była z carską. Amerykańskiej książce nadał zresztą znamienity tytuł *From President to Prison*.

Faktem pozostaje, że Ossendowskiemu udało się doprowadzić do uspokojenia sytuacji na Dalekim Wschodzie, co budowało autorytet nowej władzy i jej stabilizację, a było wbrew interesowi reprezentantów starego porządku. Do komitetu zaczęli dołączać działacze, którzy byli agentami tajnej policji, a działalność wywrotową zaczęły prowadzić oddziały rekrutowane z wyrzutków społecznych, więźniów, żebraków, przestępców, ludzi zdemoralizowanych, podobnych mętom społecznym, jakim oddana została władza na początku rządów rewolucyjnych bolszewików kilkanaście lat później. Wkrótce nastąpił

rozłam w Komitecie i wyłonił się z niego tak zwany mały komitet, który wydawał odezwy i drukował ulotki nawołujące żołnierzy do wymordowania oficerów i przejścia zapasów armijnych, a robotników i chłopów do napadania na miasta oraz zniszczenia zniechęconej burżuazji i inteligencji. Ossendowski w towarzystwie potężnego osiłka, Wasilki, odwiedził inspiratorów destrukcyjnych działań. Słowa przewodniczącego naczelnego komitetu, wsparte „gestami” jego „adiutanta”, wywoływały odpowiedni efekt i anarchiczne działania szybko osłabły.

Dni charbińskiego komitetu i ludowej samodzielnej władzy na Dalekim Wschodzie były jednak policzone. Po stłumieniu rewolucyjnych ruchów na Uralu, Zabajkalu oraz w Republice Czyta do Mandżurii zbliżał się uzbrojony w karabiny maszynowe batalion generała Paula von Rennekampfa, którego zadaniem było stłumienie wszelkich działań rewolucyjnych na Syberii. Szpiedzy okrutnego generała już działali i sporządzali listy tych, którzy powinni zostać rozstrzelani po jego wkroczeniu do Mandżurii. Nazwisko „prezydenta” Ossendowskiego znajdowało się na pierwszym miejscu.

Wyprawę karną przeciwko Komitetowi Naczelnemu zorganizował najbardziej zjadły petersburski generał Michail Batjanow. Ekspedycja miała uspokoić sytuację na Dalekim Wschodzie, skąd do stolicy docierały wieści o napadach na składy kolejowe i wojskowe, na zakłady oraz sklepy, organizowanych przez hunhuzów, chińskich bandytów. Wynajmowali ich działacze Związku Narodu Rosyjskiego chcący skompromitować, starający się opanować i uspokoić sytuację na Syberii, Związek Pracowników, do którego Ossendowski przeniósł prerogatywy rozwiązanego komitetu. Prowokacje miały pokazywać, że związek nie panuje nad sytuacją, a jego prominentni członkowie organizują napady, by się obłowić i uciec.

Jednostki podlegające Ossendowskiemu nie miały żadnych szans w starciu z regularnym i dobrze uzbrojonym wojskiem, które przybyło zza Uralu. Tymczasowy prezydent postanowił więc pokonać generała fortelem. Nakazał pracownikom kolejowym rozmontować tory kilometr przed mostem na rzece Sungari, a gdy do tego miejsca dotarł pociąg wojskowy, generał został poinformowany, że trwa naprawa linii po katastrofie, jaka się wydarzyła, i że w ciągu kilku godzin trasa będzie przejezdna. Istotnie, po dwóch godzinach zakończono naprawę i lokomotywa ruszyła. W kłębach dymu nie dostrzeżono, że ciągnie tylko wagon generalski, a całe wojsko pozostało na stacji w odłączonym składzie, do którego podpięto inną lokomotywę, która ruszyła... w przeciwnym kierunku.

Na dworcu w Charbinie Ossendowski oczekiwał przyjazdu generała. Batjanow wysiadł ze swojego pulmana otoczonego kłębami pary, ujrzał gospodarzy oraz towarzyszący im oddział uzbrojonych robotni-

ków, odwrócił się, by sprawdzić, czy jego żołnierze stoją już w szyku i wówczas dopiero zorientował się, że lokomotywa ciągnęła tylko jego sleeping. Wysłannik prezydenta wyjaśnił generałowi uprzejmie, że pociąg z jego żołnierzami dociera właśnie do Sypingaju i najlepiej by było, gdyby on sam także odjechał w tamtym kierunku.

Anegdota o tym, jak sprytnym zabiegiem pokonana została kompania generała Batjanowa, lotem błyskawicy obiegła Rosję. Ośmieszony wojskowy nie powrócił już na Syberię, ale i żartownisiom nie było do śmiechu. Z funkcji dowódcy wojsk na Dalekim Wschodzie odwołany został generał Liniewicz, który



Generał Nikołaj Pietrowicz Liniewicz



Generał Michail Iwanowicz Batjanow



Generał Paul von Rennenkampf

OSKARŻONY FERDYNAND O.



Gmach sądu wojskowego
w Charbinie, gdzie zapadł
wyrok na Ossendowskiego

Panowie sędziowie – wołał patetycznym głosem prokurator – nie poddawajcie się urokowi tych ludzi, nikomu z nas nieznanych, w większej części nierosyjskiego pochodzenia. Słyszeliśmy, że obrońcy mówili nam, iż komitet centralny utrzymał w swoim ręku ster życia państwowego na Dalekim Wschodzie, a ład, zaprowadzony przez nich, zaoszczędził państwu kilka milionów rubli. Stwierdzili to świadkowie i główny kontroler kolei. Nie mogę przeciwko temu protestować i powtarzam to.

Lecz, panowie sędziowie, pamiętajcie, że komitet centralny tym bardziej jest niebezpiecznym, gdyż nauczył rewolucjonistów, jak należy się obchodzić bez władz rządu prawomocnego i jak się powinno kierować nawą państwową. Praktyka komitetu centralnego będzie szkołą przyszłej rewolucji, wrogiej rządowi Jego Cesarskiej Mości.

Mowa prokuratora Kuroczkina

Przygotowania do procesu trwały dwa miesiące. Gdy oskarżeni siedzieli zamknięci w charbinowskim areszcie, a ich głównym zajęciem była walka z pluskwami i szczurami, o ich przyszłość ścierały się potężne siły.

Generał Nikołaj Iwanow zamierzał przeprowadzić pokazowy proces Naczelnego Rewolucyjnego Komitetu, który przedstawiał jako najgroźniejszą organizację antypaństwową, a jej rozbicie miało być trampoliną dla jego dalszej kariery. Zaufany współpracownik generała, pułkownik Fedorenko, starał się wykazać, że rząd Ossendowskiego nie powstał jako inicjatywa oddolna, odpowiadająca na potrzeby ludności zamieszkującej Daleki Wschód, ale był agendą i wykonywał polecenia petersburskiej Rady Robotników i Żołnierzy, organizacji najbardziej wrogiej wobec caratu. Z Petersburga sprowadzono jednego z najsurowszych prokuratorów wojskowych, pułkownika Kuroczkina.

Z drugiej strony ujawniły się ważne osoby biorące w obronę aresztowanych. Generał Liniewicz bronił komitetu, wskazując, że bez jego pomocy nie byłby w stanie utrzymać dyscypliny wśród żołnierzy demoralizowanych zarówno przez anarchistów, jak i monarchistów. Drugim generałem broniącym rządu rewolucyjnego był naczelnik Kolei Wschodniochińskiej, generał Dmitri Horwath, który podkreślał jego niezaprzeczalne zasługi dla utrzymania ładu państwowego na Dalekim Wschodzie. W obronie aresztowanych wypowiadał się także wybitny budowniczy rosyjskich kolei, polski inżynier Stanisław Kierbedź, który miał rozległe kontakty w sferach rządowych, a przede wszystkim był przyjacielem ówczesnego premiera Siergieja Juliewicza Wittego, którego poparcie miało chyba kluczowe znaczenie dla oskarżonych członków rządu Ossendowskiego.

Rozprawa sądowa rozpoczęła się w Charbinie w dniu 30 marca 1906 roku i trwała przez pięć dni. Generał Iwanow zorganizował ją z wielką pompą, ulice miasta były obstawione policją i wojskiem, co miało podkreślać wielkie zagrożenie, jakie stwarzają, nawet uwięzieni, członkowie Naczelnego Rewolucyjnego Komitetu. Przed sędziami wystąpiła tymczasem cała galeria świadków, którzy wskazywali na zasługi tego 53-dniowego rządu dla bezpieczeństwa i porządku na Dalekim Wschodzie. Siła argumentów była tak przytłaczająca, że nawet doświadczony prokurator musiał je przyjąć i zmodyfikował swoje oskarżenie, zarzucając podsądnym, że ich największą zbrodnią było pokazanie społeczeństwu, że jest w stanie samodzielnie wyłaniać rządy i organizować system władzy. Słabość prokuratury wykorzystał Ossendowski, który podkreślił, że: „Prokurator był na tyle uczciwy, iż wydał poświadczenie państwowego kierunku naszej działalności. Teraz odwołuję się do uczciwości panów sędziów i panów generałów tu obecnych, prosząc ich o stwierdzenie, że, gdyby w dobie wybuchu rewolucyjnych namiętności komitet centralny nie potrafił ująć pełni władzy w swoje ręce, panowie zginęliby niezawodnie od kuli swych żołnierzy lub na latarniach, powieszonych przez rozbawionych anarchistów”.

Skład orzekający pod przewodnictwem sędziego Dembowskiego uwzględnił argumenty wysunięte w obronie Naczelnego Rewolucyjnego Komitetu i skazał prezydenta Ossendowskiego na karę dwóch lat więzienia, a pozostałych członków jego gabinetu na krótkie kary, liczone w miesiącach. W czasie, gdy w całej Rosji szalały wojskowe sądy polowe, zwane ekspresądami, wydające codziennie setki wyroków śmierci, była to kara symboliczna.

ORDER DLA SKAZANEGO

Prowizoryczne więzienie polityczne w Charbinie było, w stosunku do innych miejsc tego rodzaju, prawdziwym „Eldorado”. Budynek był dobry i czysty, okna duże i cele pełne światła. Umieszczono mnie w jednej celi z Nowakowskim. Bardzo szybko zainstalowaliśmy się tu na dobre. „Przecież osiemnaście długich miesięcy trzeba spędzić w tych ścianach – myślałem – więc powinienem urządzić sobie życie jak najdogodniej, aby ten czas niewoli nie przepadł bez śladu.”

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

Pierwsze miesiące osadzenia w charbinowskim więzieniu politycznym pisarz spędził bardzo intensywnie. Uzyskał zgodę władz sądowych na sprowadzenie z domu książek i notatek naukowych, jakie czynił podczas wypraw badawczych po rosyjskim Dalekim Wschodzie, a także opisów doświadczeń przeprowadzonych w laboratoriach w Charbinie i Władywostoku. Odtąd pracował dniami i nocami, pisząc kolejne artykuły naukowe o chemii węgla kamiennego, nafty oraz złota, a także rozprawy dotyczące analizy chemicznej i badań technicznych minerałów, których złoża znajdują się we wschodniej Azji. Artykuły te – za zgodą prokuratora Millera – aresztant wysyłał do Petersburga, a także do Warszawy, gdzie ukazywały się w rosyjskich periodykach naukowych oraz miesięczniku „Chemik Polski”.

Jego odkrycia, badania chemiczne oraz ich praktyczne zastosowanie zostały docenione nie tylko przez specjalistów, ale przez samego cara, którego wysłannicy przybyli do harbinowskiego więzienia. Pisarz wspomina, że pewnego dnia wezwano go do kancelarii więziennej, gdzie oczekiwał go oficer oraz znajomy urzędnik kolejowy, którzy wstali, gdy tylko wszedł do pokoju, i z szacunkiem podali mu dyplom oraz pudełko z czerwonej skóry. Oficer oznajmił, że przybyli z Petersburga, by wręczyć mu Order Świętego Stanisława, przyznany na początku 1905 roku, na wniosek generała Aleksieja Kuropatkina, który wnioskował o to, doceniając wybitne zasługi polskiego chemika w pierwszych miesiącach wojny japońsko-rosyjskiej. Oficer podkreślił, że tym odznaczeniem car pragnie wyrazić uznanie dla dokonania Ossendowskiego, które bardzo pomogły armii rosyjskiej, ale nie zmienia to – doprecyzował, żeby nie było wątpliwości – krytycznej opinii o jego działalności antypaństwowej jako prezydenta rządu rewolucyjnego.

Order Świętego Stanisława, jakim odznaczony został Ossendowski, nawiązywał do tradycji orderu ustanowionego w 1765 roku przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, najważniejszego po Ordezie Orła Białego odznaczenia w polskiej hierarchii orderowej, którego otrzymanie miało być zachętą do dalszej pracy. Odznaczenie to nadawali monarchowie Księstwa Warszawskiego oraz Królestwa Polskiego, a po upadku powstania listopadowego włączony został do rosyjskiej hierarchii orderowej jako Cesarsko-Królewski Order Świętego Stanisława, nadawany za heroiczne czyny wojenne oraz służbę państwową.

Wizyta delegacji z odznaczeniem tak zaskoczyła skazanego, że nawet nie zastanowił się nad wykorzystaniem tej okoliczności. „Nagle porwała mnie złość. – pisał – Doceniano moje zasługi za węgiel, który dałem armii, a za to, że uratowałem armię od anarchii i śmierci głodowej podczas rewolucji – omal nie rozstrzelano mnie, a teraz zmuszano pędzić życie w kamiennym worku!”

Ossendowski odmówił odebrania odznaczenia, twierdząc, że nie może go przyjąć od rządu, który jedną ręką nagradza człowieka orderem, a drugą wtrąca go do więziennej celi. Odmowa była sytuacją nadzwyczajną, obrazą dla monarchii, który już nigdy potem nie uhonorował Ossendowskiego. Pisarza nie smuciło chyba specjalnie, że nie ma go w gronie kawalerów Orderu Świętego Stanisława, bo odznaczani nim byli rusyfikatory, kolaboranci, a wśród kawalerów orderu I klasy był na przykład Iłja Nikołajewicz Uljanow, ojciec tak znienawidzonego przez niego Lenina.

Podczas pobytu w więzieniu Ossendowski nie ograniczał się do pisania rozpraw naukowych. Zajął się także opracowywaniem autobiografii oraz rozprawy historyzoficznej ukazującej jego szersze spojrzenie na dzieje. Wspominał, że gdy był w niewoli, jego wyobraźnia była wolna, nie odczuwała żadnych ograniczeń i szybowała swobodnie w najbardziej odległe przestrzenie, czego literackim wyrazem było kilka opowiadań i powieści fantastycznych, które opublikowane zostały w późniejszych latach i cieszyły się uznaniem czytelników.



Generał Aleksiej Nikołajewicz Kuropatkin

STAROSTA WIĘZIENNY

Uzyskałem z biegiem czasu pozwolenie władz na odwiedzanie ogólnych sal więziennych, gdzie mieściło się nieraz po dwustu aresztantów i prowadziłem nieskończone pogadanki na poważne tematy, aby oderwać tych ludzi od smutnej i ciężkiej rzeczywistości i rzucić w ich dusze i umysł ziarna zdrowych myśli. Aresztanci lubili mnie i poważali, gdyż wiedzieli, że nie zostawię bez protestu żadnego bezprawia lub nadużycia władz [...]. W więzieniu ccharbińskim byłem z tego powodu zawsze obierany na „starostę” całego więzienia, to znaczy na takie stanowisko, które nieoficjalnie uznawały władze więzienne i sądowe i uznawali i szanowali sami aresztanci.



Ferdynand Antoni Ossendowski
i jego koledzy z więzienia politycznego

Starosta jest pośrednikiem pomiędzy władzami a aresztantami i jest sędzią w wewnętrznych sprawach więzienia. Ludność więzienia na ogół nie jest szara i jednostajna. Trafiają się tam jednostki osobliwe, jakie w życiu normalnym nie zawsze się spotyka.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

Wybranie na starostę więziennego trudno traktować jako awans dla kogoś, kto wcześniej był „prezydentem Syberii”. Jedyną przewagą wydaje się być długość kadencji, bo prezydentem Ossendowski był niespełna dwa miesiące, a starostą prawie dwa lata. W więzieniu zyskał uznanie zarówno wśród osadzonych za przestępstwa polityczne, jak i za pospolite przewinienia czy zbrodnie kryminalne.

Z racji pełnionej funkcji miał dużą swobodę przemieszczania się po zakładzie karnym i poznawania ludzi oraz spraw, które sprawiły, że znaleźli się w tak niedogodnym położeniu. Swoje doświadczenia więzienne opisał w książce wydanej w 1911 roku, zatytułowanej *W ludzkiej pyli*. Mianem tytułowej „ludzkiej kurzawy” określał skazanych, którzy są jak kurz i pył – dla społeczeństwa uciążliwy i nieprzyjemny, ale nikt nie traktuje jego drobinek indywidualnie. Podobnie było ze zbiorowością skazanych. Gdy ktoś trafiał do „kamiennego worka”, tracił swoją osobowość, tracił indywidualne cechy, stawał się elementem tej ludzkiej kurzawy.

Opowieść Ossendowskiego to historie konkretnych ludzi, których spotkał w więziennych murach, z ich osobistymi problemami, indywidualnymi doświadczeniami i wyborami, jakich musieli dokonywać samodzielnie. Jego obserwacje wskazują, że najważniejszą, a często jedyną ideą, jaka towarzyszy skazanemu od chwili, gdy zamyka się za nim więzienna brama, jest opuszczenie miejsca odosobnienia, a dla realizacji tego celu przyjmowane są zupełnie odmienne strategie.

Jedni więźniowie starają się być niezauważeni, chcą odbyć wyrok w sposób najmniej ich angażujący, a po jego zakończeniu wyjść na wolność. Są jednak tacy, którzy na zwolnienie liczyć nie mogą, i dla nich najważniejsza jest ucieczka poza więzienne mury, dla spełnienia marzenia o niej są gotowi zaryzykować wszystko, nawet własne życie, które ma dla nich wartość tylko na wolności. Tak było na przykład z Gruzinami, których Ossendowski poznał wcześniej, gdy ukrywali się w górach, albo z legendą zauralskich krajów, Jastrzębiem, którzy, narażając się na uduszenie, kopali łopatkami podziemne przejście, które miało ich wyprowadzić na wolność.

Byli też tacy osadzeni, którzy nigdy nie powinni byli trafić do więzienia – urzędnicy, którzy nie dopilnowali procedur, księgowi, którzy popełnili błędy w rachunkach – potraktowani zostali jak przestępcy i umieszczeni pomiędzy wyrzutkami społeczeństwa. Ossendowski bolał nad tym, jak absurdalny jest system karny, który sprawia, że wartościowi ludzie, mogący służyć społeczeństwu zostają z niego eliminowani i traktowani są jakby byli bandytami. Najgorsze zaś jest to, że koła maszyny sądowej kręcą się powoli i jeśli nawet po miesiącach czy latach okaże się, że człowiek został osadzony bezpodstawnie, nie naprawi to spustoszeń, jakie przebywanie w więzieniu wywołało w jego duszy.

Książka opisująca więzienne doświadczenia i przemyślenia ukazała się w 1911 roku i zdobyła duże uznanie czytelników. Najbardziej cieszyła chyba Ossendowskiego pochwała, jaką uzyskał od najwybitniejszego żyjącego wówczas pisarza rosyjskiego – Lwa Tołstoja.

NA MARGINESIE ŻYCIA



Tymczasowe więzienie polityczne w Charbinie

Nareszcie nastał dzień 6 października 1907 roku. O ósmej rano zjawił się u mnie naczelnik więzienia i oznajmił, że jestem wolny. Obszedłem wszystkie cele i zegnałem znajomych. Aresztanci w milczeniu, z powagą podawali mi ręce i patrzyli na mnie oczami pełnymi błysków, lecz nie były to błyski zazdrości. Stanowczo nie!

Ferdynand Antoni Ossendowski
W kurzawie ludzkiej

Osadzeni w charbinowskim więzieniu pożegnali Ossendowskiego, śpiewając mu marsz rewolucyjny, ale mieli rację, nie zazdroszcząc mu tego, co czeka go za więzienną bramą. Choć zaczęło się bardzo przyjemnie. Na uwolnionego czekał tłum przyjaciół, mnóstwo było powinszowań i gratulacji. Otrzymał także elegancki, okolicznościowy dyplom z licznymi podpisami. Istotniejsze znaczenie miał jednak przekazany mu przez policjanta niewielki urzędowy druk z nakazem, by w ciągu trzech dni zlikwidował wszystkie swoje interesy w Charbinie i opuścił rosyjski Daleki Wschód.

Ossendowski pojechał do Petersburga, planował, że zatrzyma się u matki, ta jednak wyprowadziła się wcześniej z miasta. Zamieszkał u dawnego przyjaciela profesora Szczepana Zaleskiego. Wydawało się, że szczęście mu sprzyja, bo Instytut Inżynierów Cywilnych ogłosił właśnie konkurs na stanowisko docenta chemii technicznej. Kandydatów zgłosiło się jedenastu, ale po zapoznaniu się z ich dorobkiem naukowym do dalszej procedury dopuszczono zaledwie dwóch, którzy mieli przeprowadzić po trzy próbne wykłady. Rada Wydziału wybrała Ossendowskiego, jednak minister nie zgodził się podpisać jego nominacji. Rewolucyjna i więzienna przeszłość wykluczyła go z grona wykładowców akademickich. Musiał zmienić profesję.

Niedoszły profesor nie chciał być ciężarem dla gospodarza, a jako że nie mógł liczyć na pracę odpowiednią dla jego wiedzy i doświadczenia, zatrudnił się jako prosty majster obeznany z chemią w fabryce farb i lakierów. Wszystko układało się dobrze do czasu, gdy nie zwrócił uwagi na pewne błędy w procesie produkcji farb, wskazując jednocześnie sposób ich poprawienia. Właściciel fabryczki był bardzo zadowolony z wprowadzonych udoskonaleń i nawet wypłacił majstrowi specjalną premię. W firmie pracował jednak policyjny konfident, który napisał donos o „podejrzanym majstrze”. Wystarczyło krótkie śledztwo, a jego faktyczna tożsamość została odkryta. Fabrykantowi zalecono, by natychmiast zwolnił politycznego buntownika i kryminalistę. Ossendowski zrozumiał, że jego kara nie skończyła się wraz z opuszczeniem więzienia w Charbinie. Miał wilczy bilet, policja polityczna przyglądała się jego poczynaniom, nie miał szans na znalezienie zatrudnienia w Petersburgu.

Na szczęście profesor Zaleski znalazł ogłoszenie fabryki papy i asfaltu z Kijowa, poszukującej chemika z kompetencjami w zakresie pokryw dachowych oraz izolacji rur, które to działy produkcji miały być w tym zakładzie rozwijane. Ossendowski był w coraz trudniejszej sytuacji, żeby dotrzeć do Kijowa i wynająć tam pokój, zmuszony był sprzedać swoje strzelby, jedyne cenne przedmioty, jakie jeszcze posiadał. Właściciel zakładu wywarł na nim negatywne wrażenie. Ossendowski nie przejął się tym jednak, uznając, że w swoim obecnym położeniu nie może grymasić. Natychmiast przystąpił do pracy

i już po miesiącu intensywnych doświadczeń opracował proces wytwarzania mieszanki produkowanej z masy asfaltowej i smoły gazowej. Substancja była niepalna, elastyczna jak guma, doskonale nadawała się do łączenia papy pokrywającej dachy, a także do izolowania rur wodociągowych, kanalizacyjnych czy parowych. Swoją wynalazek nazwał aflamitem i szczęśliwy, że dzięki niemu rozwiąże swoje problemy finansowe, zastanawiał się, na co w pierwszej kolejności wyda obiecane pięć tysięcy rubli nagrody oraz 10% prowizji ze sprzedaży produktu, którą miał otrzymywać poza pensją. Niestety okazał się zbyt łatwowierny. Gdy następnego dnia przyszedł do laboratorium, jego biurko było otwarte i opróżnione z wszelkiej dokumentacji. Okazało się, że właściciel fabryki wykradł wyniki badań i sam pojechał do Petersburga, by opatentować aflamit na swoje nazwisko. Oburzenie Ossendowskiego bezczelną kradzieżą własności intelektualnej tylko rozśmieszyło fabrykanta.

Oszukany wynalazca musiał szukać nowego zatrudnienia. Odwiedzał kolejne zakłady przemysłowe, warsztaty oraz cukrownie na południu Rosji, jednak jego kryminalna przeszłość ciągnęła się za nim i dyskwalifikowała go jako potencjalnego pracownika. Kijowska eskapada Ossendowskiego zakończyła się zupełnie nieoczekiwanie. Pewnego ranka w jego pokoju hotelowym pojawił się policjant z informacją, że naukowiec jest obiektem zainteresowania samego gubernatora, którego niepokoi, że człowiek o takiej przeszłości, pozostający bez zatrudnienia, intensywnie przemieszcza się po podlegającym jego jurysdykcji terenie. Ossendowski otrzymał 24 godziny na opuszczenie Kijowa i ostrzeżenie, że jeśli nie opuści miasta samodzielnie, to odesłany zostanie do Petersburga wagonem więziennym.

Do stolicy powrócił z siedmioma rublami w portfelu, kwotą znacznie mniejszą niż ta, z jaką wyjeżdżał. Ponownie zamieszkał u profesora Zaleskiego, uważając jednak, że nadużywa jego gościnności. Opuszczał dom o świcie i wędrował po fabrykach i urzędach w poszukiwaniu zatrudnienia. Swoje bieżące potrzeby ograniczył do jednego posiłku dziennie, kosztującego 15 kopiejek, który spożywał w taniej jadłodajni. Niewiele satysfakcji przyniosła mu wiadomość o nagłej śmierci producenta asfaltu, który go oszukał, bo nijak nie wpłynęło to na poprawę jego sytuacji.

Spotykani na ulicy znajomi udawali, że go nie rozpoznają. Gdy chciał się z nimi przywitać, prosili, aby ich nie zaczepiał i nie rozmawiał z nimi, bo nie chcą się narażać na podejrzenia, że współpracują z byłym więźniem politycznym. Wówczas dopiero zrozumiał, dlaczego – gdy opuszczał charbinowskie więzienie – w oczach starych więźniów widział współczucie, a nie zazdrość. Oni doskonale wiedzieli, że wolność do jakiej powróci po wyroku nie będzie już tą wolnością, jakiej został wcześniej pozbawiony.

SAMOBÓJCZY SKOK DO NEWY

Przechyliłem się przez parapet. Ujrzałem pędzącą w wartkim biegu głęboką rzekę, uwięzioną w granitowych brzegach i skutą trzema mostami, przerzuconymi przez nią. Woda, pędząc ku morzu, rozbijała się o kamienne filary mostu, głośnie i groźnie pluskała, uderzając z wściekłością w bloki granitu i tworząc wiry, pełne piany i chaosu ruchu. Postanowienie przyszło od razu. Przyszło i porwało do czynu, ostatniego i gwałtownego czynu.

Już oparłem się nogą o przepierzenie parapetu, aby jeszcze lepiej się przechylić i skoczyć z mostu do wody. Wiedziałem, że prąd i wiry porwą mnie i poniosą pod mostem, za którym o jakieś sto metrów stały krypy naładowane belkami i deskami, tam wtłoczą mnie pod czarne, śliskie kadłuby statków, zapłaczą w całej sieci łańcuchów i sznurów kotwic i... wszystko będzie skończone, skończone na zawsze.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Od szczytu do otchłani

Przygotowania do ostatniego skoku zakłócił Ossendowskiemu krzyk, przeraźliwy, pełen rozpaczliwego krzyku, który nieoczekiwanie zabrzmiał kilka metrów od niego. Jakiś ubogo ubrany człowiek wdrapał się na skraj mostu i bez namysłu skoczył do rzeki.

Ossendowski nie ruszył jego śladem, ale natychmiast przebiegł na drugą stronę mostu, gdzie wisiały przybory ratownicze, i zaczął zrzucić do rzeki korkowe kule oraz koło ratunkowe. Gdy spod wody pod mostem wynurzył się samobójca, jego krzyk brzmiał zupełnie inaczej, była w nim zgroza i rozpacz tonącego. Chaotycznie machając rękami i nogami, starał się dogonić unoszące się przed nim koło ratunkowe. Od brzegu odbiła łódź policji rzecznej, wydobyto go z topieli. Gdy łódź przybiła do nabrzeża, Ossendowski zbiegł ku niej, by spojrzeć w oczy uratowanego. Nie widział już w nim śladu tej rozpaczliwej, która pchnęła nieszczęśnika do skoku w topiel, a tylko szaloną żądzę i radość życia. Wydawało mu się, jakby słyszał dobywający się z wnętrza głos triumfu, szczęścia z powrotu do ludzi, gotowości do podjęcia walki z losem.

Doświadczenie z niedoszłym topielcem przekonało Ossendowskiego, że Bóg ma go w opiece, nie opuści go i nie pozwoli mu zginąć. Jeśli rzeczywiście tak było, to opatrność zadziałała, a właściwie mruknęła do niego, już chwilę później. Schodząc z mo-

stu ku parkowi miejskiemu, dostrzegł zapalający się i gasnący szyld elektryczny z napisem „Fabryka tutek do papierosów Coilou”. Bez zastanowienia ruszył na drugi koniec miasta, gdzie znajdowała się siedziba tego zakładu.

Firma była już co prawda zamknięta, ale zdesperowanemu poszukiwaczowi pracy udało się wyprosić spotkanie z dyrektorem, któremu opowiedział swoją smutną historię. W fabryce nie mieli żadnego stanowiska dla chemika, ale właściciel zaproponował naukowcowi umowę na opracowanie specjalnej waty umieszczanej w tutce, która będzie pochłaniała nikotynę skuteczniej niż produkt wprowadzony właśnie na rynek przez konkurencję. Za opracowanie tego patentu Ossendowski miał dostać 500 rubli zaliczki i wynagrodzenie po 1000 rubli rocznie przez 10 lat. Chemik natychmiast przystąpił do pracy, korzystając z gościnnego laboratorium profesora Zaleskiego. Gdy opracowane rozwiązanie poddał certyfikacji, okazało się, że przygotowana przez niego wata pochłania nie oczekiwane 25%, ale ponad 30% nikotyny, o 50% więcej niż filtr oferowany przez konkurencję. Fabrykanci natychmiast wypłacili Ossendowskiemu honorarium. Znowu był zamożnym człowiekiem. Ostatnie zdanie, jakie zapisał w książce *Od szczytu do otchłani* brzmiało – „Życie jest piękne!”.

MISTRZ CZARNEGO PR

Zwęszywszy jakąś grubszą aferę, rosyjski kontrwywiad przeprowadził rewizję u pięćdziesięciu emerytowanych niemieckich oficerów, a obecnie pracowników firmy Kunst i Albers. Skonfiskowano aparaty fotograficzne, lornetki polowe, karabiny, rewolwery, zdjęcia twierdzy we Władywostoku, niemieckie podręczniki morskiej sztuki wojennej, opis statków wojennych cumujących w porcie, w tym flagowego okrętu floty syberyjskiej – krążownika „Perła” oraz liczne morskie przyrządy pomiarowe.

Wszyscy aresztowani Niemcy oświadczyli zgodnie, że znaleziony u nich sprzęt zgromadzili na potrzeby planowanej wyprawy wzdłuż wybrzeży Władywostoku, gdyż wszyscy są członkami prowadzonego przez pracodawcę klubu jachtowego. Fotografie natomiast miały im służyć do drukowania pocztówek, wysyłanych potem do domów.

Przemysław Słowiński

Księżę przygody. Biografia Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego



Dom Handlowy firmy Kunst i Albers we Władywostoku, wzniesiony w 1907 roku

Gdy wybuchła wojna światowa, Ossendowski był szefem działu zagranicznego pisma „Wieczniyje Wriemia” i osobą na tyle znaną w kręgach rządowo-wojskowych, że jemu właśnie wywiad rosyjski zlecił przygotowanie zabezpieczenia medialnego dla akcji zaplanowanej przeciwko niemieckiej firmie Kunst i Albers. Redaktor Anton Martynowicz (takiego pseudonimu dziennikarskiego używał wówczas pisarz) chętnie przyjął propozycję, bo doskonale odnajdował się w działaniach z pogranicza polityki, gospodarki, służb specjalnych i mediów. Pisanie napastliwych tekstów, formułowanie insynuacyjnych zarzutów, atakowanie nie lubianych przedsiębiorców, a przy okazji zwiększanie zasięgu gazety i własnych dochodów, a to wszystko jeszcze czynione „ku chwale ojczyzny” i z parasolem bezpieczeństwa rozpostartym przez służby specjalne – to była inicjatywa, której nie potrafił się oprzeć. Niektórzy nawet uważali, że to on był inicjatorem nagonki medialnej na niemieckie przedsiębiorstwo, ale jeśli nawet działał na zlecenie, to był na pewno jej głównym i doskonałym realizatorem.

Początek afery wiązał się ze stoczną okrętową wybudowaną w Petersburgu przez niemiecką firmę Bloom i Foss. Gdy wybuchła wojna, jej dyrektor, Kurt Orbanowski, opuścił stanowisko i wyjechał do Niemiec. Nie zdążył jednak przekroczyć granicy, bo ta zamieniła się w linię frontu, zawrócił więc na wschód, by okrężną drogą – przez Rosję, Syberię, Japonię i USA – dotrzeć do Berlina. Kontrwywiad rosyjski ustalił, że w żółtej teczce zabrał tajną dokumentację carskiego programu stocznioowego, i zaczął go śledzić, by dotrzeć do jego współpracowników. Aresztowany został dopiero we Władywostoku, gdy bez żółtej teczki opuścił dom Adolfa Dattona, współwłaściciela firmy Kunst i Albers. Przeszukanie nieruchomości nie doprowadziło do odnalezienia teczki ani przewożonej w niej dokumentacji. Policjanci ocalili za to przed zniszczeniem list Dattona do ministra spraw zagranicznych Niemiec, w którym przedsiębiorca zapowiada, że wyjedzie do Szwecji, a stamtąd wyśle zaszyfowaną wiadomość ważnej treści. Podejrzenie zdrady i współpracy z wrogiem spowodowało, że władzywostocka policja natychmiast przeprowadziła rewizję u pięćdziesięciu emerytowanych niemieckich oficerów, zatrudnionych w firmie Kunst i Albers.

Firma Kunst i Albers była wówczas potężnym imperium biznesowym o ogromnych możliwościach finansowych i jeszcze większych koneksjach. Była największą spółką handlową na Dalekim Wschodzie i Syberii, gdzie praktycznie zdominowała handel z Japonią i Chinami. Posiadała własne składy maszyn, zakłady mechaniczne, fabrykę farb, wytwórnię papierosów, gorzelnię, a także kantory bankowe, spedycyjne i techniczne. Zatrudniała ponad tysiąc pięciuset pracowników. Działania służb specjalnych prowadzone przeciwko tak potężnemu holdingowi, nie mogły przejść niezauważone, musiały mieć więc odpowiednie wsparcie medialne. Ossendowski okazał się mistrzem czarnego PR-u, a ze skutkami jego działalności do dziś mierzą się potomkowie opisywanych przez niego niemieckich przedsiębiorców, walczący przed sądami o rehabilitację swoich przodków.

Już jesienią 1914 roku na łamach gazety „Wieczniernyje Wriemia” zaczęły się pojawiać pierwsze artykuły, podpisywane przez Ossendowskiego pseudonimem A. Mzura. Firma Kunst i Albers przedstawiana w nich była jako wielki pajak, który rozpostarł sieć swoich ciemnych interesów nad rosyjskim Dalekim Wschodem, a jego dążeniem jest zdestabilizowanie sytuacji w regionie w celu odwrócenia uwagi władz i sztabu od frontu zachodniego, na którym Rosja toczyła ciężkie walki z Niemcami i Austriakami. Autor sugerował, że ta firma z niemieckim kapitałem gotowa jest posunąć się znacznie dalej i bezpośrednio wspierać działania militarne wymierzone przeciw Rosji, czemu dała już wyraz podczas wojny japońsko-rosyjskiej, gdy wydzierżawiła Japończykom swój parowiec „Tunguz”.

Nagonka prasowa, nawet najlepiej przeprowadzona, nie zaspokajała jednak ambicji Ossendowskiego, zwłaszcza jego ambicji... literackich. Tym dał upust pisząc powieść fantastyczną *Pokojowi zdobywcy* (*Mirnyje zawojewatieli*), którą wydał pod pseudonimem Mark Czertwen. Ukazała się ona w Petersburgu w lutym 1915 roku, w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Odsłaniała kulisy działania niemieckiego wywiadu na zapleczu carskiej armii. Polegały one na przykład na budowaniu sztucznych raf utrudniających rosyjskim statkom nawigację w Zatoce Amur, nad którą leży Władywostok. Bezpośrednimi wykonawcami wrogich akcji byli co prawda japońscy i chińscy hunhuzy, ale ich działania koordynowała potężna firma Artig i Wejs, w której każdy czytelnik bez trudu rozpoznawał firmę Kunst i Albers.

Zwieńczeniem akcji medialnego dyskredytowania niemieckich interesów na rosyjskim Dalekim Wschodzie była napisana przez Ossendowskiego broszura, w której oskarżał cesarzy Niemiec i Austro-Węgier, ich rządy oraz narody o pogwałcenie prawa międzynarodowego, a także praw i zwyczajów związanych z prowadzeniem wojny. Przedstawił w niej drastyczne przykłady zbrodni wojennych popełnianych przez wojska niemieckie i austriackie. W opisach gwałtów, grabieży i morderstw przytaczał tak precyzyjne szczegóły, że nie mógłby o nich pisać ktoś, kto nie miał dostępu do tajnych materiałów wywiadowczych.

Osłona medialna przygotowana przez Ossendowskiego okazała się bardzo skuteczna. Internowanie Orbanowskiego, Dattona oraz pracowników firmy Kunst i Albers nie wzbudziło żadnych protestów opinii publicznej, a nawet przyniosło oznaki zadowolenia ze sprawnego działania państwa, skutecznie chroniącego obywateli przed niemiecką piątą kolumną. Firma Kunst i Albers już nigdy nie podźwignęła się po tej kampanii prasowej, jej kolejne oddziały i przedsiębiorstwa były likwidowane lub przejmowane przez rosyjskich konkurentów. Największym beneficjentem tej sytuacji stała się rosyjska firma Churin i Spółka, która prawdopodobnie także zapłaciła Ossendowskiemu za zorganizowanie kampanii czarnego PR przeciwko niemieckim potentatom.

Akcja dyskredytacyjna przeprowadzona została perfekcyjnie, jej wszystkie cele – zarówno polityczne, jak i ekonomiczne – zostały osiągnięte i nikt nie dostrzegłby manipulacji, gdyby nie... sam Ossendowski. Uznał najpewniej, że wobec oszałamiających efektów, jakie przyniosły jego publikacje, zasługuje na sowitą premię. Nikt nie był jednak skłonny do wypłacenia mu dodatkowego honorarium za wywiązanie się z zadania. Redaktor doszedł wówczas najwyraźniej do wniosku, że skoro jedna strona płaciła mu za pisanie zniesławiających tekstów, to druga powinna go wynagrodzić za zaprzestanie tego procederu.

Ofertę przedstawił w anonimowym liście wysłanym do Alfreda Albersa, którego powiadomił, że planowane jest drugie wydanie książki *Pokojowi zdobywcy*, na jej podstawie przygotowywany jest scenariusz filmowy, a film kinowy ostatecznie pogrąży firmę. Przedsiębiorca miał możliwość uratowania swojego holdingu, kupując za 25 000 rubli prawa autorskie do książki oraz scenariusza. Firma Kunst i Albers wyraziła wstępne zainteresowanie propozycją i przystąpiła do negocjacji. Trwały one kilka miesięcy, ale ostatecznie firma zerwała je, a zamiast zapłacić Ossendowskiemu, oskarżyła go i jego wydawcę o zniesławienie i celowe działanie na szkodę spółki. Rewizja przeprowadzona przez policję w redakcji oraz w mieszkaniu Ossendowskiego potwierdziła, że to on był autorem tekstów sponsorowanych przez konkurencyjną firmę Churin i Spółka, która na fali antyniemieckiej histerii wojennej chciała przejąć niemiecką konkurencję.

Zorganizowana przez Ossendowskiego akcja medialna pokazała siłę papierowych gazet, które potrafią zniszczyć najpotężniejsze, działające od dziesięcioleci przedsiębiorstwo. Pisarz okazał się mistrzem manipulacji, a jego teksty kształtowały wyobraźnię i opinie czytelników. Sprawa ta pokazała także, że za najwyższy wyraz uznania dla swojej pracy autor uważał sowite wynagrodzenie, o które nie wahał się dopominać, nawet składając „propozycję nie do odrzucenia”. Gdyby w tym czasie działał w Stanach Zjednoczonych, zrobiłby zapewne wielką karierę w biznesie lub polityce, w Rosji mógł liczyć tylko na to, że w związku z wojennym zamieszaniami nie poniesie zbyt srogich konsekwencji swoich działań.



Banknot o nominale 10 rubli emitowany przez firmę Kunst i Albers, którym można było płacić w jej placówkach

POLARNA MIŁOŚĆ

Krwawo-czerwone drżące niebo rozciągało się nad ziemią, z której rwały ku górze z szumem, świstem i ogłuszającym hukiem płomienie. Objęły już one wspaniałe pałace magnatów i skarbnice sztuki, przerzucały się na świątynie, rządowe gmachy, dworce kolejowe i dzielnice podmiejskie, powodowały wybuchy i ruinę, rodząc przerażenie i bezgraniczny popłoch. Tego samego dnia i o tej samej godzinie we wszystkich wielkich miastach świata wybuchły pożary i zalały rzekami ognia ulice i place, barwiąc niebo złowrogą zorzą, jakiej jeszcze nigdy nie widziała ziemia.

Ogień niszczył najwspanialsze gmachy i najpotrzebniejsze urządzenia; płomienie obejmowały już pałace sztuki, w których, zgromadzone w ciągu wieków i oszczędzone przez najsroższych zdobywców, pyszniły się wielkie dzieła ludzkiego geniuszu. Zmobilizowano wojsko, milicję miejską i oddziały policji. Miasta zostały podzielone na rejony, zatrata których była nieuniknioną, i na rejony, ocalenie których wydawało się jeszcze możliwym.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Zbuntowane i zwyciężone



Okładka książki
Zbuntowane i zwyciężone
Ferdynanda Antoniego
Ossendowskiego

Początek powieści Ossendowskiego nawiązuje do problematyki, która na początku XX wieku stała się bardzo aktualna i zyskała liczne odniesienia w literaturze. Autor opisuje konserwatywny, kapitalistyczny świat rządzony przez mężczyzn, w którym kobiety są pozbawione praw politycznych. Sytuacja doprowadza do zorganizowanego przez sufrażystki buntu, który obejmuje największe miasta świata. W swoich manifestach walczące kobiety głoszą: „Mamy w swoich szeregach równą z wami, mężczyźni, liczbę genialnych i energicznych ludzi. Dlaczego więc wy narzucacie nam ciągłe role niewolnic, lub też nic nieznaczących pomocników waszych? [...] Ogień i krew – odtąd hasło nasze...”.

Przywódczynią rewolucji ogarniającej największe metropolie Europy, Azji i Ameryki była Maria Kielland, która w swoim laboratorium pod Madrytem skonstruowała bomby zapalające o niezwykłej mocy. Wybuch srebrzystych kulek wykonanych z nieznanego ówczesnej nauce metalu powodował tak wielki żar, że żelazne płoty, miedziane dachy i przedmioty odlane z brązu płonęły jak słoma. Atak sufrażystek skierowany był przeciwko najważniejszemu instytucjom kultury. Uznali, że to właśnie one formują i wzmacniają patriarchalny świat, którego dominacja wynika nie tylko z siły, ale także z poczucia wyższości intelektualnej i duchowej. Działania buntowniczek nie ograniczały się do pikietowania koncertów czy niszczenia eksponatów w galeriach sztuki, to nie były akcje partyzanckie, ale otwarta wojna wytoczona kulturze, postrzeganej jako opresywna wobec kobiet. W płomieniach stawały gmachy muzeów, galerii, teatrów, oper i bibliotek oraz najbardziej prestiżowe dzielnice wielkich miast.

Siłom policyjnym oraz wojsku ponad dziesięć dni zajęło stłumienie zamieszek i pożarów. Buntowniczkę zostały aresztowane i uwięzione, zaczęto przygotowywać ich procesy. Skala dokonanych przez nie zbrodni dopuszczała tylko najwyższy wymiar kary, ale rządzący nie chcieli, żeby anarchistki zyskały status męczenniczek, bezbronnych ofiar patriarchalnego reżimu. Znalezione więc bezpieczne rozwiązanie. Jako że ich działalność miała charakter transgraniczny, postanowiono stworzyć międzynarodowy trybunał do ich osądzenia. Sędziowie uwzględnili ich pobudki i postanowili dać im szansę stworzenia państwa i społeczeństwa, jakie sobie wymarzyły. Wszystkie buntowniczkę zesłano na niezamieszkaną Wyspę Harveya, położoną w pobliżu Antarktydy. Dziesięć tysięcy uczestniczek powstania sufrażystek przywieziono statkami na południe globu, dostarczono im materiały budowlane, żywność oraz wszystko, co było potrzebne do funkcjonowania, i pozostawiono na pięć lat, by rządziły się według własnych reguł.

Jeden ze statków transportowych prowadził Norweg, kapitan Stenersen. Podczas rejsu zakochał się w córce przywódczyni kobiecej rewolucji, Marcie, która zdecydowała się dobrowolnie towarzy-

zyć matce podczas zesłania. Obiecał dziewczynie, że w następnym roku powróci, by uwolnić kobiety skazane na ciężkie życie w polarnym klimacie. Zbieg szczęśliwych okoliczności sprawił, że udało mu się zdobyć ogromny majątek, zakupić własny statek i zorganizować wyprawę. Dotarł do Wyspy Harveya i odnalazł osadę zbudowaną przez zesłane kobiety. Okazało się jednak, że ich wioska spłonęła, pozostały z niej tylko popioły i zgliszczka, a większość mieszkankę zginęła w płomieniach.

Poszukując ocalonych kobiet, Stenersen i jego towarzysze odkrywają nieznaną cywilizację, która rozwinęła się pod powłoką wiecznego lodu. Jej twórcami są kamparycy, którzy przed wiekami przybyli z jednej z planet znajdujących się w konstelacji Krzyża Południa. Technologie, jakimi dysponują, znacznie wyprzedzają możliwości Ziemi, przemieszczają się pod lodową skorupą i pod wodą, a komunikują się, przesyłając sobie myśli. Te karłowate stwory, podobne do norweskich trolli, są praktycznie nieśmiertelne, ponieważ opanowały technikę regenerowania swoich organizmów. Korzystają w tym celu z energii życiowej ramirów, istot utrzymywanych na bardzo niskim poziomie intelektualnym, które są od nich całkowicie uzależnione i stanowią tanią siłę roboczą. Bogactwo cywilizacji kamparytów oparte jest na kruszczach kopalnych, ich zamek zbudowany jest z wielkich bloków kamieni szlachetnych. Pracami górniczymi zajmują się astrowie, statusem zbliżeni do niewolników z Gułagu, który miał dopiero powstać. Czwartą grupą, która zachowała się w tej zapomnianej przestrzeni, są istoty przypominające ludzi pierwotnych, o niskim stopniu rozwoju, ale zachowujące niezależność i funkcjonujące poza cywilizacją stworzoną przez kamparytów. Bohaterowie odnajdują w końcu grupę ocalałych kobiet. By je uwolnić, wzniesają rewolucję, która doprowadza do zniszczenia podlodowego świata.

Gdy minął pięcioletni okres zesłania, ku Wypie Harveya wyruszyły liczne statki, aby zabrać z niej skazane buntowniczkę, a przy okazji zobaczyć, jak poradziły sobie z budowaniem nowego, wspaniałego świata, wolnego od patriarchatu. Nie odnajdują jednak „wyspy kobiet”, która zniknęła w odmętach oceanu.

Niewielka objętościowo książka ukazała potencjał Ossendowskiego jako autora fantastyki naukowej. Napisał ją po rosyjsku, w czasie swego pobytu w charbinowskim więzieniu, a wydał w 1915 roku w Moskwie pod tytułem *Ženszcziny wosstawszije i pobiezdiennyje. Fantasticzeskaja powiest*. Badacze zaliczają ją do kręgu fantastyki naukowej, a jej treść wyraźnie wskazuje na inspirację *Wehikułem czasu* (1895) czy *Pierwszymi ludźmi na Księżycu* (1901) Herberta Wellsa. Sam autor musiał być zadowolony z tej książki, bo dziesięć lat później wydał ją także w języku polskim, pod tytułem *Zbuntowane i zwyciężone. Powieść fantastyczna*.

W postaciach poszczególnych bohaterów i bohaterek dostrzec można wyraźne odniesienia do wybitnych osobistości ówczesnej epoki. Maria Kielland, odkrywczyni metalu, który umożliwił skonstruowanie potężnej broni zdolnej niszczyć gmachy, nieodparcie kojarzy się z Marią Skłodowską-Curie, odkrywczynią radioaktywnych metali polonu i radu, których potęgą może unicestwić świat. Kapitan Stenersen to człowiek podobnie szlachetny i zdeterminowany jak wybitny norweski oceanograf, badacz polarny i podróżnik Fridtjof Nansen, który odkrył, że powłoki lodowe przemieszczają się wokół bieguna północnego, podobnie jak poruszały się pokrywy lodowe, pod którymi ukryta była cywilizacja kamparytów.

Pisarz skonstruował wizję „cywilizacji polarnej”, zarysowując jej strukturę oraz sposób funkcjonowania. Ukazał, że system taki opierać się musi na systemowej przemocy. Okazało się to przekonanie prorocze, bo kilka lat później zaczęła to wdrażać w praktyce bolszewicka Rosja, kierująca zesłańców do pracy w kopalniach Syberii i Dalekiego Wschodu. Celne było także spostrzeżenie dotyczące sposobów utrzymywania całych grup i społeczności w zależności, co osiągnęto bez używania przemocy, a poprzez ograniczanie dostępu do edukacji.

Pozostaje tylko żałować, że Ferdynand Ossendowski nie rozwinął swojej twórczości na niwie literatury fantastycznonaukowej, bo nawet ta niewielka objętościowo wprawka literacka pokazuje, że miał duże zdolności w kreowaniu fantastycznych światów. Najwyraźniej jednak taki rodzaj literatury go nie pociągał, bo nawet w *Zbuntowanych* opis cywilizacji jest powierzchowny i stanowi przede wszystkim atrakcyjne tło dla opowieści o miłości pomiędzy dwójgim szlachetnych ludzi, którzy zmuszeni byli do złamania reguł swojego świata oraz zniszczenia innego świata, by ocalić swoją miłość.



Ilustracja z książki
Zbuntowane i zwyciężone
Ferdynanda Antoniego
Ossendowskiego

TRZY SPOTKANIA Z RASPUTINEM

Czytałem gazetę i nagle poczułem wprost fizyczne uderzenie w głowę. Szybko obróciłem się na prawo i spotkałem się z oczyma wysokiego, chudego człowieka o ascetycznej, nieruchomej twarzy. Był ubrany bogato, we wspaniałe futro sobolowe i takąż czapkę, lecz krój ubrania był dziwny i przypominał sutannę mnichów. Nie wiedziałem, co myśleć, gdyż spostrzegłem wysokie buty z cholewami, a gdy wyjmując chustkę do nosa, rozpiął futro, mignęła na chwilę zwykła rosyjska koszula z czerwonego jedwabiu.

Znowu uczułem potrzebę patrzenia w oczy dziwnego człowieka. Naraz z przerażeniem zauważyłem, że te oczy znikły, a na ich miejscu krzyżowały się i jeżyły jakieś świetlne promienie, zasłaniające ode mnie jego oczy i część twarzy. Naraz oczy znowu się ukazały i na twarzy nieznajomego pojawił się pogardliwy i szyderczy uśmiech. Zrozumiałem, że robił na mnie doświadczenia swej hipnotycznej siły. Postanowiłem więcej na niego nie patrzeć i wytrwałem. Gdy wychodziłem, musiałem przejść obok nieznajomego. Dotknął mnie ręką i rzekł.
– Wiem, że jesteś literatem!
A tymczasem nie chcesz patrzeć na mnie? Przecież jestem Rasputin, Grzegorz Rasputin – boży człowiek!

Ferdynand Antoni Ossendowski
Cień ponurego Wschodu

Ossendowski doskonale rozumiał, że dla szerokich rzesz czytelników najważniejsza jest nie jakość literatury, ale jej szczerść oraz emocje, jakich dostarcza. Nic zaś tak nie przemawia do serc czytelników, jak osobiste doświadczenie autora, którym ten się z nimi dzieli.

Pisarz zawarł ze swoimi czytelnikami swoisty pakt. W zastępstwie za nich wyruszał w dalekie podróże, przeżywał niesamowite przygody, spotykał niezwykłych ludzi, a potem to wszystko szczegółowo im relacjonował, czasem nieco ubarwiając swoje doświadczenia. Był jak pątnik, któremu wieśniacy w kolejnych wsiach wręczali datki, by w ich imieniu złożył je w sanktuarium i zmówił za nich modlitwę. I tak jak wędrowny mnich, kiedy ponownie trafiał do wsi, nie ograniczał się do zrelacjonowania tego, co widział, ale przede wszystkim opowiadał o tym, co czuł, gdy przebywał w niezwykłych miejscach czy wśród niesamowitych ludzi. Czytelnicy w cenie książki nabywali nie tylko jej wydrukowaną treść, ale też specjalny bonus – osobiste doświadczenia i szczerze przeżycia autora, cenniejsze od jego autografu.

Rasputin, tajemniczy mnich o nadprzyrodzonych mocach, trafił na petersburskie salony, gdy uwierzono, że swoją mocą uleczył carewicza Aleksego. Niepiśmienny chłop miał hipnotyczny wpływ na carową Marię Fiodorowną oraz otoczenie cara Mikołaja II. Imponował Rosjanom, bo potrafił zachować trzeźwość pomimo picia wódki szklanicami. Słynął z niespożytej potencji seksualnej i ogromnych rozmiarów przyrodzenia. Był postacią, która na początku XX stulecia elektryzowała wyobraźnię milionów zwyczajnych ludzi na całym świecie.

Plotki o tym, że Ossendowski osobiście spotykał się z Rasputinem, być może rozpowszechniane przez samego pisarza, roznosiły się lotem błyskawicy. Czytelnicy tak zwanych czerwonych gazet liczyli, że wkrótce przeczytają kolejne, niezwykle historie o grzesznym „bożym człowieku”, bo któż mógłby je opisać lepiej niż Ossendowski. Pisarz tymczasem milczał i nie odnosił się do tych rewelacji. Wyrażał jedynie zdziwienie niezdrawą fascynacją czytającej publiczności Griszka Rasputinem, prymitywnym analfabetą, nałogowym pijakiem i hazardzistą, który z bandą Cyganów kradł konie, a reguły życia zakonnego poznał, gdy umykając przed policyjnym pościgiem, ukrył się w klasztorze. Uważał, że popularność tego człowieka wśród najwyższych sfer rosyjskiej arystokracji była oznaką zmierzchu cywilizacji, symbolem zbliżającej się apokalipsy, a samo jego nazwisko, oznaczające rozpustnego, miało w sobie coś złowieszczonego.

Po sukcesie relacji z jego dramatycznej ucieczki przez Centralną Azję – zawartej w książce *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów* (z roku 1922) – Ossendowski zyskał sławę pisarza przeżywającego najbardziej niesamowite przygody. Czytelnicy pragnęli

poznać jego wcześniejsze doświadczenia życia w carskiej Rosji, która była jeszcze bardziej niedostępna niż Mongolia czy Tybet, bo zniknęła zupełnie, zmieciona przez rewolucję. Swoje doświadczenia życia w Rosji opisał w książce *Cień ponurego Wschodu* wydanej w 1923 roku i reklamowanej obietnicą, że czytelnicy poznają wreszcie szczegóły dotyczące trzech osobistych spotkań Ossendowskiego z Rasputinem.

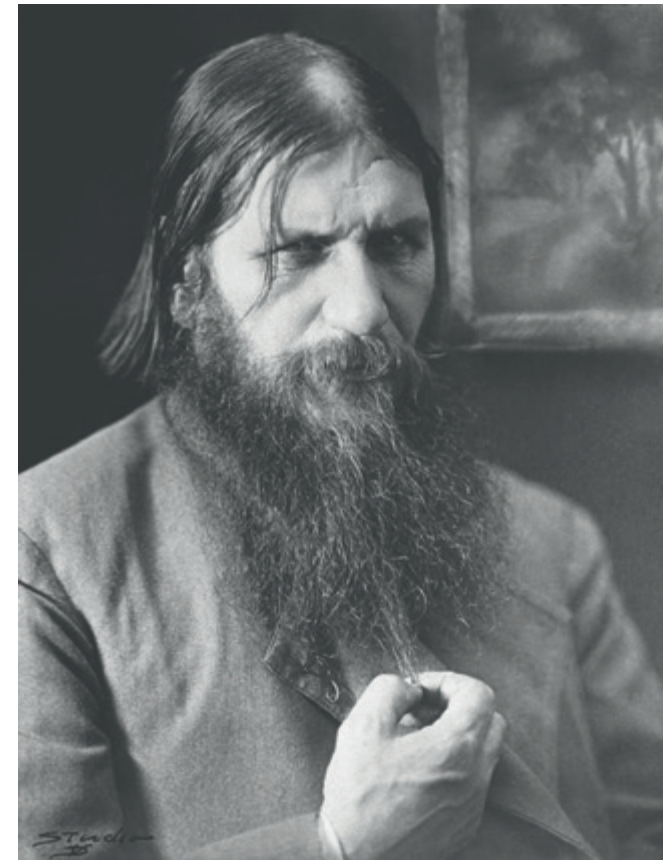
Pierwsze spotkanie miało miejsce w petersburskim tramwaju. Ossendowski nie rozpoznał wówczas mnicha o hipnotycznym spojrzeniu, ale słynny Rasputin doskonale wiedział, kim jest pisarz, na którego nie działają jego potężne moce. Niewątpliwie łechtało to ego redaktora Antona Martynowicza i tworzyło wokół niego aurę petersburskiego celebryty.

Drugie spotkanie z Rasputinem pisarz określił jako „półmistyczne”. Doszło do niego podczas wernisazu malarstwa w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. Szczególne zainteresowanie publiczności budził niedokończony portret, wykonany przez Mikołaja Rajewskiego, popularnego wówczas w Wielkiej Brytanii rosyjskiego malarza, który przedstawiał wysokiego, chudego mężczyznę z rozwichrzoną brodą oraz długimi, czarnymi włosami. Uwagę zgromadzonych przykuwały magnetyczne oczy sportretowanego mnicha, w które spojrzał także Ossendowski. Pisał, że gdy zbliżył się do obrazu, źrenice nagle zniknęły za czymś w rodzaju świetlnej zasłony, która się z nich wyłoniła. Nie potrafił racjonalnie wyjaśnić, na czym polegała iluzja optyczna, której doświadczył, natomiast z reakcji publiczności wnosił, że nie tylko on odczuwał, że Rasputin oddziałuje na niego poprzez swój portret.

W petersburskim tramwaju pisarz spotkał żywego Rasputina; w galerii sztuki odczuł emanację jego mocy z niedokończonego portretu; trzeci raz zetknął się z nim, gdy jego martwe ciało wyciągane było z topieli. Ossendowski był wówczas redaktorem petersburskiej gazety codziennej, zaliczanej do najniższego sortu prasy brukowej. Od informatora dowiedział się o zamordowaniu mnicha, o poszukiwaniach jego ciała, a wreszcie o jego odnalezieniu pod skutą lodem Newą. Natychmiast pojechał na miejsce zdarzenia, a dotarł tam w momencie, gdy z przerębła wydobywano właśnie ciało bożego człowieka. Zanotował, że Rasputin był ubrany we wspaniałe futro i czarną, jedwabną koszulę, a na elegancki, lakierowany but miał wciągnięty wysokie, wojskowy kalosz. Był bez czapki. Miał rozbitą twarz, uszkodzone oko i wyraźne ślady palców odciśniętych na jego szyi, jakby ktoś go przed śmiercią dusił. Ossendowski spoglądał na człowieka, który jeszcze poprzedniego dnia wydawał się najpotężniejszy w Rosji, a kilkanaście godzin później nie posiadał już żadnej mocy. Był zimnym trupem.

Rasputin jawi się jako figura symbolizująca Rosję, z jej religijnością połączoną z zabobonem, wróżbiarstwem i prymitywną ezoteryką, brudem, analfabetyzmem, prostactwem, pijaństwem i brutalną, zwierzęcą seksualnością. Wystarczyła twarda pałka i silne ręce, by unicestwić „bożego człowieka”, który wydawał się odwieczny i nieśmiertelny.

Rasputin był emanacją Rosji. Jej potęgą przez stulecia trwożyła Europę, a wystarczyła grupa agitatorów, za którymi poszedł tłum prymitywnych, wzutych ze wszystkiego biedaków, którym obiecano zemstę na tych, którzy mieli więcej, oraz wspólnotę kobiet. To wystarczyło, by bezkresna Rosja złożyła się jak domek z kart.



Grigori Rasputin, 1916

CZERWONY CAR

„Czerwony” car musiał być zawsze na czele [pochodu motłochu], i jak car, nikogo i niczego się nie bać... Musiał, chociaż nie zawsze mógł, a ten mus doprowadził go po kilku latach wściekłego życia do zupełnego wyczerpania mózgowego [...]. Lenin pozostawił po sobie chaos, zburzone tamy i rozpętane zwierzę ludzkie [...]. Sam zaś jako „nowy prorok” pozostał w szklanym grobowcu w mauzoleum, wzniesionym na placu,

gdzie car Groźny ucinał łby wiernopoddanym, Piotr wieszał buntowników, a dyktator proletariatu walił z kulomiotów do wszystkich [...] aż nie zapanowała cisza cmentarna, wśród której legł on, syn radcy stanu, pół-Mongoł, fałszerz pieniędzy i idei, największy drapieżca, bezczelny demagog-dyktator, duchowy wnuk Iwana Groźnego, syn Piotra Wielkiego i brat Pugaczowa, oswobodziciel i ciemieżca, Awwakum fanatyzmu, Rasputin krwawych orgii, burzyciel rodziny i społeczeństwa, pół-car, pół-bóg, a w istocie swojej – towarzysz najnędzniejszych, najmroczniejszych, najbardziej zbrodniczych, zuchwały gracz, straszliwy eksperymentator, teoretyk i nieuk w dziejach ludzkości [...].

Ferdynand Antoni Ossendowski
Lenin

Ossendowski swoją słynną powieść *Lenin* wydał w 1930 roku. Obnażał w niej rozziew pomiędzy komunistycznymi ideami, które bolszewicka propaganda kolportowała po całym świecie, a zbrodniczą istotą tego ustroju, który zbudowany był na oszustwie i bezwzględnej przemocy. Jego powieść nie była jednak – jak to bywało w przypadku innych demistyfikatorów komunizmu – formą osobistego rozliczenia się z naiwną wiarą w komunizm, z ukąszeniem heglowskim czy po prostu z błędami z młodych lat. Ossendowski nawet na chwilę nie dał się zwieść skłamanym hasłom głoszonym przez bolszewików, w które uwierzyły, a czasem do dziś wierzą, miliony inteligentnych i wrażliwych ludzi na całym świecie. Wiedział, że rewolucja komunistyczna to zło w najczystszej postaci i należy je zwalczać wszelkimi sposobami, współpracując z każdym, kto występuje przeciw tej najstraszliwszej tyranii w dziejach ludzkości. Dlatego gdy bolszewicy opanowali Petersburg i europejską część Rosji, ewakuował się za Ural, gdzie gromadzili się ci, którzy chcieli walczyć z armią bolszewicką.

Zmierzyć się musieli nie tylko z rewolucyjnymi oddziałami, ale także z propagandą, z której komuniści uczynili broń masowego rażenia. Była ona jak zakażone śmiertelną chorobą truchła zwierząt, które w średniowieczu mongolscy najeźdźcy rzucali przez mury obleganych miast, by zatruiły wodę i zarażały wszystkich obrońców. Nie musieli przeprowadzać szturmów, wystarczyło, że poczekali, aż osłabieni chorobą obrońcy sami otworzą przed nimi swe domy, w twarzach najeźdźczych morderców szukając ostatniej deski ratunku.

Komunistyczna propaganda przedstawiała rewolucję październikową oraz krwawe rządy bolszewickie jako walkę uciśnionego ludu przeciwko krwawemu caratowi, zohydżanemu jako najbardziej opresyjny ustrój, bezlitośnie gnębiący i wyzyskujący ludzi. Słowo carat miało działać jak magiczne zaklęcie, wyjaśniające i usprawiedliwiające najstraszliwsze zbrodnie dokonywane na bezbronnych ludziach, zbrodnie, które ukazywano jako konieczną ofiarę na drodze do najważniejszego celu, jakim było uwolnienie ludu od krwawego despoty. Car był świętym kościoła prawosławnego, przedstawicielem Boga na ziemi. Jego śmierć była równoznaczna ze śmiercią Boga, z wyzwoleniem ludzi z pęt religii, jej przykazań, ze strachu przed nieuniknioną karą. Zamordowanie boga-cara uwalniało od grzechu, na zawsze.

Ossendowski rozumiał, jak niezmienna jest mentalność narodu rosyjskiego. Od podboju mongolskiego, a może nawet jeszcze wcześniej, gdy jego władcami byli bezwzględni wikingowie zwani Waregami, ruski lud wiedział, że władza wiąże się z przemocą. Potęgę poszczególnych władców Rosjanie poznawali po skali przemocy, jakiej od nich doznawali, a największy szacunek mieli dla tych, którzy byli najbardziej bezwzględni. Nie miało znaczenia, czy

nazywali ich wodzami, książętami, chanami, królami, carami, naczelnikami, pierwszymi sekretarzami czy prezydentami – szacunek budziła tylko czysta siła. Zbrodnie i terror traktowano w Rosji jako uprawnione środki służące osiągnięciu celów politycznych. Obalenie caratu było procesem, w którym najważniejsze nie były wcale strzały z krążownika „Aurora”, bo symboliczne znaczenie tak naprawdę miało dopiero zamordowanie cara i jego rodziny. Ten czyn legitymizował rządy komunistyczne w oczach społeczeństwa, wynosił Lenina na proletariacki tron, namaszczał go na nowego władcę ludu. Umarł car, niech żyje car.

Kilkanaście lat później, w swojej słynnej powieści biograficznej *Lenin*, Ossendowski nazwał przywódcę rewolucji „czerwonym carem”. Było to uderzenie w same fundamenty ateistycznej religii, kultu zbudowanego przez komunistów wokół wodza rewolucji. Nazywając Lenina carem, Ossendowski wypowiadał słowo, jakiego nie odważył się użyć Konrad w Wielkiej improwizacji. Nazwanie Boga carem, niezależnie od tego, czy był to chrześcijański Stwórca czy ateistyczne bóstwo, było bowiem całkowitym zakwestionowaniem jego autorytetu moralnego oraz podważeniem całego konstruktu świata, którego on był fundamentem. Zrzucenie Lenina z piedestału i sprowadzenie go do postaci brutalnego samodzierżcy unieważniało całą ideologię, z której wyrastał jego kult.

Polacy nigdy nie mieli złudzeń co do istoty społeczeństwa rosyjskiego. Wiedzieli, że żadne powstanie czy rewolucja nie będą miały nic wspólnego z wyzwoleniem ludzi czy ludów, a staną się tylko sposobem na zaprowadzenie jeszcze brutalniejszej dyktatury. Pisał o tym Jan Kucharzewski, który swoje monumentalne opracowanie zatytułował *Od białego caratu do czerwonego*. Podobne było rozpoznanie Ossendowskiego, który wiedział, że za rewolucją nie stoją żadne wartości, bo zbudowana jest wyłącznie na antywartościach, niszczy dorobek pokoleń, pozbawia ludzi szans na lepszą przyszłość, a wszystko po to, żeby na gruzach białego caratu powstało nowe imperium – jeszcze brutalniejsze, jeszcze bardziej bezwzględne, w którym nie będzie już odwołania do żadnej religii ani prawa – imperium czerwonego caratu.



Przemówienie Lenina, 1920

FAŁSZERZ DOKUMENTÓW SISSONA

Przy rządzie
Kiereńskiego zostały
przechwycone dokumenty
o przygotowywanym
przez Niemców zamachu
komunistycznym.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Cień ponurego Wschodu



Edgar Sisson, 1919

Ta krótka notatka jest jedynym zapiskiem Ossendowskiego dotyczącym sfałszowanych dokumentów, które stały się powodem wybuchu jednej z najbardziej niezwykłych afer szpiegowskich XX wieku. Dziś wiemy, że były one fałszyfkami i niewielu historyków o nich pamięta, ale jesienią 1918 roku, gdy je ujawniono, wstrząsnęły opinią publiczną Zachodu i zdyskredytowały Rosję Sowiecką. Uznana została niemal za sojusznika Niemiec, jej przedstawicieli nie zaproszono do rokowań z państwami centralnymi i nie uwzględniono jej interesów podczas konferencji wersalskiej, co bardzo ułatwiło odrodzenie się niepodległej Polski.

W kulisach salonów dyplomatycznych szepiano o wsparciu finansowym, jakiego rząd niemiecki udzielił bolszewikom, by ci obalili liberalny, prozachodni rząd Kiereńskiego i wywołali rewolucję, która doprowadzi do wyłączenia rosyjskiej armii z działań przeciwko Niemcom. Podejrzenia zaczęły zamieniać się w fakty jesienią 1918 roku, gdy opiniotwórczy „The New York Times” rozpoczął drukowanie tajnych dokumentów ujawniających nieformalne kontakty między niemieckim sztabem a przywódcami bolszewickimi. Wśród ujawnianych pism znajdowały się notatki z podsłuchiwanym rozmów telefonicznych, a na marginesach wielu z nich widniały ręczne dopiski Lwa Trockiego, Adolfa Joffego i Feliksa Dzierżyńskiego. Upublicznione zostały także raporty niemieckich agentów działających w Rosji, a zwłaszcza list jednego z ich szefów do Feliksa Dzierżyńskiego, któremu ujawniał listę swojej agentury na Syberii i Dalekim Wschodzie, w większości ludzi związanych ze znaną nam już firmą Kunst i Albers.

Dokumenty te przeszły do historii jako Sisson Documents, ponieważ pozyskał je, i to za znaczną sumę dolarów, przedstawiciel US Committee on Public Information w Petersburgu, a zarazem oficer amerykańskiego wywiadu, kapitan Edgar Sisson. Nabył je od człowieka, który przedstawiał się jako E.P. Siemionow, dziennikarz petersburskiej gazety „Wieziernyje Wriemia”, których redaktorem był wówczas nie kto inny jak Antoni Ossendowski. Wśród materiałów przekazanych Sissonowi znalazł się także list Ossendowskiego do Siemionowa z wiadomością, że za pięćdziesiąt tysięcy rubli można otrzymać od zaufanych osób dokładne informacje na temat działalności wywiadu niemieckiego w Rosji. Trudno uwierzyć, że panowie siedzący przy sąsiednich biurkach w redakcji w sprawie tak poufnej wymieniali pomiędzy sobą korespondencję. List mógł być formą uwiarygodnienia Ossendowskiego jako człowieka posiadającego dostęp do najbardziej skrywanych tajemnic niemieckiego wywiadu, a przy okazji upraszczał negocjacje, wskazując cenę, za jaką można te, tak cenne, informacje pozyskać.

Osoby organizujące akcję propagandową przeciw bolszewikom zadbały o skuteczne wzmocnienie przekazu. Kilka dni po tym, gdy „The New York Times” rozpoczął publikowanie dokumentów Sissona, w Waszyngtonie ukazała się niewielka książka *The German-Bolshevik Conspiracy* (1918), zawierająca – przetłumaczone na język angielski – 69 dokumentów dotyczących przejazdu Lenina i jego współtowarzyszy w zapłombowanym wagonie z Niemiec do Rosji. Znalazły się w niej fotokopie kilku pism dyplomatycznych dotyczących prowadzonych w Brześciu Litewskim negocjacji związanych z zawieraniem separatystycznego pokoju pomiędzy Rosją Sowiecką a Niemcami i Austrią, co dodatkowo uwiarygodniało twierdzenia o istnieniu sojuszu sowiecko-niemieckiego, który definitywnie wykluczał

Rosję z grona aliantów, a w samej Rosji wzmagał nastroje antybolszewickie.

Wątpliwości co do autentyczności dokumentów Sissona zgłaszane były praktycznie od dnia ich upublicznienia. Najpoważniejsze zarzuty postawił W.A. Panon w książeczce *Historyczne fałszerstwo: sfałszowane dokumenty amerykańskie*, która ukazała się już w 1921 roku we Władystoku. Główne ostrze swego ataku skierował przeciw Ossendowskiemu, którego oskarżył o osobiste wytworzenie tych „dokumentów”. Nawet jeśli Panon miał rację, to wiarygodność jego argumentacji bardzo osłabiał fakt, że – jako agent niemieckiego wywiadu i przyjaciel Alfreda Albersa – miał z Ossendowskim poważne prywatne porachunki, a w związku z tym jego wywody szczególnie Ossendowskiemu nie zaszkodziły.

Dokumenty Sissona uważane były za cenną zdobycz wywiadowczą. Pierwotnie przechowywane były w archiwum Białego Domu, później przekazano je do Centralnej Agencji Wywiadowczej, która dopiero w 1955 roku zdecydowała się je odtajnić i przekazać do amerykańskiego Archiwum Narodowego. Wtedy właśnie ujawniono, że były one fałszyfkami, bowiem faktyczne dokumenty dotyczące rokowań w Brześciu Litewskim – przejęte przez Amerykanów w 1945 roku z archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec – zawierały informacje zupełnie odmienne od tych, jakie wyczytać można było w papierach zakupionych przez kapitana amerykańskiego wywiadu od redaktorów petersburskiego brukowca „Wieziernyje Wriemia”.

Rzetelnej analizie Dokumentów Sissona dokonał dopiero emerytowany ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie, George Kennan, który dokładnie przyjrzał się krojom czcionek drukarskich, podpisom oraz adnotacjom i stwierdził, że wszystkie dokumenty – mimo że pochodzić miały z różnych instytucji w Niemczech i Rosji – sporządzone zostały na tej samej maszynie do pisania. Nieprawdziwe okazały się także rzekome dopiski komunistycznych przywódców, które nawet wyglądem nie były podobne do ich charakteru pisma. Analiza grafolologiczna wykazała, że autorem wszelkich ręcznych notek był Antoni Ossendowski, co chyba nikogo nie zaskoczyło.

Dwa miesiące po publikacji pierwszych Dokumentów Sissona, 11 listopada 1918 roku w wagonie kolejowym w Compiègne pod Paryżem podpisane zostało zawieszenie broni na froncie zachodnim. Okazało się ono faktycznym końcem I wojny światowej. Przesunięcie Rosji do grona aliantów Niemiec sprawiło, że Francja musiała znaleźć „sojusznika zastępczego”, który flankowałby Niemcy od wschodu. Dzięki temu Polska nie tylko odzyskała niepodległość, ale stała się kluczowym sojusznikiem najpotężniejszego państwa w kontynentalnej Europie.

MINISTER W RZĄDZIE KOŁCZAKA

Przed nawałnicą bolszewicką musiałem uchodzić z Petersburga na Syberię jeszcze w 1918 roku [...]. Do stycznia 1920 roku przebywałem na Syberii, gdzie rządy bolszewickie zostały zastąpione rządami admirała Kołczaka, zgubionego przez monarchistów i nieudolnych ministrów.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów

Miastem, do którego Ossendowski uciekł z Petersburga, był Omsk, położony u ujścia rzeki Om do Irtyżu, gdzie od listopada 1918 do listopada 1919 roku znajdowała się siedziba rządu białych – zwolenników przywrócenia starego porządku, walczących z bolszewikami – na którego czele stał admirał Aleksander Kołczak, tytułujący się wielkorządcą Państwa Rosyjskiego. Armia zorganizowana przez Kołczaka odnosiła spektakularne sukcesy, sprawnie wyparła oddziały bolszewickie z Syberii, przeszła przez Ural i dotarła do Wołgi, zagrażając Moskwie.

Dowódcy białych działający na Syberii – generał Anton Denikin, generał Jewgienij Miller i generał Nikołaj Judenicz – uznali zwierzchnictwo admirała Kołczaka, licząc, że wkrótce otrzymają wsparcie od sojuszników Rosji podczas pierwszej wojny światowej, która właśnie zakończyła się na zachodzie – Wielkiej Brytanii, Francji, Stanów Zjednoczonych i Japonii. Nadzieje te były tym większe, że rząd Kołczaka w połowie 1919 roku uznany został przez państwa zachodnie jako jedyny legalny rząd rosyjski.

Ossendowski w Omsku znalazł zatrudnienie jako wykładowca chemii na politechnice oraz akademii rolniczej. Większe dochody przynosiła mu jednak praca na stanowisku wicedyrektora Kancelarii Kredytowej oraz redaktora „Wiadomości Finansowych i Przemysłowo-Handlowych”, wydawanych przez Ministerstwo Skarbu Tymczasowego Rządu Syberyjskiego. Pisał, że w rządzie białych pełnił funkcję podsekretarza stanu odpowiedzialnego za kredyty i pożyczki. Stanowisko wiceministra nie było szczególnym zaszczytem dla człowieka, który był już przez dwa miesiące „prezydentem Syberii”, ale w związku z tą funkcją pisarz znalazł się blisko carskiego złota, które ewakuowane zostało za Ural i dysponował nim rząd Kołczaka.

Na początku 1919 roku wydawało się, że białogwardzistom uda się zdusić rewolucję. Sytuacja czerwonych była dramatyczna, cała Syberia, Ural, wybrzeże Morza Kaspijskiego i Czarnego były w rękach zwolenników starego porządku. Armia generała Judenicza atakowała Piotrogród, na Moskwę od północy szły wojska admirała Kołczaka, a od południa generała Denikina, na zachodzie natomiast armia polska wypierała bolszewików z terenów Litwy, Ukrainy i Białorusi. Wydawało się, że już wkrótce rząd Kołczaka będzie zarządzał krajem z Moskwy lub Petersburga, a jego minister, Antoni Ossendowski, zajmie się wynegocjowaniem warunków traktatu o dobrym sąsiedztwie z Rzeczpospolitą Polską. Może gdyby rząd rosyjski uznał niezależne państwo polskie i docenił strategiczne znaczenie porozumienia z polskim rządem, a Ossendowskiego wysłał z misją pojednawczą do Warszawy, udałoby się wspólnie zniszczyć komunizm, zanim ugruntował swoją siłę i stał się najbardziej morderczym systemem w dziejach świata.

Niestety, Ferdynand Ossendowski nie pojechał do Piłsudskiego i nie przekonywał go, by wspólnie z białymi generałami zniszczył Rosję Sowiecką. Piłsudski natomiast uważał powrót do władzy białych za śmiertelne zagrożenie dla odradzającej się Polski, której suwerenności admirał i jego generałowie nie uznawali, traktując ją jako zbuntowaną prowincję wielkoruskiego imperium, którego byli nieodrodnymi synami. Naczelnik państwa polskiego kalkulował, że rząd sowiecki, skłócony z mocarstwami zachodnimi, będzie miał znacznie słabszą pozycję i uda się z nim wynegocjować lepsze warunki pokoju. Polska ofen-

sywa została wstrzymana. Armia Czerwona mogła się przegrupować i skierować swoje siły przeciwko armii białych generałów. Wielka kontrofensywa bolszewicka ruszyła na wschód, latem wojska Lenina i Trockiego przekroczyły Ural, 24 lipca zdobyły Czełabińsk, a 14 listopada wkroczyły do Omska.

Ossendowski zdawał sobie sprawę z powagi zagrożenia, jakie stanowią bolszewicy, nawet gdy znajdowali się w głębokiej defensywie. Pracując w rządzie Kołczaka, zajmował się działalnością kontrwywiadowczą, a szczególnie rozpracowywaniem metod oraz kierunków działania propagandy bolszewickiej. Wiedział, że nastroje społeczne nie sprzyjają zwolennikom starego porządku, są oni w zdecydowanej mniejszości, popierają ich niemal wyłącznie ludzie wywodzący się z klas uprzywilejowanych. Rosyjski lud był bazą dla komunistów, którzy poprzez swych emisariuszy rysowali przed nim perspektywę podzielenia się bogactwem, korzystania z zasobów, a nawet – co wówczas szczególnie podkreślano – kreślili wizję wspólnoty żon, jaka nastąpi w państwie sowieckim. Ossendowski opracowywał kolejne raporty wskazujące na zagrożenie, jakie stanowią bolszewicy dywersanci. Generałowie i ministrowie byli jednak przekonani, że lepiej od niego znają się na prowadzeniu wojny i – metodami jakie stosowali podczas poprzednich wojen – prowadzili wojnę domową.

Dzisiaj określilibyśmy Ossendowskiego jako wybitnego analityka politycznego, rozumiejącego mechanizmy społeczne, który potrafił prawidłowo przewidywać kierunki, w jakich będą toczyły się sprawy. Jego obserwacje były tak cenne, że gdy wreszcie wy dostał się z Azji, rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się do niego o sporządzenie raportów opisujących mechanizmy sowieckiej propagandy oraz sposoby manipulowania przez komunistów społeczeństwem, dzięki którym udawało im się zachęcić ludzi do walki za system, który czynił z nich niewolników.

Ossendowski nie tylko wyjaśniał działalność wrogiej propagandy, ale także wskazywał działania, jakie musi podjąć rząd białych, aby społeczeństwo stanęło po jego stronie. Mimo że spędził dwa lata w carskim więzieniu, rozumiał doskonale, że jedyną ideą, jaka może być przeciwstawiona wizji komunistycznego raju, jest opowieść o świętej Rusi, a przede wszystkim o ojczulku-carze, świętym kościele prawosławnym, który kocha swój lud i najlepiej o niego zadba.

CZŁOWIEK PUSZCZY

Po katastrofie syberyjskiej, gdy Kołczaka rozstrzelano w Irkucku, a 5. Dywizja Syberyjska [Strzelców Polskich pod dowództwem generała Czumy] znalazła się w zdradzieckich rękach bolszewików, którzy szybko zalewali cały kraj, bez bojów posuwając się na wschód, za resztkami zdemoralizowanej armii rządu syberyjskiego, zaczęły się na Syberii prześladowania Polaków. Wystarczyło mieć nazwisko o polskim brzmieniu, żeby być skazanym na śmierć. Musiałem więc myśleć o dalszej ucieczce.

Na początku 1920 roku los rzucił mnie do Krasnojarska, miasta położonego przy brzegu wielkiej i pięknej rzeki Jenisej, której źródła rodzą się w górach Urianchaju, a ujście ginie w oceanie Lodowatym.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów

W Krasnojarsku Ferdynand Ossendowski wraz z kilkoma innymi Polakami przygotowywał plan ucieczki przez Kraj Urianchajski, Mongolię i Chiny do Europy. Niestety, jego znajomi zostali aresztowani przez bolszewików, którzy przyszli także po pisarza. Szczęśliwie nie było go w domu, a życzliwe osoby ostrzegły go o przygotowanej na niego zasadzce. Musiał pospiesznie uciekać – sam i bez planu.

Przebrany za wieśniaka, na wozie przygodnego Sybiraka opuścił miasto. Kilka godzin później był już w małej wsi otoczonej gęstym lasem, czterdzieści kilometrów od Krasnojarska. Przyjaciele przysłali mu „karabin, trzysta naboí, siekiere, nóż, kozuch, herbatę, suchary, sól i kociołek”, a chłop wywiózł do porzuconej chaty w głębi tajgi, gdzie czasem nocowali miejscowi myśliwi. „Od tego dnia – pisał później – stałem się człowiekiem pierwotnym, lecz wtedy nie przypuszczałem, że może to potrwać tak długo”.

Ossendowski, opuszczając Krasnojarsk, zamyslał swoje dotychczasowe, 44-letnie życie spędzone w Rosji. Rozpocząła się jego wielomiesięczna odyseja, która przez Kraj Urianchajski, Mongolię, Tybet, Chiny, Japonię, Stany Zjednoczone Ameryki oraz Europę miała go doprowadzić do Polski. Podróż zaczął od przemiany w człowieka pierwotnego, który potrafi samodzielnie przeżyć w mroźnej tajdze. Myślał, że w opuszczonej chacie przeczeka do wiosny, los miał wobec niego inne zamiary.

W jego kryjówce pojawili się czerwonarmiści. Było ich dwóch, stanowili zwiad oddziału tropiącego kontrrewolucjonistów ukrywających się w tajdze. Na szczęście nie rozpoznali w Ossendowskim wroga bolszewickiego reżimu. Uwierzyli, że jest myśliwym, który przybył w to ustronie, by polować na sobole. Ossendowski poczęstował ich upolowanymi poprzedniego dnia głuszcami, oni oczywiście mieli samogon, a gdy byli już całkiem rozluźnieni i z dumą opowiadali o tym, jak torturowali i mordowali burżujów oraz kozaków w Krasnojarsku, w drzwiach stanął kolejny gość. Barczysty chłop w kosmatej, baraniej czapce, szerokim kozuchu, z karabinem w rękę i siekiere za pasem. Dołączył do biesiadujących w opuszczonej chacie na pustkowiu, w której zrobiło się tak ciasno, że bolszewicy żołdaci położyli się spać na ławach, a syberyjscy myśliwi na podłodze.

Rankiem gość zdecydował, że pojedzie z czerwonarmistami do miasta. Ossendowskiemu zapowiedział, by na niego czekał, bo zamierza powrócić jeszcze tego samego dnia. Po godzinie Antoni usłyszał dwa strzały karabinowe, a po kolejnej powrócił jego gość, który powiększył ich dobytek o „dwa okulbaczone konie, dwa karabiny, dwa worki sucharów, torebkę herbaty, woreczek z cukrem, pięćdziesiąt naboí, dwa kozuchy i dwie pary skórzanych butów”. Sowietcy zwiadowcy nie zagrażali im już sprowadzeniem oddziału poszukiwawczego, ale chata przestała być bezpiecznym azylem. Iwan, jak przedstawił się nowy, nieoczekiwany towarzysz Ossendowskiego, wskazał

cel ich podróży – dość odległy, bo od bezpiecznego schronienia dzieliło ich około pięćset kilometrów.

Ich droga wiodła przez zaśnieżoną i oblodzoną tajgę, w powietrzu wirowały płatki śniegu, zamieniające się zniecka w burzę śnieżną; wielkie sopole lodu jak sztylety wisały nad nimi na gałęziach drzew, którymi wiatr trząsał tak mocno, że jęczały niczym potępione dusze. Nocowali w puszczy, kryjąc się pod rozłożystymi świerkami. Grzali się w ciepłe syberyjskiej najdy, ogniska zbudowanego z dwóch dopasowanych bali, ociosanych z jednej strony i położonych jeden na drugim płaskimi stronami, pomiędzy które wkłada się klin, a w szczelinę wysypuje rozżarzone węgle, dzięki czemu kłocę żarzą się przez całą noc.

Po pięciu dniach wędrówki dotarli do kolejnej opuszczonej chaty, tym razem u ujścia potoku Niegnieć do rzeki Many. Przewodnik opowiedział Ossendowskiemu historię jej właściciela, Gawrońskiego, z którym przez lata wspólnie szukali złota, przyrzekając sobie, że będą się wszystkim dzielili po połowie. Gdy Gawroński odkrył złotodajny potok, ukrył się jednak przed współnikiem i sam wydobywał z niego kruszec. Po kilku latach został odnaleziony, brutalnie torturowany, a w końcu zamordowany wraz z żoną, w tej właśnie chacie, nie zdradził jednak miejsca, gdzie wydobywał złoto ani gdzie je gromadził. Wolał zginąć w mękach niż oddać garniec złotego piasku.

Siódmego dnia zatrzymali się w gęstym cedrowym lesie na zboczu wzgórza. To właśnie miejsce Iwan uznał za najlepsze do przetrwania syberyjskiej zimy. Znalazł wielką jamę w ziemi, pozostałą po wyrwanych korzeniach obalonego przez wichurę cedru. Pomógł Antoniemu przekształcić ją w bezpieczną ziemiankę. Jej sufit i główną ścianę stanowił pień obalonego drzewa, korzenie przepieplane gałęziami, uzupełnione kamieniami i przysypane śniegiem były bocznymi ścianami, wejścia ten „dom” nie miał, ale w jego miejscu zawsze paliła się najda, dająca bezpieczne ciepło. Ta nora stała się na ponad dwa miesiące kryjówką uciekiniera, w której przetrwał najtrudniejszy zimowy czas. Żył jak człowiek pierwotny, polował głównie na cietrzewie, a jego najcenniejszą zdobyczą stał się niedźwiedź, do którego zabicia potrzebował trzech strzałów.

Każdego dnia walczył o przeżycie, ale, jak później wspominał, najstraszniejsza była dla niego samotność, brak możliwości odezwania się do drugiego człowieka, brak informacji o losach najbliższych. Niepewność doprowadzała go na skraj szaleństwa. Gdy tylko zima się skończyła i minęły roztopy, wyruszył w dalszą drogę.

PRZEZ SYBERIĘ

Śledząc ruch lodu, nie mogłem bez przerażenia i wstrętu patrzeć na ofiary, które niósł groźny Jenisej. To były ciała ludzi, straconych przez minusińską „czeka”: oficerów, żołnierzy i Kozaków rozproszonej armii nieszczęśliwego adm. Kołczaka. Setki tych trupów, może tysiące, z odrąbanymi głowami i rękami, z oszpeconymi twarzami i ciałami, na półspalone, z wyciętymi na piersiach i nogach kawałkami skóry, z wykłutymi oczami i zdruzgotanymi głowami – płynęły na kawałkach kry, szukając dla siebie mogiły lub obracając się w szalonych wirach pomiędzy lodowatymi bryłami. Kra rzucała nimi, druzgotała je, rozcierała na miazgę, rozrywała na kawały i wyrzucała na płaskie wyspy rzeczne, i na mielizny około brzegów.

Kierując się wzdłuż Jeniseju, ciągle spotykałem gnijące trupy ludzkie i końskie, rozrywane przez drapieżne ptaki i psy zdziczałe. W jednym miejscu widziałem na brzegu trzysta trupów końskich, wyrzuconych przez rzekę, a dalej w krzakach wikliny znalazłem siedemdziesiąt ludzkich ciał czy raczej części ciał ludzkich. Straszliwy, słodkawy odór gnijącego mięsa płynął z wiatrem, a nad tą ponurą miejscowością unosiły się sępy i kruki, spłoszone przeze mnie i przeraźliwie kraczące.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów

Ossendowski płynął łodzią w dół Jeniseju. Mijał dryfujące z prądem trupy ludzi, którzy przed kilkoma miesiącami, tak jak on, walczyli z bolszewikami, a potem, gdy już wiedzieli, że nie uratują Rosji, starali się ocalić chociaż własne życie. Jemu się powiodło, tysiące płynących rzeką nie miało tyle szczęścia. Łódź prowadził chłop, którego wyleczył z tyfusu plamistego. Pochodził ze wsi, do której Ossendowski dotarł po zimie spędzonej w tajdze. Udało mu się skontaktować z przyjaciółmi, którzy dostarczyli mu ubrania, buty, pieniądze, lekarstwa, a przede wszystkim doskonale sfałszowane dokumenty, które miały mu pomóc wydostać się z czerwonych kleszczy.

Łodzią dotarł do opuszczonej kopalni złota, zrabowanej już i zniszczonej przez bolszewików. Spotkał tam nowego towarzysza podróży, Władysława Wojciechowicza, z którym ruszył ku źródłom Jeniseju, by stamtąd przez Kraj Urianchajski przedostać się do Mongolii, a potem przez Chiny do Pacyfiku. Jechali konno wzdłuż wielkiej rzeki, którą wciąż płynęły trupy. Gdy jechali gościncami, napotykali domy, w których wymordowano całe rodziny. Jadąc przez lasy, trafili na polanę, wokół której na gałęziach wisiało dwudziestu ośmiu oficerów

z gwiazdami wyciętymi na piersiach. Spotykali też oddziały wojsk sowieckich, widzieli towarzyszące im „rozpustne, ohydne suki rewolucji w zrabowanych sukniach i futrach”. Ich doskonale podrobione dokumenty inżynierów budowlanych, odpowiedzialnych z przygotowanie dróg i mostów, nie budziły jednak wątpliwości kontrolujących.

Mijali kolejne wsie. Szybko zaczęli odróżniać komunistyczne od niekomunistycznych. „Gdy wjeżdżaliśmy do wsi pobrzękując dzwoneczkami upręży końskiej, a siedzący przed domostwami starcy powoli wstawali i kryli się za wrotami, mrucząc: «Znowu jakichś diabłów *towarzyszy* przyniosło licha!» – wtedy wiedzieliśmy, że jesteśmy wśród prawdziwych, uczciwych, wolnych Sybiraków. Lecząc w inne wsie chłopcy obstępowali nas, obrzucali pytaniami: – «Skąd, towarzysze? Po co, towarzysze? Czy to wypadkiem nie towarzysz-komisarz?» – wtedy mieliśmy się na bacności i byliśmy bardzo oględni w słowach i czynach”.

W końcu przeprawili się przez rzekę Ałgiak (Ałag-Dżach), dopływ Małego Jeniseju, która stanowiła granicę pomiędzy Rosją a Krajem Urianchajskim, który przez stulecia znany był jako Księstwo Tuwa.

PRZEZ KRAJ ODWIECZNEGO POKOJU

Tubylcy Urianchaju – Sojoci, szczycą się tym, że są prawdziwymi buddystami i roznosicielami idei świętego Ramy i mądrego Sakkia Muni. Sojoci – odwieczni wrogowie wojny i przelewu krwi ludzkiej, przed wiekami woleli porzucić swoją ojczyznę, niż ustąpić żądaniom krwawego zdobywcy Dżyngis-chana, marzącego o utworzeniu sojockich konnych oddziałów. Sojoci prawie wymarli, lecz na rękach pozostałych nie ma śladów krwi ludzkiej [...].

Sojoci nie zmienili swoich obyczajów i wtedy nawet, gdy szalejący Rosjanie, niszczący swoją ojczyznę, wnieśli do Urianchaju zarazę mordu i grabieży. Uchodzili ze swymi stadami, dobytkiem i rodzinami na południe [...]. Spotykaliśmy rodziny sojockie, uciekające od partyzantów na koniach i wielbłądach, wiozące swoją majątność domową na „arbach” (dwukołowych ciężkich wozach), które ciągnęły bawoły lub jaki. Na pastwiskach górskich pasły się przepędzane stada i tabuny koni. W miejscach dotąd nieuczęszczanych znajdowaliśmy ślady sojockich biwaków. Szybko zdążaliśmy na wschód [...] pozostawiając w tyle powoli dążących Sojotów z ich stadami i „arbami”.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów



Sojota, 1897

Sojoci, których pacyfistycznymi poglądami zachwycał się Ossendowski, byli jednym z rdzennych ludów Kraju Urianchajskiego. Ich gospodarka opierała się na hodowli jaków, reniferów oraz owiec i koni. Byli ludem półkoczowniczym, zamieszkiwali w jurtach oraz czumach. Pierwotnie wyznawali szamanizm, a z czasem do ich kultury przeniknął buddyzm lamaistyczny, który zakładał całkowite wyrzeczenie się przemocy.

Pomimo pacyfizmu Sojotów, Kraj Urianchajski nie stanowił bezpiecznej przystani dla uciekinierów z Rosji. Nie było to bowiem państwo samodzielne. Zaledwie dziewięć lat wcześniej, w 1912 roku, rządzący nim książęta Tuwińscy wspierani przez Rosję, korzystając z obalenia chińskiej dynastii Qing, ogłosili niepodległość Tuwy. Już dwa lata później popadli w zależność od Rosji, stając się jej protektorem, funkcjonującym pod nazwą Kraj Urianchajski. Powiązanie z Rosją przyniosło tragiczne skutki, bo po wybuchu rewolucji tereny tej spokojnej krainy stały się areną walk pomiędzy oddziałami białych i czerwonych. Gdy Ossendowski i jego towarzysze przekraczali graniczną rzekę, historia tego tworu dobiegała końca. W 1921 roku ogłoszona została „niepodległość” Tuwińskiej Republiki Ludowej, quasi-państwa uznanego jedynie przez Rosję Sowiecką i Mongolię, które zlikwidowano w 1944 roku i włączono do Związku Sowieckiego jako Tuwiński Obwód Autonomiczny. Najbardziej obawiali się jednak ukraińskich osadników znad Małego Jeniseju, którzy sformowali własne oddziały i, korzystając z panującej anarchii, rabowali i mordowali zarówno rosyjskich uciekinierów, jak i chińskich kupców czy niemieckich jeńców wojennych.

Polaków, przemierzających Kraj Urianchajski jako sowieccy inżynierowie, postanowił eskortować oddział czerwonoarmistów. Długo przedzierał się konno przez bagna i grzęzawiska, a gdy znaleźli się w głębokim wąwozie, okazało się, że są śledzeni przez oddział miejscowych. Ossendowski, znający język mongolski i chiński, pojechał jako emisariusz. Szybko zorientował się, że otoczyli ich nie Sojoci, ale Tatarzy, wrogo nastawieni do Sowietów, którzy zmusili ich do opuszczenia stepów abakańskich. Przybyli na te tereny i zapłacili miejscowym plemionom daninę, za którą otrzymali prawo wypasu swoich stad na tych ziemiach do czasu upadku rządów komunistycznych w Rosji, a jako że pragnęli jak najszybciej wrócić w rodzinne strony, jak mogli, tak starali się przyczynić do upadku reżimu komunistycznego. Grzęzawisko stało się grobem dla bolszewików eskortujących Ossendowskiego i jego przyjaciela, którzy w dalszą drogę wyruszyli w towarzystwie tatarskiego oddziału.

W jednej z rosyjskich wsi, w jakiej się zatrzymali na popas, zostali otoczeni przez oddział czerwonoarmistów. Polacy i Tatarzy bronili się dobrze, ale musieliby ulec przeważającym siłom czerwonych,

gdyby z pomocą nie przyszli im miejscowi parobkowie. Strzelali na komendę, a ich strzały były niezwykle celne, niewielu bolszewikom udało się uciec z życiem. Okazało się, że za wieśniaków przebrani byli doświadczeni białogwardziści, którzy także starali się wydostać z czerwonej Rosji. Kilku z nich przyłączyło się do grupy Ossendowskiego, którego oddział liczył tym sposobem osiemnastu uzbrojonych jeźdźców. Była to już siła, która budziła respekt, ale też rzucała się w oczy i prowokowała do ataku.

Zagrożenie stanowiły oddziały ukraińskich partyzantów, które rabowały i mordowały wszystkich napotkanych na drodze. Spore ich grupy ruszyły śladem oddziału Ossendowskiego, licząc na zdobycie cennego uzbrojenia, a także kosztowności, jakich spodziewali się u ewakuujących się białogwardzistów. Nasi bohaterowie dotarli do Jeniseju, jego szerokość sięgała trzystu metrów, nie mogli się cofnąć, a łódź transportowa miała się pojawić dopiero następnego dnia. Nie mieli tyle czasu. Ossendowski zdecydował, że broń, naboje i cenne przedmioty przepłyną na drugi brzeg czołnem, a oni wraz z końmi przeprawią się wpraw przez lodową wodę. „Zaczęła się najstraszliwsza noc w moim życiu” – wspomniał. Podczas pokonywania rzeki jego koń tak osłabł, że podróżnik musiał zsunąć się z siodła i płynąć obok niego, unikając uderzenia przez kry czy bryły lodu. Ostatecznie wszystkim udało się dotrzeć do brzegu. Mimo przemoczonych ubrań i piętnastostopniowego mrozu, natychmiast ruszyli w dalszą drogę, bo perspektywa choroby była niczym wobec obawy przed spotkaniem ze ścigającymi ich ukraińskimi partyzantami.

Gdy już wydawało się, że najgorsze mają za sobą, dowiedzieli się, że przejście graniczne pomiędzy Urianchajem a Mongolią, do którego zmierzali, zostało obsadzone przez silny oddział bolszewicki. Do granicznej zasadzki było około sto kilometrów, alternatywna droga liczyła czterysta pięćdziesiąt kilometrów i nie było pewności, czy ich konie wytrzymają taką trasę i czy tam także nie napotkają Rosjan. Ossendowski zdecydował, że pojadą pierwotnie wytyczoną trasą. Doświadczeni zwiadowcy z ich oddziału ustalili, że bolszewicy przygotowali dwie zasadzki po dwóch stronach zbocza. Nocą uciekinierzy podkradli się do wartowników, którzy nie spodziewali się gości i drzemali przy ognisku. Chwilę później, nie wydając nawet jęku, zasnęli snem wiecznym. Oddział Ossendowskiego przeszedł obok pogrążonego we śnie obozowiska, żaden z ich koni nawet nie parsknął, jakby rozumiały powagę sytuacji.



Sojocki szaman, 1900

PRZEZ KRAJ SZATANA

Przy zbiegu rzek Czyngistugoł i Bogdyngoł, obmywających fortyfikacje twierdzy chińskiej, stepowy trakt obrastał drewnianymi budami otoczonymi rozwalającymi się parkanami, lepiankami i bezwładnie rozrzuconymi kramami. Ubitą jak klepisko „ulicę” pokrywały gnijące odpadki, ludzkie ekskrementy, zdechłe koty i szczury. Na stojących wzdłuż niej słupach zawieszono głowy przestępców skazanych z wyroku chińskiego namiestnika. Ciała wrzucono do pobliskiego wąwozu, podobnie jak zwłoki bardziej szanowanych obywateli, obyczaj lamajski zabraniał bowiem kopania ziemi. Uważano ją za świętą. Funkcję grabarzy pełniły watahy psów-ludojadów.

Miasto tętniło jednak życiem. Firmy rosyjskie, chińskie i amerykańskie dokonywały hurtowych operacji. Za bezcen skupowano od tubylców konie, bydło, barany, wełnę, skóry i sierść wielbłądzą.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów



Herb
Ungern-Sternbergów

Kraj Szatana – tak Ossendowski określił Mongolię. Nie wyjaśnił, dlaczego użył takiego właśnie określenia, ale powodów ku temu było wiele.

Pierwszym była historia. Mongolia była przecież krajem, z którego wywodził się Temudżyn, zwany Szarym Wilkiem, którego świat poznał pod imieniem Czyngis-chana. Pojawienie się jego wojowników, na ich krępych konikach, było dla mieszkańców Mongolii, Syberii, Chin, Indii, Uralu, Rosji, a także Węgier i Polski nie mniej przerażające niż wizja otwarcia się piekielnych otchłani i wyjścia z nich sług Lucyfera. Przybycie najeźdźców, którzy wyznawali zupełnie obcą i nieznaną religię, było jak najazd szatańskich hufców.

Powody dawała także teraźniejszość. Mongolia, którą musiał przemierzyć Ossendowski, by wyrwać się ku wolności, była bowiem krajem, w którym władzę sprawował generał Roman von Ungern-Sternberg, dowódca Azjatyckiej Dywizji Konnej, która była armią potępieńców. Byli w niej Chińczycy, Mongołowie, Buriaci, Rosjanie, Kozacy, Tatarzy, Kałmucy i inni wojownicy z piekła rodem, którzy cudem wyrwali się śmierci z rąk bolszewików, lecz wiedzieli, że i tak ich wkrótce dopadnie. Ich przywódca opętany był wizją zbudowania potężnego imperium, które łączyłoby cechy państwa mongolskiego i monarchii carskiej. Był postacią demoniczną, prawdziwym wcieleniem Zła, życie ludzkie nie miało dla niego żadnej wartości, sterroryzował cały kraj, który zamienił w piekło na ziemi.

Mongolia była także krajem, w którym – według legend – znajdowało się wejście do Agharty, tajemniczego, podziemnego królestwa. Tutaj więc piekielne demony najchętniej hulały, a Szatan miał najliczniejszych zwolenników. Potwierdzeniem tego było rozpowszechnienie wśród Mongołów na niespotykaną w żadnym innym miejscu skalę szamanizmu, zabobonów i przesądów, popularność przepowiedni, tajemnych rytuałów i okultystycznych praktyk. Mongołowie byli tak przesiąknięci mistycznymi wierzeniami i magicznymi obrzędami, że nie byli w stanie przyjąć chrześcijaństwa, Szatan nie pozwalał na to swoim poddanym.

Opisywana przez Ossendowskiego Mongolia w niczym nie przypomina normalnego państwa. Rząd nie sprawował w niej władzy, wojsko nie strzegło granic, a policja nie pilnowała porządku. Było to państwo pogrążone w kompletnym chaosie, gdzie wszyscy walczyli ze wszystkimi. Tragiczny rozdział dziejów tego państwa rozpoczął się na początku XIX wieku, gdy pekińscy cesarze zintensyfikowali kolonizację jej terenów, które uważali za chińską strefę wpływów i określali jako Mongolię Zewnętrzną. Rozwinęła się ona na tyle, że na początku XX wieku Chiny zaczęły przejmować kontrolę nad tym obszarem. Spowodowało to niepokój miejscowych książąt stepowych, którzy zwrócili się o pomoc do Rosji, swego drugiego potężnego sąsiada. Gdy w 1911 roku w Chinach wybuchła rewolucja Xinhai, przy rosyjskim wsparciu zrzucili chińską dominację. W Mongolii utworzony został teokratyczny rząd, na którego czele stał Bogda Chan, będący wcieleniem Buddy. Trzy lata później, gdy wybuchła I wojna światowa, Rosja, chcąc zabezpieczyć się przed chińskim atakiem i wojną na dwa fronty, zawarła z Chinami traktat, na mocy którego uznała ich władzę nad Mongolią. Chińczycy zaś zagwarantowali Rosji autonomię i funkcjonowanie dotychczasowych władz; ten status quo nie potrwał jednak długo.

Sytuacja zmieniła się, gdy rewolucja październikowa obaliła rządy carskie, a armia bolszewicka zaczęła zalewać Syberię. Chiny uznały, że traktat zawarty z nieistniejącym już imperium carskim ich nie wiąże i w grudniu 1919 roku wkroczyły do Mongolii, obalając rząd Bogda Chana. Wkrótce sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta, bo do Mongolii zaczęły wycofywać się oddziały z rozbitych białych armii, a także tysiące uchodźców uciekających przed bolszewikami. Ci także nie próżnowali, granicę Mongolii przekraczały ich oddziały ścigające białych, przede wszystkim jednak rozbudowywali struktury swoich popleczników na terenie tego państwa, przygotowu-

jąc się do inwazji. Chińscy gubernatorzy mongolskich prowincji zawierali poufne porozumienia o nieagresji z bolszewikami, sami zaś organizowali wyprawy karne przeciwko lokalnym społecznościom i pod pretekstem windykowania zaległych podatków gwałcili kobiety, mordowali mężczyzn i palili całe osady. Nie mniejsze spustoszenia czynili chińscy hunhuzi.

Wówczas właśnie pojawił się w Mongolii, pochodzący z Inflant, niemiecki baron, generał armii carskiej, Roman von Ungern-Sternberg. Stanął na czele wojsk mongolskich i rozbudował je o oddziały tworzone przez uciekających z Syberii niedobitków z białych armii. Krwawy Baron wyznawał buddyzm i głosił idee stworzenia państwa panmongolskiego. Zdaniem Ossendowskiego jego zwolennicy niewiele się różnili od komunistycznych drabów i hunhuzów, a ich działania charakteryzowało podobne bezprawie, zamiłowanie do łupiestwa, gwałtu i mordu, wstręt do posłuchu i karności, a przede wszystkim brak myśli przewodniej, która pozwoliłaby doprowadzić rozpoczęte dzieło do końca.

Tak jak Mongolia nie była normalnym państwem, tak Ulianstaj, do którego dotarł Ossendowski, nie przypominało europejskiego miasta. Pojawienie się w nim Ossendowskiego zostało odnotowane przez sowieckiego szpiega, który charakteryzował go jako doświadczonego polityka i zatwardziałego wroga sowieckiej Rosji, potrafiącego doskonale manipulować otoczeniem. Pisał, że wokół niego zgromadzili się polscy „bieżeńcy” – ludzie uciekający z sowieckiej Rosji, a także wojskowi z rozbitych oddziałów białych.

Do Ulianstaju docierały przerażające doniesienia. Opuszczenie miasta i wyruszenie w jakimkolwiek kierunku wydawało się misją samobójczą. Ossendowski nie potrafił być jednak bezczynny, zaproponował lokalnym władzom chińskim i mongolskim współpracę wywiadowczą. Z doświadczonych żołnierzy stworzył oddział patrolowy, któremu lokalni władarze zapewnili konie, wielbłądy, namioty i przewodników. Wywiadowcy patrolowali okolicę, pozyskiwali informacje, a przede wszystkim odnajdowali, starających się wydostać z pogrążonych w wojnie domowej Rosji i Mongolii uciekinierów wśród których było wielu czerwonych agentów. Wszystkich napotkanych zabierano do miasta, uciekinierzy znajdowali w nim ocalenie, bolszewicy śmierć.

Ossendowski osobiście nie uczestniczył w tych wyprawach patrolowych. Pozostając w mieście, musiał jednak z czegoś się utrzymywać. Jak za czasów studenckich zaczął udzielać korepetycji. Jego uczniami byli koloniści oraz kupcy chińscy, których uczył

języka angielskiego i francuskiego. Jako że nie dysponował materiałami edukacyjnymi, sam opracował słownik chińsko-angielski zawierający około pięciu tysięcy słów. Przygotował także podręczny słowniczek dla Rosjan handlujących z Mongołami i Sojotami, zawierający najważniejsze zwroty w ich językach. Jego towarzysz, Karol Wojciechowicz, przepisał te słowniki w dwudziestu egzemplarzach i sprzedali je szybko po 25 dolarów za sztukę.

W Uliastaju czuli się w miarę bezpieczni, ale Ossendowski wiedział, że to sytuacja tymczasowa, bo wkrótce dotrą tu bolszewicy, a wówczas nie będzie już dla nich ratunku. Gdy nadeszła wiadomość, że Krwawy Baron zdobył Urgę, stolicę Mongolii, a na tronie osadził miejscowego dalajlamę zwanego Żywym Buddą, Ossendowski uznał, że czas opuścić miasto.



Żołnierze buriacko-mongolskiego pułku Azjatyckiej Dywizji Konnej, 1920

FORTELE PANA FERDYNANDA

Henryk Sienkiewicz, przeciwko któremu ten i ów rozpoczynał niedawno niegodny napad, był i pozostanie największym budzicielem naszego narodu w dobie upadku ducha, klęski, bierności, zwątpienia i niewiary. Trylogia – toć szkoła charakterów, to – namiętny, władny krzyż sur sum corda, to wiara niezłomna w moc zbiorowych sił, to – hasło miłości i wierności dla ojczyzny, to – zastrzyk żywej krwi męskiej, co kryje w sobie siew ofiarności, bohaterstwa i niezbędnej w okresach „Potopów” nienawiści, gdyż sercem miękkim i litościwym któż przekona zwierzę ludzkie – drapieżne i podstępne, to wreszcie – cement najtrwalszy do połączenia w jedną bryłę poważnionych

odłamów społeczeństwa – bądź nikczemnych, bądź nierozumnych i ślepych, bądź zbrodniczo zarozumiałych i egoistycznych. Takie właśnie skarby dał Polsce wielki mistrz i wielki, gorący patriota – pisarz, myśliciel, znawca dusz i serc ludzkich, jeden z największych Polaków. Niechże sława imienia jego żyje wiecznie we krwi i myślach wszystkich pokoleń polskich.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Księga pamiątkowa ku czci Henryka Sienkiewicza

Kiedy pierwszy raz czytałem o niezwykłych przygodach bohaterów książki *Przez kraj ludzi, bogów i zwierząt* często odnosiłem wrażenie, że odnajduję w tej opowieści znane mi dobrze motywy i znajome postaci. Grupa uciekinierów z rezolutnym przywódcą przemierzała bezkresne przestrzenie azjatyckich puszczy i stepów. Mijali miejscowości splądrowane przez Kozaków, Tatarów, Rosjan, a czasem przez zwyczajnych bandytów, korzystających z upadku władzy państwowej.

Dopiero przy kolejnej lekturze rozpoznałem tę opowieść. Obrazy zrewoltowanej Azji bardzo przypominały opisy Ukrainy, podpalonej przez powstanie Chmielnickiego, opisywanej przez Henryka Sienkiewicza w *Ogniem i mieczem*. Tam także roilo się od tatarskich hord i kozackich band. Ossendowski prowadzący grupę przyjaciół przez zrewoltowaną Syberię i Mongolię był jak Zagłoba, który z Wołodyjowskim, Rzędzianem i Heleną przemierzali Dzikie Pola, rozległe puszcze, głębokie jary oraz rozlewiska wielkich rzek. Kraj, który przez lata uważali za własny, za bezpieczny, stał się nagle bardzo groźny, a na traktach roilo się od ludzi, dla których życie ludzkie nie miało żadnej wartości.

Ossendowski był nie tylko Zagłobą anno domini 1920, ale także pisarzem opowiadającym o swoich przygodach. Jego podkomendni wielokrotnie wydostawali się z opresji dzięki jego sprytowi, bezczelności i inteligencji. Tak było choćby podczas potyczki z oddziałem chińskich bandytów, którzy napadli ich na drodze, przed Uliastajem, miastem w Mongolii, do którego jego grupa zmierzała. Dwóch towarzyszy zginęło, broniąc się w zasadzce, i gdy wydawało się, że uchodźcy zostaną wystrzelani jak kaczki, bo nie mieli nawet dokąd uciekać, strzały przeciwników nagle umilkły, a nad ich głowami pojawiła się biała flaga, symbol gotowości do zawieszenia walki. Okazało się, że wódz bandytów został ciężko postrzelony.

Pan Ferdynand dostrzegł w tym szansę na wyjście z opresji. Zabrał torbę z lekami oraz przyrządami medycznymi i – mimo że sam był ranny – wyruszył do wrogiego obozowiska. Jak potrafił najlepiej, zabezpieczył ranę wodza, przemył ją jodyną, pozostawił materiały opatrunkowe i leki przeciwbólowe, po czym zwrócił się, za pośrednictwem tłumacza Kałmuka, do rozbójników z następującą mową: „Rana niebezpieczna, lecz dałem mocne

i cudowne leki waszemu wodzowi. Wiem, że będzie zdrów i wkrótce wsiądzie na konia. Lecz musicie spełnić jeden warunek... Słuchajcie! Złe duchy śmierci są przy chorym i natychmiast uśmiercą go, jeśli po przyjęciu moich leków rozlegnie się choć jeden wystrzał. Nie wolno nawet nabijać broni! Pamiętajcie o tym! Jedenaście dni i nocy nie wolno wam będzie opuścić tego miejsca i włożyć naboju do lufy. Inaczej duchy śmierci zemścą się na wodzu". Po tych słowach kazał Kałmukowi wyjąć naboje z jego karabinu, a sam wysypał kule z magazynka swojego pistoletu, na znak, że sprawa jest poważna, a on naprawdę chce pomóc wodzowi. Tak jak przypuszczał, bezwzględni bandyci okazali się bardzo zabobonni i natychmiast dobrowolnie się rozbroili, z przerażeniem patrząc na Ferdynanda, który w ich oczach urósł do rangi potężnego szamana potrafiącego oszukać duchy śmierci.

Podczas wędrówki przez Kraj Urianchajski Ossendowski zyskał tytuł Talaj-Lamy, czyli Wielkiego Lekarza. Zasłużył sobie na niego uleczaąc żonę oraz syna lokalnego wodza. Syn sojockiego naczelnika miał krwotok z nosa. Ku ogromnemu zdumieniu zebranej wokół niego rodziny biały podróżnik zatamował wylew, wypowiadając kilka magicznych formuł, a przede wszystkim uciskając odpowiednie naczynie krwionośne na szyi chłopca, co natychmiast powstrzymało krwawienie. Jeszcze większe wrażenie na tubylcach wywarło uleczenie niewidomej żony wodza, która w rzeczywistości cierpiała na zapalenie spojówek spowodowane brudem oraz dymem unoszącym się stale w książęcej jurcie. Ossendowski uleczył „niewidomą”, przemywając jej oczy wodą z mydłem i kwasem bornym, a następnie wpuszczając jej do oczu kilka kropli cynkowych. Efekt był natychmiastowy. Oszołomiony wódz nie tylko obdarzył wędrowca tytułem Talaj-Lamy, ale podarował mu pięć koni, dziesięć baranów oraz worek mąki, z której natychmiast upieczono suchary na dalszą drogę.

Bezczelność graniczącą z brawurą okazał Ossendowski podczas spotkania z oddziałem podkomendnych Krwawego Barona. Kiedy ich dowódca kazał mu oddać broń, Polak odpowiedział mu długą tyradą o swej męczeńskiej włóczędze, która z Krasnojarska doprowadziła go do Mongolii, a nigdy nikomu broni nie oddał. Rynsztunek ocalał go przed oddziałami bolszewików oraz bandami hunhuzów grasującymi na pograniczu, a skoro im nie uległ, to tym bardziej nie ulegnie tym, których uważa za swoich sojuszników. Oświadczył, że oddanie broni jest czynem niegodnym rycerza, a honor jest dla niego wartością najważniejszą, po czym cisnął swój pistolet w nurt rzeki. Gestem tym zyskał sobie uznanie i szacunek dowódcy oddziału, który przy pożegnaniu przekazał mu swój cenny pistolet ze srebrną rękojeścią.

Ossendowskiemu zarzucano liczne „nieścisłości” dotyczące trasy jego wielkiej ucieczki oraz „zapożyczanie” obszernych fragmentów innych opracowań. Pisarz bronił się przed tymi zarzutami na różne sposoby, ale czy najlepszym wyjaśnieniem nie było właśnie powołanie się na Sienkiewicza? Opowieść pana Ferdynanda o jego wyprawie przez zbuntowaną Azję nie była przecież relacją dokumentalną ani reportażem, ale rodzajem sienkiewiczowskiej opowieści, rozgrywającej się w rzeczywistych przestrzeniach, z występującymi w niej prawdziwymi bohaterami. Jej istotą było jednak tak naprawdę pokrzepienie serc polskich i pokazanie czytelnikom, że nawet z najgorszych opresji można wyjść obronną ręką, gdy tylko zachowuje się zdrowy rozsądek, korzysta z nadarzających się okazji i nie popada w apatię i panikę.

Sienkiewiczowi wytykano, że w swoich opowieściach dokonywał znacznych uproszczeń, idealizował Polaków, a demonizował i lekceważył ich wrogów (Kozaków, Szwedów, Tatarów, Turków), że popadał w patriotyczny patos, tworząc portrety bohaterów bez skazy (Skrzetuski, Wołodyjowski, Kettling), a w jego powieściach brakowało pogłębionej refleksji historycznej. Zarzutów tych nie można już jednak stawiać Ossendowskiemu, który przeprowadza głęboką analizę panujących w centralnej Azji stosunków politycznych, społecznych i religijnych, które doprowadziły do horroru rewolucji i wojny domowej. W jego opowieści nie ma bohaterów czystych i idealnych, daleki jest też od patriotycznej wzniosłości, krytycznie oceniając także działania tych, którzy są mu politycznie bliscy.

A że opowieść swoją snuje z perspektywy narratora podobnego sienkiewiczowskiemu Zagłobie, o którym wszyscy wiedzą, że trochę koloryzuje, trochę jest mitomanem, przedstawia się zawsze w nieco lepszym świetle niżby na to faktycznie zasługiwał, to przecież nie jest jakiś szczególny grzech. Literaci często tworzą bohaterów jako swoje alter ego i wyposażają ich w cechy superbohaterów. Ossendowski nie ukrywał się za maskami, ale pisał o sobie, a jeśli czasem trochę poprawiał rzeczywistość, nie było w tym nic specjalnie nagannego, zwłaszcza że jego książka nie rościła sobie pretensji do reportażu, a bliższa była szlacheckiej gawędzie.



Peter Fenelon Collier & Son
Banda hunhuzów, 1904



Główna ulica mongolskiego
miasta Uliastaj

ŻYWY BUDDA

Dużo wiedziałem o Bogdo-Chanie, czyli o „Żywym Buddzie“, zanim ujrzałem go w Urdze. Nieraz słyszałem opowieści o jego pociągu do alkoholu, co doprowadziło go nawet do utraty wzroku; o jego dążeniu do zewnętrznej kultury europejskiej; o jego żonie – „dahyni“, dotrzymującej mu towarzystwa w pijaństwie i w przyjmowaniu posłów cudzoziemskich. Opowiadano mi, że w pałacu stoją klatki z małpami i zamorskimi ptakami, i że w parku przechadzają się słonie. Bogdo jest posiadaczem wspaniałego samochodu, światła elektrycznego, telefonu, gramofonu, fortepianu automatycznego i innych wynalazków europejskich, jak na przykład aparatu, masującego twarz, separatora do mleka [...].

Panujący obecnie „Żywy Budda” jest osobistością dwoistą, jak wszystko w lamaizmie. Rozumny, przenikliwy, energiczny Bogdo jednocześnie oddaje się nałogowi pijaństwa, który doprowadził go do ślepoty. Wtedy to lamowie wpadli w rozpacz. Jedni wypowiadali się za tym, aby ślepcę otruć, a tron jego oddać innemu przeistoczonemu bóstwu; inni zaś, uwzględniając wielkie zasługi Bogdo dla lamaizmu i Mongolii, postanowili przebłagać bogów wzniesieniem wspaniałej świątyni Ariabolo – „grodu lamów“ – z olbrzymim posągiem złoconego Buddy.

Nie pomogło to wprawdzie niewidomemu Bogdo w odzyskaniu wzroku, lecz za to owa rozbieżność zdań wśród kleru i znaczna zwłoka czasu pozwoliły mu stopniowo wyprawić do Nirwany zbyt radykalnych lamów.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów

Jednym z najbardziej niezwykłych doświadczeń profesora Ossendowskiego podczas jego pobytu było spotkanie z Żywym Buddą. Zdarzenie to bywa często kwestionowane, ale krytykom trudno podważyć jego relację, bo niewielu ludziom udało się spotkać z Bogda Chanem, a opis pozostawiony przez podróżnika jest jednym z bardzo nielicznych. Spotkanie to Ossendowski zawdzięczał Sternbergowi, który zapytał go, czy nie chce mu towarzyszyć podczas wizyty w pałacu Żywego Buddy. Pisarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać takiej propozycji.

W pałacu Żywego Buddy Ossendowski był świadkiem modlitwy Bogda Chana w prywatnej kaplicy. Nie była to zwyczajna modlitwa. Najpierw słyszał bowiem głos Żywego Buddy, który zadawał pytania Buddzie przebywającemu w zaświatach. Po chwili pojawił się drugi głos, wywiązała się rozmowa, jakby ziemski Budda rozmawiał z Buddą z zaświatów. Po zakończeniu tej osobliwej „modlitwy” Bogda Chan, opierając się na lasce, przyszedł do swego gabinetu i podyktował lamie-skrzybie swoje świadectwo, które było pełne alegorii i metafor.

Ossendowskiego zdumiała kolekcja niezwykłych akcesoriów liturgicznych, jakie zgromadzone były w gabinecie Żywego Buddy, które pomagały lamom budować nastrój grozy i strachu wśród wyznawców. Były tam maski przedstawiające wykrzywione twarze, inne otoczone były wieńcem ludzkich czaszek, były też maski z trzecim okiem i rogate maski z wyszczerzonymi zębami czy ptasie potwory z węzami w dziobie.

Bogda Chan był pochodził z Tybetu, gdzie „odnaleziony został” jako ósme wcielenie najwyższego mongolskiego dostojnika duchowego. Na tron wprowadzony został w 1875 roku jako pięcioletni chłopiec. Wychowany w złotej klatce, otoczony ludźmi, którzy oddawali mu boską cześć, nie miał motywacji do rozwijania swoich kompetencji, tak teologicznych, jak i politycznych. W gruncie rzeczy nie interesowały go zarówno zagadnienia religijne, administracyjne, polityczne ani gospodarcze, które pozostawiał swoim doradcom, sam zaś ograniczał się do czerpania przyjemności z życia.

O ile w kwestiach religii i polityki mongolskiej ósmy Bogda Chan nie zrobił nic wartego uwagi, o tyle w kwestiach związanych z reformowaniem życia codziennego okazał się niezwykłym progresistą. Był pierwszym Żywym Buddą, który odrzucił celibat i się ożenił. Jego żona – Tsendin Dondogdulam – nazwana została dumnym przydomkiem Ekch Dagina (Matka Dakini), a żeby tak jawne sprzeniewierzenie się zasadom lamaizmu nie oburzało wyznawców, sprokurowano specjalną przepowiednię, która głosiła, że ze związku Bogda Chana i Matki Dakini urodzi się kolejne wcielenie Buddy. Niestety, małżeństwo pozostało bezdzietne. Komuniści wykorzystali to jako pretekst do zakazu poszukiwania po śmierci Bogda Chana kolejnego wcielenia Żywego Buddy.

Gdyby w ówczesnej Mongolii istniały plotkarskie gazety czy media społecznościowe, to Bogda Chan wciąż gościłby na ich czołówkach. Najwyższy dostojnik religijny i przywódca wszystkich Mongołów, zamiast na modlitwach, postach czy umartwianiu, a tym bardziej na zarządzaniu państwem, koncentrował się bowiem na zabawach oraz rozrywkach, typowych dla bananowej młodzieży. W alkoholowych libacjach dzielnie asystowała mu żona, która jak on była wielbicielek szampana i z przyjemnością oddawała się nałogowi palenia tytoniu.

Skandaliczne prowadzenie oraz brak jakichkolwiek sukcesów w zakresie religii, polityki, a tym bardziej gospodarki, nie wpłynął na obniżenie autorytetu Żywego Buddy wśród Mongołów. Kiedy w 1911 roku upadła dynastia mandżurska i władza cesarska w Chinach, w grudniu 1911 roku ogłoszona została niepodległość Mongolii, a Bogda Chanem, czyli najważniejszym przywódcą, nawiązując do postaci legendarnego Czyngis-chana i jego potomków, którzy władali nie tylko swoim krajem, ale połową Azji i Europy.

Status męczennika za mongolską sprawę zyskał, gdy w 1919 roku armia chińska ponownie wkroczyła do Mongolii, a Bogda Chan został pozbawiony władzy i skazany na areszt domowy. Uwolniony została dwa lata później, gdy wiosną 1921 roku Urga została zdobyta przez Azjatycką Dywizję Konną barona Romana von Ungern-Sternberga, którego Bogda Chan ogłosił Wielkim Chanem Mongolii. Niewidomy Bogda Chan osadzony został wówczas na mongolskim tronie, stając się nie tylko przywódcą religijnym, ale także głową państwa, w którym wprowadzano ustrój teokratyczny wzorowany na Tybecie. Wojska Ungerna zostały jednak rozbite przez wielokrotnie silniejsze siły bolszewickie, a Mongolia padła łupem sowietów. Bogda Chan nie został jednak zdetronizowany, ale nakłoniony do współpracy z komunistami, czego wyrazem było powołanie premiera pochodzącego z Mongolskiej Partii Ludowej.

Do końca życia – 20 maja 1924 roku – Bogda Chan był przywódcą Mongolii, w której faktyczną władzę sprawował komunistyczny rząd. Po jego śmierci komuniści zabronili poszukiwania kolejnego wcielenia mongolskiego Buddy i objęli pełnię władzy, a w latach trzydziestych rozpoczęli prześladowania buddyjskiego kleru i jego wyznawców. W komunistycznej Mongolii funkcjonował tylko jeden klasztor buddyjski.



Mardzan Szaraw
Bogda Chan, 1924



Mardzan Szaraw
Tsendiin Dondogdulam, 1924

SPOWIEDŹ KRWAWEGO BARONA

Tutejsza moja praca zbliża się ku końcowi. Za dziewięć dni rozpoczynam wojnę z bolszewikami i mam zamiar wtargnąć w granice Syberii. Chcę bardzo serdecznie prosić pana o zamieszkanie u mnie w ciągu tych dziewięciu dni. Nie jest to zbyt długi termin dla pana. Mnie zaś wyświadczy pan tym ogromną przysługę i przyjemność. [...] Chciałbym, żeby pan wiedział o mnie wszystko, poznał moje myśli, plany i zamiary, żeby mógł pan pomówić ze mną, nie jak z „krwawym i szalonym baronem”, jak nazywają mnie moi wrogowie, i nie z „dziadkiem”, jak szepcą o mnie moi żołnierze, lecz jak z człowiekiem, który dużo myślał, a jeszcze więcej cierpiał...

A teraz ja zacznę moją spowiedź, żeby pan wiedział z kim ma do czynienia [...] Kiedyś w swoich pamiętnikach opisze pan może tę podróż przez Mongolię i pobyt u „szalonego Ungerna”...

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, bogów i zwierząt



Roman von Ungern-Sternberg

Składana na łożu śmierci spowiedź Jacka Soplicy jest kulminacyjnym momentem naszej epopei narodowej – *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza. Ferdynand Ossendowski użył podobnego zabiegu literackiego i w swej książce oddał głos bezpośrednio Krwawemu Baronowi, by sam opowiedział swoje dzieje. Swoje wyznanie składa pisarzowi tuż przed wyruszeniem w kierunku Syberii, w swoją ostatnią wyprawę przeciwko bolszewikom.

Tak Soplica, jak i Ungern podpisać mógłby się pod słowami, jakie Ossendowski wkłada w usta Ungerna: „Imię moje jest otoczone taką nienawiścią i strachem, że nikt nie wie naprawdę, kim jestem, gdyż historię splątano z mitem, rzeczywistość z fantazją, prawdę z fałszem”. Krwawy Baron to postać, której już za życia towarzyszyła legenda, a właściwie legendy, bo miał zarówno swoją białą, jak i czarną historię. Życie jego pełne było sekretów, a jego mistyczna religijność, wiara w siły nadprzyrodzone oraz wydarzenia, jakie nie miały prawa się wydarzyć, budowały jego mit jako ostatniego mściciela carskiego imperium i następcy Czyngis-chana, który dążył do odbudowania potęgi Wielkiej Mongolii.

Książka Ossendowskiego nie przyczyniła się do rozwiania tajemnic związanych z generałem Romanem von Ungern-Sternbergiem. Przeciwnie, sprawiła, że Krwawy Baron, jedyny z białych watażków walczących z bolszewikami, stał się legendą. Opo- wieści o ukrytych przez niego potężnych artefaktach, a przede wszystkim bezcennym skarbie fascynowała i fascynuje ludzi na całym świecie. Mit Krwawego Barona wsparty został nie tylko książką Ossendowskiego, ale także jego życiem, a przede wszystkim okolicznościami śmierci, które przepowiedział mu mongolski wróż: na tamten świat przywołać miał go Ungern. I przywołał.

Roman Maksymilian von Ungern-Sternberg urodził się 10 stycznia 1886 roku w austriackim Gra- zu. Jego ojciec, Theodor, był bałtyckim Niemcem, a wywodził się z jednej z najstarszych europejskich rodzin arystokratycznych, odnotowanej w *Almana- chu Gotajskim* zwanym *Biblią arystokracji*. Ich drze- wo genealogiczne było imponujące, rozpoczynało się od księcia Rusi Kijowskiej Jarosława Ośmiomy- sła, spokrewnieni byli z najstarszymi rodami ary- stokratycznymi, a nawet królewskimi i cesarskimi: Plantagenetami, Habsburgami czy Romanowami. Mówiono, że Ungernowie przywiązywali tak wielką wagę do swego pochodzenia, że gdyby doszło do po- topu, odmówiliby wejścia na Arkę Noego, obawiając się nadmiernego popospolitowania z plebsem. Wśród przodków Krwawego Generała odnaleźć można ry- cerzy i krzyżowców, a także bałtyckich piratów, ale jemu najbliżej pewnie było do legendarnego Attyli „Bicza Bożego”, którego krew także płynęła w jego żyłach. Baron uważał się za Rosjanina i z dumą pod- kreślał, że 72 Ungernów poniosło śmierć w obronie carskiej Rosji.

Dla człowieka takiego jak on rewolucja sym- bolizowała najgorsze zło i była zaprzeczeniem natu- ralnego porządku świata. Stanął przeciwko przewro- towi bolszewickiemu i podjął działania zmierzające do przywrócenia starego porządku. Historycy wspo- minający, że sprzymierzył się w tej misji z białym generałem Grigorijem Siemionowem, zapominają dodać, że gdy sojusz ten zawierali, ich armie liczyły po trzech żołnierzy. Ambitni generałowie postano- wili więc zdobyć i rozbroić zrewoltowany rosyjski garnizon w mandżurskim Manzhouli. Ungern wje- chał do miasta z małą grupą żołnierzy pociągiem sprawiającym wrażenie wypełnionego wojskiem, za- straszył dowódcę milicji chroniącej kolej i tak w kil- ka osób rozbroili garnizon liczący półtora tysiąca żołnierzy. Kilkuset z nich natychmiast zaciągnęło się do ich armii.

W sylwestra 1917 roku Ungern, na czele stra- ży przedniej wojsk Siemionowa, wkroczył na teren Rosji, rozpoczynając walkę z bolszewikami. Dzięki sprytowi i brawurze niewielkimi siłami zdobywali kolejne posterunki i garnizony. Ich Azjatycka Dywi- zja Konna się rozrastała, rekrutowali podkomend-

nych wśród Rosjan, Kozaków, Mongołów, Chińczy- ków, Buriatów i przedstawicieli wszelkich innych nacji, którzy chcieli walczyć przeciwko bolszewikom.

Wojna sprawiła, że w Ungernie zaszła prze- miana duchowa. Przeszedł na buddyzm i stworzył własną sektę – Zakon Wojskowych Buddystów. Jego członkowie mogli pić alkohol i przyjmować środki odurzające, pod warunkiem, że wykonywali jego roz- kazy i skutecznie walczyli. Sam baron obwieszony był mnóstwem amuletów, które miały go chronić i zapewniać powodzenie. Był przekonany, że patrząc w oczy człowieka, potrafi przejrzeć jego duszę i od- czytać myśli. Szczególną nienawiścią darzył Żydów, których uważał za sprężynę napędzającą komunizm, żydowscy komisarze ginęli w jego kazamatach po brutalnych torturach.

Gdy bolszewicy przerzucili do Syberii znacz- ne oddziały Czerwonej Gwardii, Siemionow i Un- gern musieli wycofać się ze zdobytych terenów. Wkrótce co prawda powrócili na Zabajkale, lecz z powodu zdrady jednego z oficerów ich rajd za- kończył się totalną klęską w bitwie pod Manzhouli, gdzie doszło do rzezi ich oddziałów. Niedobitki ewa- kuowały się do Mandżurii.

W sierpniu 1919 roku, odbudowana, dziesię- ciotysięczna Azjatycka Dywizja Konna, wspierana przez Japonię, powróciła na Syberię, z której szybko wyparła bolszewików. Wojska japońskie obsadziły linie i posterunki kolejowe, Siemionow ze swojej kwatery w Czycie władał Zabajkalem, a Ungern, mianowany generał-majorem, został komendan- tem Daurii. Zyskała ona wkrótce miano „szubie- nicy Syberii”, bo przesłuchania tysięcy tych, którzy wspierali rewolucję, zamykał krótkim „kończyć!”, co oznaczało karę śmierci, a ta wykonywana była natychmiast.

Jesienią 1920 roku wojska białych zostały roz- bite. Niedobitków z armii generała Wrangla ewa- kuowano z Krymu do Konstantynopola; żołnierze i oficerowie z armii admirała Kołczaka starali się wydostać z Syberii; a generał Siemionow utracił Zabajkale. Azjatycka Dywizja Konna Sternberga wycofała się do Mongolii, gdzie w lutym 1921 roku zdobyła jej stolicę, Urgę, w której stacjonował silny garnizon chiński. Sternberg dokonał tego niewielki- mi siłami. Nakazał, aby nocą każdy z półtora tysiąca jego żołnierzy rozpalił po trzy ogniska na wzgórzach rozciągających się wokół miasta, co dało wrażenie ogromu przybyłej armii, której żołnierze grzeją się przy ogniu. Niewielkie siły zabezpieczyły drogę, którą mogła przybyć ewentualna odsiecz, a oddział konnych Tybetańczyków, wysmarowanych masłem i sadzą tak, by przypominali mongolskie demony, odbił z chińskiej niewoli obalonego Bogda Chana. Chińscy dowódcy oraz władze umknęli z miasta zarekwirowanymi samochodami, pozostawiając żołnierzy i mieszkańców na pastwę najeźdźców. Plądrowanie Urgi trwało trzy dni.

W księżycowy Nowy Rok, 22 lutego 1921 roku, na mongolski tron ponownie wprowadzony został Bogda Chan. Ukoronowany władca rzeczywistą wła- dzę przekazał von Ungern-Sternbergowi, którego mianował Wielkim Chanem. Baron okazał się sprawnym zarządcą. Nakazał rozpocząć od oczyszczenia i dezynfekcji ulic Urgi, tonących w błocie, śmieciach, odpadach i ekskrementach oraz wprowadził suro- we przepisy sanitarne. Oświecił miasto lampami ulicznymi, uruchomił kopalnię węgla kamiennego oraz fabrykę tekstyliów. Kupcom chińskim pozwolił powrócić do handlowania, zamroził jednak ceny na podstawowe produkty. Ożywił też życie religijne, promując tolerancję międzykulturową. Mongolia zaczynała rozkwitać, a Mongołowie wydawali się być zadowoleni z jego rządów, czego wyrazem było na- zwanie „baronami” banknotów emitowanych przez Bogda Chana.

Ungern nie miał litości dla tych, którzy wspie- rali komunistów. Musiało ich być całkiem wielu, skoro około osiemdziesięciu tysięcy Mongołów przeciwstawiających się rządowi Krwawego Barona zostało wymordowanych przez jego podkomend- nych. Powołał nawet specjalny Urząd Wywiadu Po- litycznego, którego zadaniem było tropienie agentów bolszewickich i zwolenników rewolucji. Na jego czele stał zwyrodniały sadysta, pułkownik Leonid Sipajłow, którego Ossendowski miał okazję osobiście poznać, a znajomości tej omal nie przypłacił życiem. Fak- tyczna skala zwolenników rządów komunistycznych może budzić jednak wątpliwości, bo w przypadku, gdy zostawali skazani trzecia część ich majątku przy- padała donosicielowi, co wielu skłaniało do szafowa- nia fałszywymi oskarżeniami.

Krótki czas, jaki Krwawy Baron spędził z Ossendowskim, dobiegł końca 21 maja 1921 roku, kiedy Ungern wyruszył na północ, by podjąć ostatnią krucjatę przeciwko sowietom. Przedtem wydał słynny *Rozkaz numer 15*, w którym podkreślał konieczność likwidacji komunistycznych komisarzy, bolszewików oraz Żydów wraz z potomstwem („żeby nie zostawiać chwastów”), natomiast oddziałom rosyjskim operu- jącym na Syberii zalecał, żeby, o ile to tylko możliwe, władzę w garnizonach i intendenturze przekazywali Polakom, bo naszych rodaków uważał za najpewniej- szych sojuszników w walce z bolszewikami, w czym niewątpliwie utwierdził go Ossendowski.

Azjatycka Dywizja Konna, podzielona na dwie brygady, pod dowództwem Ungerna i Riezuchina, na początku czerwca wkroczyła do Syberii. Przeciwno- niej Sowietci wystawili armię liczącą 175 000 żołnie- rzy, wyposażoną w samochody pancerne, kanonierki, a nawet samoloty. Oddziały Ungerna stoczyły kil- ka krwawych bitew, jednak wobec braku wsparcia miejscowej ludności oraz zaangażowania ze strony Japonii musiały wycofać się do Mongolii. Bolszewicy ruszyli za nimi i po kilku starciach z gwardią barona zdobyli Urgę.

Generał jeszcze raz przegrupował siły i z trze- ma tysiącami żołnierzy wkroczył na Syberię, zdobył nawet miasto Nowoselegińsk, ale na wieść o idącym ku niemu wielkim kontyngencie sowieckim zarządził odwrót w kierunku Tybetu, gdzie planował założenie zakonu i szkoły rycerskiej, w której miała zostać stworzona armia niepokonanych wojowników, przy- gotowanych do przeprowadzenia wielkiej krucjaty. Jego wizji nie dzielali już jednak nawet najbliżsi oficerowie, którzy zawiązali spisek. Generał Riezuchin został zamordowany, a rannemu Ungernowi udało się schronić u jednego z książąt mongolskich. Ten jednak nie chciał popierać przegranej sprawy i związanego Krwawego Barona przekazał oddzia- łowi bolszewickiej kawalerii.

W Nowonikołajewsku odbył się publiczny proces barona, oskarżonego o zdradę, próbę oba- lenia władz rewolucyjnych, zamiar przywrócenia na tron Romanowów i stosowanie terroru. Baron przyznał się do wszystkiego z wyjątkiem współ- pracy z Japonią. Oświadczył, że jego działania były ostatnią próbą przywrócenia prawowitej władzy w Rosji. Skazano go na śmierć przez rozstrzelanie. Z wykonaniem wyroku wstrzymano się dwa dni, do 17 września 1921 roku.

W ostatnim rozkazie Krwawy Baron pisał, by władzę przekazywać Polakom. Na ironię losu za- krawa fakt, że oddziałem, który go aresztował, do- wodził Konstanty Rokossowski, który po II wojnie światowej został mianowany Marszałkiem Polski i wydelegowany do „bycia Polakiem” jako minister obrony PRL (1949–1956), wiceprezes Rady Mini- strów (1952–1956) oraz członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR (1950–1956).

MONGOLSKIE PRZEPOWIEDNIE

Wieczorem po kolacji stary [wróźbiarz] wziął łopatkę barania, starannie ją oczyścił nożem, opalił do czarna na węglach, otrząsnął z popiołu i zaczął uważnie rozpatrywać ją pod światło ogniska.

- Będę ci wróżył... – rzekł i nagle urwał, z przerażeniem patrząc mi w oczy.
- Cóżeś zobaczył? – spytałem, uśmiechając się.
- Milcz! – szepnął Mongoł. – Widziałem straszną rzecz [...] Ponura śmierć od wysokiego człowieka o rudych włosach i białej jak mleko twarzy stanie za tobą i będzie czyhać, długo, długo.

Inny znów biały człowiek stanie się twoim przyjacielem... Stracisz wielu znajomych, zanim nastąpi czwarty dzień..., gdyż umrą od długiego noża... Już widzę jak ich ciała szarpia psy... Pamiętaj o małym trójkącie na wierzchołku dużego... Strzeż się człowieka o głowie w kształcie siodła. Ten będzie szukał twojej śmierci... Przez krzyż, znak śmierci, widzę szczelinę w kości. Śmierć może odejść... Zbierz siły i odwagę!

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów

Wróżba, jaką Ossendowski usłyszał od starego pasterza na mongolskim stepie, miała się spełnić w ciągu kilku dni. Uciekinierzy byli wówczas o 25 kilometrów od klasztoru Wan-Kure, gdzie znajdował się sztab pułkownika Nikołaja Kazagrandiego, jednego z dowódców Azjatyckiej Dywizji Konnej Barona von Ungerna. Wysłany przez niego oddział napotkał wkrótce na stepowym trakcie grupę Ossendowskiego i skierował ją pod eskortą do sztabu pułkownika.

Podróżnik przygotowany był na najgorsze. Pistolet i cyjanek potasu dawały mu poczucie bezpieczeństwa, że nie zginie z rąk oprawców. Miał jednak nadzieję, że uda mu się przekonać ludzi Ungerna, że jest ich sprzymierzeńcem w walce z bolszewikami, a może nawet spotka tam takich, którzy będą mogli o tym zaświadczyć. Przeczucia go nie myliły, powitał go pułkownik Kazagrandi, który doskonale znał profesora Ossendowskiego, bo był słuchaczem jego wykładów na politechnice w Omsku. Dowiedział się, że został ściągnięty, bo Krwawy Baron chce z pierwszej ręki uzyskać informacje o sytuacji w Uliastaju, dokąd – w związku z nasileniem aktywności bolszewików i podejrzeniami zdrady ze strony oficerów Ungerna – planowano wysłać ekspedycję karną.

Jako pierwszy o ludzi i sprawy w Ulianstaju przepytował Ossendowskiego generał Riezuchin, prawa ręka i „pies łańcuchowy” barona, który odpowiadał za zaprowadzenie porządku na północy Mongolii. Polak zapytał generała, czy ma jakieś wieści o jego znajomych, którzy podobnie jak on opuścili miasto i pewnie także napotkali na stepie zwiadowców pułkownika Kazagrandiego. Odpowiedź wprawiła go w przerażenie: „Jesteśmy otoczeni wrogami. Rosyjski lud do szczytu zgnił i za cenę złota jest zdolny do wszelkiej zdrady i ohydy. Tak jest i z [twoim znajomym] – wyjaśnił Riezuchin – [...] nie warto o nim wspominać, gdyż został już stracony wraz z całą rodziną. Dziś rano moi ludzie zarabali ich wszystkich w pobliżu klasztoru...”

Wstrząśnięty Ossendowski udał się ku rzece, gdzie jego towarzysz podróży, Karol Wojciechowicz, kierował budową mostu, którym przejść miały wkrótce wojska Krwawego Barona. Powiedział mu, że wypełniła się już pierwsza część przepowiedni starego wróżbiarza, bo ich przyjaciele zginęli od szabel, czyli długich noży, a ich ciała porzucone na stepie ogryzają pewnie już dzikie psy. Gdy spojrzał z mostu ku klasztorowi, dostrzegł, że ma on kształt trójkąta, a położony jest na trójkątnej wyspie oblewanej przez rzekę Orchon i jej dopływ. Zrozumiał, że w tym właśnie miejscu, gdzie mały trójkąt zbudowany jest na dużym trójkącie, wypełnić się musi reszta przepowiedni. Pozostawało mu czekać na przybycie dowódcy Azjatyckiej Dywizji Konnej.

Druga część przepowiedni wyjaśniła się już następnego dnia. Ossendowski zaproszony został do namiotu Krwawego Barona, który chciał posłuchać o sytuacji w Ulianstaju. Podróżnik stanął nad kałużą krwi, która pozostała po poprzednim rozmówcy barona, uznanym za współpracownika bolszewików. Ossendowski nie czekał na pytania, ale wybuchnął z pretensjami, jakby przybył do Ungerna z reklamacją, której nie potrafili załatwić jego podkomendni. Był oburzony, że on, człowiek zasłużony jak mało kto w zwalczaniu komunizmu, gdy wreszcie znalazł się wśród ludzi, którzy jak on nienawidzą bolszewików, jest przez nich podejrzewany o konszachty z sowieckimi szpiegami. Baron wysłuchał jego tyrady i dał znak stojącemu za profesorem żołnierzowi. Ossendowski odwrócił się wówczas i ujrzał wysokiego, bladego, rudowłosego oficera, chowającego do pochwy szablę. Zrozumiał, że stał on cały czas za nim, czekając na sygnał barona, a na pierwszy jego gest dokonałby na miejscu ścięcia głowy, tak jak to uczynił poprzedniemu interesantowi. Śmierć długo stała za plecami Polaka, ale udało mu się uniknąć ostrza jej kosy.

Spotkanie z Ungernem było wypełnieniem się kolejnej przepowiedni, o przyjaźni, jaką Ossendowski zawarł z człowiekiem o białej twarzy. Człowiekiem tym okazał się Krwawy Baron, który nie tylko odesłał posłańca śmierci stojącego za plecami

mi profesora, ale także pomógł mu umknąć przed innymi, którzy czyhali na jego życie. Dzięki niemu Ossendowski znalazł się w Urdze, gdzie nie sięgały długie ręce czekistów. Uchronił go nawet przed szefem swojej policji politycznej, Sipajłowem, człowiekiem o głowie w kształcie siodła. Gdy baron wyruszał na swą ostatnią, syberyjską krucjatę, dał mu własny samochód i obstawę, by bezpiecznie wyjechał z Mongolii, przez Chiny do wolnego świata.

Najważniejsza dla Ossendowskiego okazała się jednak inna przepowiednia, której wraz z Ungernem wysłuchał od starego wróża w pałacu Bodo Chana. Starzec miał tylko wypowiedzieć się co do przyszłości Ungerna, który chciał się upewnić, że zbliża się kres jego ziemskiej drogi. Podobnie jak inni przepowiadacze przyszłości potwierdził, że generałowi pozostało około 130 dni życia, a przed śmiercią czekają go straszliwe męczarnie. Przepowiedni tej przysłuchiwał się Ossendowski, którego zachowanie najwyraźniej ubodło starca, bo odwrócił się ku niemu i powiedział: „Ty także umrzesz!”. Pisarz rezolutnie odparł, że w gruncie rzeczy wszyscy umrą, więc przepowiednia nie wnosi nic nowego do jego wiedzy o własnej przyszłości. Na co starzec obruszył się i doprecyzował, że śmierć nie przyjdzie szybko, ale gdy nadejdzie, w zaświaty zostanie wezwany właśnie przez Ungerna.

Pierwsza część przepowiedni wróża spełniła się wkrótce, bo minęło niewiele ponad 130 dni, a Krwawy Baron został rozstrzelany przez sowietów, którzy wcześniej zgotowali mu krwawą łaźnię, poddając go najbardziej wymyślnym i barbarzyńskim torturom. Być może w tych ostatnich chwilach życia pociechą było błogosławieństwo Bogda Chana, którego treść zanotował pisarz – „Nie umrzesz! Wiedz, że przeistoczysz się w formę doskonalszą! Pamiętaj o tym, synu, pamiętaj, chanie wdzięcznej ci zawsze Mongolii, pamiętaj, przeistoczony duchu wojny!”

Gdy Krwawy Baron przemierzał stepy Mongolii, Kraju Urchajskiego i Syberii w swojej ostatniej krucjacie, Ossendowski mijał pustynię Gobi, wyostał się z Mongolii, w końcu dotarł do bezpiecznego Pekinu, a potem do spokojnego zachodniego świata.

Od śmierci Ungerna mijały kolejne lata, zmarły baron nie pojawiał się pisarzowi nawet w snach, co skłaniało go do żartowania o swej nieśmiertelności. Bo jakże martwy baron miałby go przyzwać w zaświaty? Okazało się jednak, że mongolski przepowiadacz przyszłości i tym razem się nie mylił, a gdy zbliżało się najgorsze, baron Ungern przybył do Ossendowskiego i podarował mu śmierć, która była dla niego ocaleniem.



Mongolski szaman

FROM RUSSIA WITH LOVE

Tej, którą spotkałem niegdyś na brzegu
„wielkiej lazuruwej słonej wody”,
u stóp piętrzących się, czerwonych skał,
a dla której przechowałem wierną miłość do dnia,
gdy stała się moją Eleer-Bałasyr
owianą legendami prastarego Erdeni Dzu,
poświęcam tę opowieść o mojej
męczeńskiej włóczędze
przez serce tajemniczej, obudzonej Azji.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów

Biografowie pisarza twierdzą autorytatywnie, że swoją najpopularniejszą książkę *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów. Konno przez Azję Centralną*, która przyniosła mu światową sławę, Ossendowski zadedykował swojej drugiej żonie, Zofii Iwanowskiej primo voto Płoszko, z którą pobrał się w Warszawie w 1923 roku. Myślę jednak, że jej pierwotną adresatką była pierwsza żona pisarza, Anna Nikołajewna Bogulub-ska, z którą rozwiódł się w tym samym 1923 roku.

Motto książki nawiązuje do legendy, jaką opowiedziano podróżnikowi, gdy w trakcie swej wielkiej ucieczki odwiedzał lamaicki klasztor w Erdeni Dzu. Przewodnik zaprowadził go wówczas na górę zwaną Miłością Chana, gdzie pod białym kamieniem pochowana była ukochana żona potężnego Gundzura. Mongolski władca był spadkobiercą Czyngis-chana, a hordy jego wojowników przemierzały wielki step i dotarły aż do granic chrześcijańskiej Europy, gdzie walczyły z wojskami polskimi i węgierskimi. I właśnie z Polski pochodziła piękna branka, w której bez pamięci zakochał się surowy chan. Zanim ujrzał piękną Polkę, wiódł życie rycerza-mnicha, rezygnował z własnych przyjemności, aby lepiej służyć swemu ludowi. Dziewczyna urzekła go tak bardzo, że pragnąc ją poślubić, porzucił swe zasady, jako że ona nie godziła się odstąpić od swoich. Wielki chan musiał ukorzyć się przed niewolnicą, by pojąć ją za żonę. Uczynił to z radością, pobrał się i połączyła ich wielka miłość „jak step bezgraniczna i jak wicher potężna”. Poślubiona chanowi Polka zapamiętana została jako Eleer-Bałasyr, co znaczy „Żona Pierścienia”.

Jeżeli Ossendowski myślał o napisaniu książki i opatrzeniu jej dedykacją już wówczas, gdy gościł w lamaickim klasztorze, to jej adresatką mogła być wyłącznie jego żona Anna Nikołajewna Bogulub-ska, która pozostawała wówczas w Rosji zalaną przez czerwoną rewolucję. Obserwując skalę zbrodni popełnianych przez bolszewików, pisarz mógł obawiać się, że jego żona już nie żyje. Dlatego opowieść o potężnym chanie, który podbił pół Azji i Europy, a nie potrafił ukoić rozpacz po śmierci ukochanej żony, tak bardzo trafiła do jego emocji. Anna Ossendowska musiała być adresatką dedykacji także wówczas, gdy pisarz wyrwał się ze szponów bolszewików i pośpiesznie redagował książkę. Los małżonki stale zaprzętał wtedy jego myśli, a pisarz podejmował rozliczne starania, by ją odszukać lub chociaż dowiedzieć się czegośkolwiek o jej losie.

Antoni i Anna poznali się zapewne w związku z działalnością naukową docenta Ossendowskiego, który na zlecenie rządu rosyjskiego prowadził poszukiwania złóż złota i cennych metali. Jego badania były bardzo istotne dla rodziny Bogulubskich, bo- wiem ojciec Anny był tajnym radcą carskiego dworu, a przede wszystkim naczelnikiem wydziału górniczego w Tomsku, nadzorującego tamtejsze kopalnie złota. Jej stryjowie i bracia zarządzali natomiast ko-

palniami carskiego złota znajdującymi się na Syberii. Połączyć ich musiało silne uczucie, bo wiadomość o planach matrymonialnych na pewno nie ucieszyła ich rodzin. Dla Ossendowskich poślubienie przez Antoniego Rosjanki, do tego tak mocno osadzonej w elicie rosyjskiej oligarchii, było wyrzeczeniem się wartości narodowych, dla których jego przodkowie ponosili najwyższe ofiary. Dla Bogulubskich związek Anny z polskim awanturnikiem, który podniósł bunt przeciw carowi, dwa lata spędził w turmie, a zarabiał pisanie sensacyjnych tekstów do gazet brukowych, na pewno nie był spełnieniem marzeń o przyszłości pięknej, inteligentnej, znającej języki, wykształconej muzycznie potomkini.

Gdy w 1923 roku w Polsce wychodziła książka dedykowana ukochanej kobiecie, Ossendowsky byli ponad 10 lat po ślubie. Pobrać się musieli zanim wspólnie zameldowali się pod adresem Małaja Posad-skaja 14 w Petersburgu, gdzie razem mieszkali przez niespełna pięć lat, do wybuchu rewolucji październikowej. Małżeństwo z mocno podejrzanym Polakiem zachwiało pozycją towarzyską Anny, która przestała być mile widziana w petersburskim towarzystwie. Wykluczenie sprawiło, że od początku mocno zaangażowała się w sprawy polskie. Była jedną z założycielek polskiego szpitala w Petersburgu, działającego od 1914 do 1916 roku pod auspicjami Czerwonego Krzyża, w którym pracowała jako siostra miłosierdzia, niosąc pomoc polskim żołnierzom walczącym w armii carskiej na frontach Wielkiej Wojny. Na początku 1917 roku podjęła natomiast pracę w Komisji do spraw Królestwa Polskiego przy Rządzie Tymczasowym Rosji (tak zwanym rządzie Kiereńskiego, powstałym po rewolucji lutowej 1917 roku). Komisja zajmowała się między innymi prowadzeniem spraw związanych z wyjazdami na ziemię polskie obywateli rosyjskich deklarujących się jako Polacy zamieszkujący na terytorium Rosji. Ossendowsky sami zresztą złożyli przed tą komisją oświadczenia, że oboje czują się Polakami i chcą zmienić swoje „poddaństwo” z rosyjskiego na polskie. W przypadku Antoniego wybór taki nie dziwił, wszak jego przodkowie byli Polakami; Anna, dokonując tego wyboru, definitywnie zrywała z całą swoją tradycją rodzinną.

Ossendowsky planowali wyjechać do odradzającej się Polski, ale przeszkodził im w tym wybuch rewolucji październikowej. Wyruszyli więc na wschód, bo droga dookoła globu wydawała się bezpieczniejsza. Na Dalekim Wschodzie zaangażowali się w działania wspierające rząd białych, na czele którego stał admirał Aleksander Kołczak. Po klęsce jego armii, gdy bolszewicy w 1919 roku zajęli Syberię, Anna została aresztowana i skazana na pięć lat pozbawienia wolności. Dzięki intensywnym zabiegom męża w krasnojarskim więzieniu spędziła tylko pół roku, a wyrok udało się uchylić. Po wyjściu na wolność zamieszkała w Tomsku, u wykładowcy tamtejszego Uniwersytetu Technologicznego, profesora Minajewa.

Gdy polski konsul powiadomił Antoniego, że Anna żyje i przebywa w Krasnojarsku, ten natychmiast rozpoczął starania o jej wydostanie z Rosji. Jego biografowie piszą, że zarówno w Japonii, jak i w Stanach Zjednoczonych oraz w Europie poruszał niebo i ziemię, aby wydobyć żonę z Rosji. Gdy przyjechał do Warszawy, interweniował u kolejnych prezesów Polskiego Centralnego Komitetu Repatriacyjnego, zwracał się o pomoc do polskich i zagranicznych dyplomatów, a nawet do Władysława Grabskiego, późniejszego ministra finansów i premiera. O uwolnienie żony prosił także sowieckich polityków, szczególnie Juryma Dziewałtowskiego, przyjaciela Lenina, który podczas rewolucji październikowej dowodził atakiem na Pałac Zimowy, a potem był wiceministrem spraw zagranicznych, podporządkowanej Moskwie, buforowej Republiki Dalekiego Wschodu ze stolicą w Ułan Ude. Jeszcze na początku 1923 roku nie mógł się doczekać przybycia małżonki, która wyruszyła w drogę do Polski.

Kiedy Anna dotarła wreszcie do Warszawy, nie doszło jednak do radosnego powitania rozdzielonych przez lata małżonków. Anna spóźniła się o kilka tygodni. Ferdynand w międzyczasie spotkał bowiem swoją pierwszą miłość, Zofię Iwanowską-Płoszko, która owdowiała i znów była stanu wolnego. Dawne uczucie wybuchło z wielką mocą. Anna zrozumiała, że nie ma szans w konkurencji z ukochaną z młodości lat i szybko zgodziła się na rozwód. Mąż zaproponował jej alimenty w kwocie 1000 złotych miesięcznie. Starał się chociaż w taki sposób zrehabilitować jej przykrość związaną z porzuceniem.

Pierwsza małżonka pojawia się w jego dokumentach jeszcze w 1925 roku. Anna z prasy wiedziała o życiu na wysokiej stopie, jakie prowadził jej były mąż, wystąpiła więc o podwyższenie alimentów. Pisarz zgodził się szybko na ugodę, w ramach której wypłacał byłej żonie 50 dolarów miesięcznie. Anna Ossendowska nie wyszła powtórnie za mąż, pozostała także przy nazwisku męża, zachowała je nawet wówczas, gdy starano się wymazać wszelkie ślady jego istnienia; zmarła w latach sześćdziesiątych.

Ossendowski z żoną Zofią
i znajomym w Kosowie
Huculskim



(DRAMATO) PISARZ OSSENDOWSKI

„Żywy Buddha”, czyli „Żywa Bujda” jest najgorszym utworem scenicznym ostatnich paruset lat [...]. Popularny autor powieści podróżniczych, nasz polski Karol May, nie ma talentu pisarskiego, nie pisze dobrym stylem, według opinii naukowych nie jest siłą naukową, nie posiada zmysłu sceny, poczucia dramatu, nie ma nic do powiedzenia, nie ma gustu, nie ma poczucia komizmu własnej sztuki [...].

Największe „mongoły” sceny polskiej, przebrane za Mongołów, pozwalają się torturować panu Solskiemu, który pod słabym pozorem krwawego baronostwa męczy znienawidzony przez niego zespół Rozmaitości.

Antoni Słonimski
Recenzja teatralna

Dyrektorom stołecznego Teatru Rozmaitości wydało się, że wpadli na pomysł przedstawienia, które stanie się przebojem warszawskich scen. Jakże mogłoby być zresztą inaczej, skoro napisania sztuki podjął się jeden z najpopularniejszych pisarzy na świecie, którego książki osiągały wielomilionowe nakłady? Jakże nie wierzyć w sukces, skoro bohaterem sztuki miał być Krwawy Baron Ungern von Sternberg, o którego walkach toczonych z bolszewikami, magicznych mocach, a przede wszystkim nieprzebranych, ukrytych wśród mongolskich stepów bogactwach wciąż pisano w gazetach, a kolejne artykuły elektryzowały czytelników? Jakże miało się nie udać, skoro sztuka mieniła się od tak modnych wątków jak: buddyzm, lamaizm, okultyzm, które fascynowały wówczas zarówno bywalców warszawskich salonów, jak i tych, którzy im usługiwali?

Gdyby nawet debiutujący jako dramaturg Ossendowski nie w pełni poradził sobie z – jak to ujął Tadeusz Boy-Żeleński – „historyczną sztuką o figurze nie ustalonej jeszcze przez historię”, to niedostatki tekstu pokryć miała gra aktorska. Do roli Krwawego Barona zaangażowano przecież jednego z najwybitniejszych aktorów scen polskich – Ludwika Solskiego, który zresztą był przyjacielem pisarza, co dawało rękojmię wysokiej jakości sztuki. Okazało się jednak, że nawet tak wielki aktor – z kozacką papachą na głowie, w jedwabnym, mongolskim kaftanie, z generalskimi pagonami, Krzyżem Świętego Jerzego i wielką swastyką na płaszczu – nie był w stanie poruszyć publiczności i uratować przedstawienia przed klapą.

Najostrzejsza recenzja *Żywego Buddy* wyszła spod pióra porucznika Wojciecha Stpicyńskiego, wolnomularza, zwolennika Józefa Piłsudskiego, posła na Sejm IV kadencji, redaktora i publicysty, który na łamach „Głosu Prawdy” napisał, że „Doktor i Profesor» od dawna naprasza się – swymi aroganckimi, tępyimi bredniami pseudonaukowymi o krajach, których nie widział, naukach, których nie zna i sztuczkami teatralnymi, w których nic nie ma do powiedzenia – do trzepnięcia go po arogancku do kieszeni naiwnych sięgających palcach. Jeżeli się o nim do tej pory paru słów prawdy nie pisało, to tylko z niechęci do robienia tego rodzaju szarlatanom reklamy i w przekonaniu, że ludzie rozsądniejsi i poważniejsi szybko odróżnią ziarno od plew, tytuł od treści i talent od aroganckiej autoreklamy”.

Ossendowskiemu natomiast wydawało się, że potrafi napisać wszystko. Doskonale odnajdował się w formach dziennikarskich: artykułach, felietonach, recenzjach czy reportażach. Był autorem cenionych artykułów naukowych. Świetnie radził sobie z formami literackimi, pisał jednak powieści, wspomnienia, opowiadania czy gawędy. Okazało się, że próba napisania dramatu go przerosła. Zamierzał napisać dramat historyczny na miarę *Mazepy* Słowackiego, wyszło natomiast przegadane przedstawienie, które

nie niosło żadnych wartości – ani historycznych, ani filozoficznych, ani rozrywkowych. Rozpisane było na trzy akty, z których najlepszym – jak zapewniał Boy – był „akt panny Mili Kamińskiej, która odsłoniła piersi gestem greckiej nimfy Fryne”, lecz – jak odpowiadał Słonimski – „rozkosz oglądania tej godnej za zdrości nagości opłacona była jednak zbyt krwawo”.

Ossendowski boleśnie przeżył napaść krytyków teatralnych, z jaką spotkała się jego sztuka. Kilka lat później nawiązywał do niej w książce *Czarny czarownik*, gdzie pisał, że w jego opinii teatr powinien być „mówiącą księgą”, przybliżającą publiczności świat, którego nigdy osobiście nie poznają. Chciał napisać sztukę teatralną opowiadającą o prawdziwym życiu w afrykańskich koloniach, gdzie „charaktery ludzkie stają się bardzo barwnymi i wypukłymi, a cechy ludzkie występują nieprzykryte formalnymi smokingami i monoklami”. Uznał jednak, że póki co nie ma ochoty na przejścia, jakich doświadczył w związku z wystawieniem *Żywego Buddy*, bo wystarczy, że „jedna taka próba moja była uważana za zbrodnię niemal i powtarzać tej zbrodni na razie nie chcę”. Ossendowski nie napisał już żadnej sztuki teatralnej – odkrył znacznie lepszy sposób dotarcia do szerokiej publiczności, a jego „mówiącą księgą” miał stać się film.



Ossendowski na scenie Teatru Rozmaitości
z odtwórcą roli barona Ungerna
Ludwikiem Solskim

ROBINSON CRUSOE XX WIEKU

Moja pierwsza książka „Beasts, Men and Gods”, za którą agenci Rosji Sowieckiej oferowali mi znaczną sumę w razie jej nieopublikowania, jest obecnie obiektem ataków Svena Hedina oraz innych ludzi, którzy są na służbie Rosji Sowieckiej. [...] Dlatego władze sowieckie pozwoliły mu [Hedinowi] na powrót z okołoziemskiej podróży Koleją Transsyberyjską przez Sowiety, a teraz nakazują mu atakować książkę za to, że w niej prawda o zbrodniach bolszewickich trafiła do rąk trzystu tysięcy Amerykanów.

Ferdynand Antoni Ossendowski

Wiosną 1925 roku na Ferdynanda Ossendowskiego wychodzącego z bramy kamienicy przy ulicy Zgoda w Warszawie spadła deska z rusztowania na ósmym piętrze. Uderzenie było tak silne, że ogłuszony pisarz stracił wzrok, słuch i przytomność. Okazało się na szczęście, że ma silną czaszkę, nie odniósł poważniejszych obrażeń i po kilku dniach powrócił do codziennej rutyny. Nie był to jednak najbardziej bolesny atak, jaki go spotkał tego roku.

Przytoczona emocjonalna wypowiedź Ossendowskiego dotyczy zarzutów, jakie padły ze strony znanego szwedzkiego podróżnika i naukowca Svena Hedina, który w 1925 roku opublikował w Lipsku broszurę *Ossendowski Und Wahrheit (Ossendowski i prawda)*, w której zarzucił Polakowi, że jego bestseller *Beasts, Men and Gods* jest książką niewiarygodną i szkodliwą, która powinna zostać usunięta z obiegu czytelniczego. Na dowód swego oskarżenia wskazał kilka uchybień autora. Po pierwsze zauważył, że jako motto książki wykorzystane zostały przypisywane przez autora Liwiuszowi słowa, których nie ma w pismach rzymskiego historyka. Po drugie zwrócił uwagę, że nie da się w tak krótkim czasie, jak to opisuje Ossendowski, dotrzeć z Mongolii do północno-wschodniego Tybetu, i zarzucił podróżnikowi, że ten na Dachy Świata nigdy nie był, a to, co o nim pisze to mistyfikacje i kompilacje. Po trzecie wskazał na zbieżność opisu mitycznej, podziemnej krainy Agharta w książce Ossendowskiego i w tekście francuskiego okultysty z końca XIX wieku, zarzucając Polakowi plagiat. Na koniec zaś stwierdził, że Ossendowski nie ma prawa posługiwać się tytułem naukowym, bo takiego nigdy nie uzyskał.

Dużo cięższe zarzuty sformułowane w recenzjach książek nie wywołują dzisiaj żadnego rezonansu, bo przecież błędne przypisanie Liwiuszowi słów motta do książki podróżniczej nie podważa wartości samej relacji z podróży. Słaby był też zarzut o brak wykształcenia akademickiego, nie jest ono bowiem wymagane do napisania poczytnej książki podróżniczej. Ossendowski był autorem licznych artykułów naukowych z chemii, a jego dyplom doktorski potwierdzony został przez Uniwersytet Paryski, dokumentów ukończenia uczelni w Omsku nie mógł zaś przedstawić, bo pozostały w sowieckiej Rosji. Wskazywanie błędów w opisie trasy rekonstruowanej na podstawie notatek czynionych na gorąco w notesie to raczej sugestia, by uszczegółwić szlak wyprawy w kolejnych wydaniach książki. Żaden z zarzutów – słowa motta przypisane błędnie Liwiuszowi, budząca wątpliwości trasa do Tybetu, opis mitu o podziemnym królestwie – nie odnosił się do istoty książki o męczeńskiej włóczędce Ferdynanda Ossendowskiego, a raczej do mało istotnych poboczności.

Warto się zastanowić, czy Ossendowski w ogóle powinien być adresatem tych zarzutów. Amerykańskie wydanie książki, zatytułowane *Beasts, Men and*

Gods, ma bowiem dwóch autorów. Jako pierwszy wskazywany jest Ossendowski, a jako współautor jego amerykańskim wydawcą Pallen. Polak niewątpliwie jest autorem tych części książki, które są relacją z jego niesamowitej ucieczki, Amerykaninowi zaś przypisać można te właśnie uzupełnienia, które stały się przedmiotem napaści Hedina. Stwierdzenie takie wynika z porównania tekstu amerykańskiego wydania książki z tekstem wydania polskiego, w którym jako jedyny autor figuruje Ossendowski, a gdzie nie znajdziemy już inkryminowanych fragmentów.

Atak ze strony szwedzkiego uczonego miał jednak swój ciężar i nie dało się go skwitować prasową odpowiedzią. Sven Hedin był jednym z najsłynniejszych szwedzkich uczonych, studiował mineralogię i geologię na Uniwersytecie w Uppsali, łacinę i zoologię w Sztokholmie, a doktorat obronił na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Podróżował po Azji Centralnej, opracowując pierwsze mapy Turkiestanu, Pamiru, Tybetu i Himalajów, a w 1923 roku przemierzył dookoła Ziemię. Doktoraty honoris causa w tym samym roku przyznały mu uniwersytety Oxford i Cambridge. Z honorami przyjmował go brytyjski król Edward VII, cesarz Japonii Mutsuhito, car Mikołaj II, papież Pius X, prezydent USA Theodore Roosevelt, a król Szwecji Oskar II nadał mu szlachectwo, co było ostatnim takim przypadkiem w historii tego kraju. Był także członkiem londyńskiej Royal Society oraz Akademii Szwedzkiej, przyznającej Nagrodę Nobla.

Świat naukowy, mając z jednej strony szwedzkiego naukowca i odkrywcę o ustalonej renomie, z drugiej zaś polskiego pisarza i awanturnika, opowiedział się generalnie po stronie Hedina. Wielu badaczy dorzucało swoje zastrzeżenia, a w konflikt szczególnie zaangażował się w szwajcarsko-francuski antropolog, doktor Montandon, którego żona – co nie bez znaczenia – była Rosjanką, zaangażowaną komunistką i przekonała męża do zapisania się do partii komunistycznej.

Po stronie Ossendowskiego opowiedziały się natomiast poważne czasopisma geograficzne: londyński „Geographical Journal”, wiedeński „Antropos” i paryski „Journal Asiatique”. Niemiecki wydawca polskiego podróżnika szybko przygotował zbiór artykułów, recenzji, fotografii i dokumentów, które potwierdzały autentyczność opowieści Ossendowskiego i wystawiały mu najwyższe świadectwa naukowe i moralne. Amerykański wydawca namawiał natomiast pisarza do kontynuowania polemiki z Hedinem, bo hałas medialny przyczyniał się do szybkiej sprzedaży kolejnych nakładów jego książki.

Spór postanowiono rozstrzygnąć podczas otwartej debaty, nazwanej „sądem rozjemczym”, która odbyła się 24 listopada 1925 roku w paryskim lokalu Nouvelles Littéraires, a wzięło w niej udział 23 przedstawicieli francuskiego środowiska naukowego, literackiego i dziennikarskiego. Ossendowski dowo-

dził podczas tego spotkania, że zarzuty są zupełnie chybione, bo jego książka „nie jest utworem naukowym, lecz tylko romantyczną opowieścią o podróży przez Azję Środkową, napisaną dla szerokiej publiczności”, a „rzeczy nie mają naukowego charakteru, lecz ich elementy sprowadzają się do osobiście przeżytych wrażeń i do osobiście zebranych opowiadań”.

Paul Valéry, odnosząc się do paryskiego spotkania, napisał: „Przybycie do Paryża p. Ferdynanda Ossendowskiego, którego nazywają Robinsonem Crusoe dwudziestego wieku i którego pierwsze dzieło przetłumaczone na język francuski «Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów» wszyscy krytycy jednogłośnie uznali za książkę niezwykłą, najbardziej pasjonującą relację z podróży, jaką czytali w życiu, nie może przejść niepostrzeżenie. Mielśmy szczęście spotkać się z człowiekiem, który widział Żywego Buddę, mieliśmy też równie wyjątkową okazję doprowadzić do jego spotkania z trzema osobistościami francuskimi, które wydają się najbardziej właściwe, aby zaprezentować swoje doktryny i wiedzę o jego doświadczeniach i aby ocenić w świetle pojęć zachodnich niewiarygodną sumę obserwacji, jakie zgromadził podczas swej dramatycznej wędrówki przez Azję”.

Ossendowski nie omieszczał oczywiście przywołać sowieckich powiązań jego głównych adwersarzy, wskazując, że jego zdyskredytowanie leży w interesie rządu sowieckiego, którego barbarzyńskie praktyki obnażył pisarz. Miał chyba rację i przesuniecie debaty z argumentów merytorycznych na polityczne było ze wszech miar słuszne, bo takie było faktyczne podłoże ataku. Jego przeciwnicy, życzliwie wspierani przez sowieckich propagandystów, wpisywali się w ton napaści na Ossendowskiego, jaki w swoich wspomnieniach zaprezentował Aleksiej W. Burdukow, który twierdził, że to Ossendowski zredagował słynny rozkaz numer 15 barona Ungerna oraz że: „zasugerował on także degeneratowi Ungernowi myśl o restauracji domu Romanowów, a sam za otrzymane od niego środki pojechał na wschód za carem Mikołajem Romanowem, którego miejsce pobytu znał jakoby tylko on, łudząc w ten sposób dzikiego barona na Żydów i tych Rosjan, którzy nie chcieli konfliktu z Rosją Radziecką, szczęśliwie uciekł do Ameryki, gdzie spłodził oszczerczą książkę na Związek Radziecki. Zbiwszy na kłamstwach i oszczerstwach setki tysięcy dolarów, ten przechera wrócił do Polski”.

Nikomu nie przyszło jednak wówczas do głowy, że w swojej argumentacji Ossendowski wcale nie posunął się za daleko, ale nawet nie przedstawił wszystkich aspektów sprawy. Nagonka na niego inspirowana bowiem mogła być nie tylko z Moskwy, ale też z Berlina, bo tak Niemcom, jak i Sowietom zależało na zdyskredytowaniu pisarza ze względu na jego udział w aferze z dokumentami Sissona. Czas sprawił, że obaj krytycy Ossendowskiego odślonili swoje prawdziwe, niezbyt piękne oblicze. George

Matandon okazał się kolaborantem i antysemitą, który żądał wysiedlenia Żydów z Francji i przejęcia ich majątków, a w licznych artykułach pisanych podczas wojny wskazywał, jak rozpoznać Żyda. Jako autorytet w tym zakresie, osobiście bowiem prowadził badania antropologiczne, odpłatnie wystawiał zaświadczenia o aryjskości. Skończył rozstrzelany z wyroku La Résistance. Hedin z kolei zawsze był germanofilem i zwolennikiem idei pangermańskiej. W czasie okupacji popierał politykę Trzeciej Rzeszy, czego skutkiem było objęcie go po wojnie całkowitym bojkotem przez środowisko naukowe. Z takimi przeciwnikami mierzyć się musiał Ferdynand Ossendowski.



Mapa trasy azjatyckiej wyprawy Ossendowskiego z książki *Beasts, Men and Gods*

KRÓTKA WSPÓŁPRACA Z „ROJEM”

Będąc w 1926 roku w Meksyku, byłem zafascynowany witrynami księgarskimi zavalonymi tłumaczeniami jego książki „Przez kraju ludzi, zwierząt i bogów”. Powróciwszy do kraju, zetknąłem się z Ossendowskim, który właśnie wrócił z Afryki i na moje zamówienie napisał mi relację o swojej podróży, którą wydałem w serii żółtych książeczek historyczno-geograficznych.

Seria miała motto: „Uczyć – bawiąc, bawić – ucząc”. Zaniepokoiłem się nieco, że Ossendowski [...] trochę zanadto chce bawić.

Melchior Wańkowicz
Karafka La Fontaine’a

Ferdynand Ossendowski, pisarz poczytnych best-sellerów, oraz Melchior Wańkowicz, doskonały reportażysta, ale przede wszystkim współwłaściciel wydającego wysokonakładowe, popularne książki wydawnictwa „Rój”, wydawali się partnerami wręcz stworzonymi dla siebie. Ossendowski mógł co kwartał, a zważywszy na ich niewielką objętość, to pewnie nawet i co miesiąc zapewniać wydawnictwu Wańkowicza kolejne atrakcyjne pozycje, które ono sprzedawałoby w wielotysięcznych nakładach.

Panowie poznali się w latach dwudziestych i musieli sobie przypaść do gustu, bo obaj mieli skłonność do bulwersowania opinii publicznej, przekraczania granic, jakie stawiano ludziom pióra, pakowania się w nieprawdopodobne awantury, a także do prowadzenia życia na wysokiej stopie, niekoniecznie na własny rachunek. Życiowy rozmach przypisywać mogli dzikim genom, które odziedziczyli po tatarskich przodkach. Wańkowicz w *Szczenięcych latach* (1934) pisał o swoim dziadku, pułkowniku Baczyźmalskim, „wiodącym się z Tatarów”, Ossendowski natomiast w powieści *Wańko z Lisowa* (1929) opisał koligacje, jakie łączyły Wańkowiczów z Ossendowskimi. Obaj pieczętowali się herbem Lis.

Wydawało się, że fundamenty dla ich długoletniej współpracy są bardzo solidne. Rzeczy potoczyły się jednak zupełnie inaczej, a nazwisko Ossendowskiego pojawiło się tylko przy jednej jego książeczce wydanej nakładem „Roju”, którą był *Czarny Czarownik. Relacja z wyprawy do Afryki 1926 roku*. Wańkowicz, we wspomnieniowej *Karafce La Fontaine’a* (1972) dwukrotnie pisał o tym, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim poczytność Ossendowskiego i że bardzo chciał wydawać jego książki, ale nie wyjaśnia, dlaczego ich współpraca zakończyła się na pierwszej. Jakby wiązał się z tym jakiś sekret. Obaj panowie słynęli z gorącego temperamentu, ale w tej sprawie zachowali zdumiewającą powściągliwość.

Na pewien trop prowadzący do wyjaśnienia tej zagadki trafiłem w książce *Zapisane. Reportaż międzywojenny interpretowany przez pisarzy i historyków literatury* (2017). Grzegorz Nowak stawia tam tezę, że do wydawniczego rozstania literatów przyczyniło się wydanie w „Roju” książki *Tajniki szpiegostwa pruskiego* (1925). Jej autorem miał być niejaki Doktor Vitelius, w którym dopatrywać się można kolejnego pseudonimu, jakim posłużył się Ossendowski. Bohaterem tej książeczki był nieznany z nazwiska szpieg niemiecki, pochodzący z Wielkopolski, w którego biografii dostrzec można zakamuflowany życiorys samego Wańkowicza. Nie to jednak stało się powodem rozstania wydawcy i pisarza. W książeczce pojawiło się personalne oskarżenie o szpiegostwo na rzecz Niemiec, czego miał się dopuścić znany poznański drukarz i wydawca Roch Stasch, w czasie, gdy pracował w polskiej bibliotece w Rapperswillu.

Ossendowski rzeczywiście idealnie wpisuje się w obraz autora książki o tajemnicach pruskiego wywiadu. Pisarz miał bowiem unikalne kompetencje w tym zakresie. Nie ograniczał się do odkrywania tajemnic niemieckiego wywiadu, ale także potrafił je tworzyć, jak w przypadku afery z Kunst i Alberts. Umiał też podrabiać oficjalne dokumenty tak udanie, że amerykański wywiad za nie płacił, a największe gazety amerykańskie publikowały treść tych fałszyfikatów. Fałszywki Ossendowskiego, przekazane Sissonowi, były bardziej wiarygodne niż noty dyplomatyczne słane przez rządy Niemiec i Rosji. Skoro zaś tak wielkie mistyfikacje uszły mu bezkarnie, to poczuł się zbyt swobodnie, pisząc o rzekomym polskim współpracowniku pruskiego wywiadu.

Dla Ossendowskiego sfabularyzowana historia Rocha Stascha była chyba po prostu ciekawą opowieścią szpiegowską. Nie spodziewał się, że akurat ta książka może wiązać się z poważnymi konsekwencjami dla niego. Okazało się jednak, że wdowa po poznańskim wydawcy jest bardzo wyczulona na punkcie honoru męża i nie życzyła sobie, żeby jego dobre imię było szargane. Zażądała od wydawnictwa ujawnienia personaliów autora oraz zapowiedziała wytoczenie procesu o odszkodowanie za zniesławienie. Sprawa jednak nigdy nie trafiła na wokandę sądową, wydawnictwo zobowiązało się do wycofania wszystkich pozostałych na rynku egzemplarzy, niewznawiania publikacji i zaprzestania wszelkiej współpracy z jej autorem.

Wańkowicz nie upublicznił nazwiska autora książeczki, ale fakt, że mająca świetliste perspektywy współpraca jego wydawnictwa z Ossendowskim nagle się zakończyła, zdaje się potwierdzać, że strony ugody doskonale wiedziały, kto krył się za pseudonimem Doktor Vitelius. Zważywszy na zamiłowanie do procesów sądowych środowiska literackiego II RP, tak skuteczne wyciszenie tej sprawy zdumiewa. Niewykluczone, że stało się tak dlatego, że zależało na tym samemu Wańkowiczowi, który mógł być dla Ossendowskiego źródłem informacji o rzekomej działalności szpiegowskiej poznańskiego wydawcy, bowiem znał go, a wiele rozwiązań wydawniczych stosowanych przez jego „Rój”, na przykład słynna „żółta seria”, wzorowanych było na pomysłach wykorzystywanych wcześniej przez oficynę Rocha Stascha.

FUNDATOR POMNIKA ORŁĄT WARSZAWSKICH

Upłynęło pięć lat od dnia, gdy postanowiliśmy oboje z żoną wznieść pomnik młodzieży polskiej, poległej w obronie Warszawy podczas wojny z nawałnicą dziczy sowieckiej. Pięć lat...

Ludzie dobrej woli oraz magistrat miasta Warszawy z panem prezydentem miasta inżynierem Zygmunt Słomińskim na czele – pomni na bohaterstwo i piękno najwyższego lotu orłąt polskich – pieniędzmi, pracą i radą przyszli z pomocą komitetowi przez nas założonemu.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Najwyższy lot



Pomnik Orłąt Polskich na Powązkach
Wojskowych w Warszawie

Wystawienie pomnika to najbardziej szlachetny sposób wyrażenia przez społeczeństwo swojego szacunku, uznania czy uwielbienia dla artystów, a zwłaszcza twórców literatury. W każdym mieście bez trudu odnajdziemy liczne tablice, popiersia czy pomniki pisarzy i poetów wykute w kamieniu czy odlane w brązie. Niezwykle rzadko się jednak zdarza, by to literaci podejmowali, a tym bardziej finansowali inicjatywy upamiętnienia monumentami tych, którzy poświęcili swe życie, żeby oni sami wiosną mogli pisać o wiosnie...

Ferdynand Ossendowski był inicjatorem wystawienia na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym pomnika upamiętniającego Orłęta Warszawskie, nastoletnich harcerzy, którzy w sierpniu 1920 roku walczyli i ginęli na przedpolach stolicy, pod Ossowem i Radzyminem. Czuł się zobowiązany nie tylko wobec tych poległych, nastoletnich chłopców, ale przede wszystkim wobec ich matek. Pragnął je przekonać, że śmierć ukochanych dzieci nie była nadaremna, bo młode ciała ich synów stały się barykadą, na której zatrzymała się bolszewicka nawałnica. Pragnął, żeby pamięć o nich została ocalona od zapomnienia, by ci młodzi chłopcy zapamiętani zostali jako niezłomni bohaterowie, którym naród będzie zawsze wdzięczny, bo na ołtarzu Ojczyzny złożyli przecież to, co mieli najcenniejsze, swoje rozkwitające dopiero życia.

Budowę pomnika Orłąt Warszawskich Ossendowski rozpoczął oczywiście od... napisania książki. *Najwyższy lot. Z niedawnych czasów wielkiego porywu* to wydany w 1923 roku zbiór opowiadań, których akcja rozgrywa się w czasie wojny polsko-bolszewickiej, a treść ukazuje dążenia młodych Polaków do uratowania ledwie odzyskanej niepodległości. Spośród milionów doświadczeń biograficznych pisarz wybiera i przybliża czytelnikom kilkanaście najbardziej charakterystycznych. Opowiada o nastoletnich żołnierzach, którzy z najdalszych zakątków globu podążali na wezwanie Ojczyzny i mężnie walczyli w jej obronie. Pokazuje tragizm wyborów, jakie stawały przed młodymi ludźmi, którzy przeżywszy tak niewiele, musieli wybierać między domem rodzinnym a ziemią ojczystą, między bliskimi a narodem. Upomina się o pamięć o tych, których mogiły porastają trawy Syberii, Mongolii, Rosji, krzyże na nich chylą się, a gdy upadną, nikt nie będzie pamiętał o ofierze pochowanych, nikt nie odnajdzie ich grobów. Te właśnie opowiadania były pierwszym „pomnikiem”, którym Ossendowski chciał upamiętnić tysiące młodych, szlachetnych rycerzy, którzy zginęli, zatrzymując bolszewickiego potwora.

Ossendowski nie tylko napisał książkę, ale także zaangażował się we wzniesienie pomnika, przede wszystkim ze względu na swoją świeżo poślubioną żonę, Zofię Iwanowską primo voto Płoszko. Inicjatywa ta miała dla niej szczególne znaczenie, bo w bitwie pod Ossowem straciła swego młodszego syna, piętnastoletniego harcerza, Zygmunta Karola Płoszko. Ossendowski ukazał postać tego chłopca o arty-

stycznej duszy, który zamiast skrzypiec musiał wziąć w ręce karabin, w opowiadaniu *Lolus Grajek*, zadekowanym jego matce, a swojej ukochanej żonie.

Na wzniesienie pomnika Orłąt Warszawskich na Powązkach pisarz przeznaczył wszystkie dochody, jakie uzyskał z kolejnych ośmiu wydań książki *Najwyższy lot*. Zaangażował się także w pozyskiwanie dodatkowych funduszy, występował w tej sprawie wielokrotnie na łamach prasy krajowej oraz polonijnej. Nowojorski „Nowy Świat”, zamieszczając w połowie 1923 roku deklarację inżyniera Edmunda Libańskiego ze Lwowa o wpłacie na ten cel stu tysięcy marek polskich, przywoływał „mocne i szczere” wystąpienie Ossendowskiego, jakie ogłosił on wcześniej na łamach tej gazety.

Koncepcję pomnika opracował wybitny artysta, profesor Stanisław Noakowski, prywatnie sąsiad pani Zofii z Nieszawy, który doskonale znał jej poległego syna. Miał to być monument w formie wysokiej kolumny zwieńczonej orłem i krzyżem. Pomnik zaprojektował architekt Adolf Buraczyński, natomiast rzeźbiarz Stanisław Jackowski wykonał dwie płaskorzeźby ze scenami batalistycznymi. Pierwsza przedstawia księdza Ignacego Skorupkę, który z krucyfiksem w ręku prowadzi młodych żołnierzy na śmiertelny bój, na drugiej widoczna jest odprawa, podczas której wąsaty generał udziela rad chłopcom w skautowskich mundurach. Symbolika tych scen jest oczywista, młodzi żołnierze walczyli za wiarę oraz za ludzi, wierni hasłu „Bóg, Honor, Ojczyzna”. U podstawy kolumny umieszczono napis: „Orłętom Polskim poległym w obronie Warszawy podczas najeźdu bolszewickiego roku 1920. Wdzięczni rodacy”.

Ossendowski do końca miał nad wszystkim pieczę, osobiście występował do prezydenta Warszawy z wnioskiem o wyłożenie ostatnich czterech tysięcy złotych na „wykończenie i odsłonięcie” pomnika. Zwracał przy tym wódatarzom stolicy uwagę, że on sam przeznaczył na jego wzniesienie więcej niż magistrat miasta stołecznego, które ocalone zostało przez młodych obrońców, za co winne jest im wdzięczność po wsze czasy.

Pomnik uroczystie odsłonięto w dniu Wszystkich Świętych, 1 listopada 1929 roku. Stanął w najbardziej reprezentacyjnym miejscu Cmentarza Powązkowskiego, na podwyższeniu zamykającym główną aleję cmentarza, a otwierającym Aleję Zasłużonych. Szczęśliwie przetrwał niemiecką okupację, jednak w czasach Polski Ludowej został zdemontowany, bo znajdował się na trasie konduktów pogrzebowych komunistycznych prominentów. Ich uczestnikom z trudem przychodziło mijanie pomnika tych, którzy rozbili sowiecką armię, na której bagnietach poniesiona została ich władza. Pomnik przeniesiono na ubocze, znalazł się przy Kwaterze Powstańców Styczniowych i do dziś można pod nim złożyć kwiaty i zapalić znicze, ku pamięci i wdzięczności tym młodym harcerzom, którzy ocalili wówczas Warszawę, Polskę i cywilizację.

OSOBISTY WRÓG LENINA

Lenin nie dowierzał Rosjanom, pamiętając, że nawet najzacieklejsi rewolucjoniści, jak Bakunin, dekabryści i inni, nieraz się cofali, wyrzekali dawnych poglądów i zdradzali sprawę, i współtowarzyszy. Wobec tego ze sprytem i premedytacją popchnął cały lud na dokonanie takiej zbrodni, złagodzić której nie mogłyby już żadne skruchy i zaprzaństwo, a przed oczami złoczyńców w dzień i w nocy majaczyłaby szubienica; gdy się z tym załatwił, do popędzenia motłochu, znużonego machaniem zbrojnych rąk, oszalałego od oparów krwi i dymów pożogi, postawił poganiaczy cudzoziemców:

Żydów, Gruzinów, Niemców,
Łotyszów, Polaków, Finów, Madjarów
i Chińczyków, pogardzających
i nienawidzących tego motłochu,
który im w swoim czasie wypruwał
trzewie i przerzynał gardziele w imię
„cara-ojczulka” i Rosji „świętej”.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Lenin

Lenin (1930), zbeletryzowana biografia wodza rewolucji październikowej stała się drugą – zaraz po *Beast, Man and Gods* (1922) – najsłynniejszą książką Ossendowskiego, ugruntowując jego światową sławę specjalisty od Rosji Sowieckiej. Była to książka niezwykła, napisana w modnej wówczas i przystępnej dla czytelników formule powieści biograficznej. Odsłaniała prawdziwe oblicze Włodzimierza Ilicza, brutalnego dyktatora, który doskonale rozumiał Rosję i potrafił poprowadzić ją ku zatraceniu. Lenin wiedział, że prawdziwa Rosja, to nie jest kraj wielkich miast, zeuropeizowanej inteligencji i burżuazji, która pozornie niewiele różniła się od niemieckiej czy francuskiej. Miał świadomość, że to tylko polor, cienka warstwa kultury, która ledwie obleka prawdziwą, mongolską, zdziczałą rosyjską duszę.

Ossendowski także wiedział, że Rosja to bezkresna prowincja i ukazał prawdziwe oblicze jej mieszkańców – ludzi całkowicie złamanych przez życie, pozbawionych praw i wolności, stłamszonych stuleciami tatarskiego panowania. Ludzi, których sytuacja nie poprawiła się wraz z zakończeniem wielkiej smuty, bo dla nich zmieniło się tylko tyle, że mongolskiego chana zastąpił ruski kniaź. Przerazająca opricznina Iwana Groźnego, budziła grozę i strach. Przerazenie towarzyszyło działaniom jej następczyni, carskiej Ochrazy, bezwzględnej i brutalnej w tępieniu wszelkich przejawów myśli antypaństwowej. Gdy upadł carat, czarna sotnia odrodziła się w nowym systemie jako Czeka, a potem NKWD, policja polityczna, której nazwa paraliżowała wszystkich, bo nikt nie wiedział czy to, co jeszcze wczoraj było prawomysłne, jutro nie będzie uznane za zdradę stanu.

Powieść Ossendowskiego rozbijała wizerunek wodza proletariatu kolportowany przez sowiecką propagandę na Zachodzie i starała się dotrzeć do psychologicznej głębi bohatera. Włodzimierz Ilicz nie był wrażliwym rosyjskim inteligentem, który – poruszony cierpieniem i biedą mas pracujących – wyrzekł się dostatniego życia jako carski urzędnik czy nauczyciel, a stanął na czele buntu uciśnionych i poprowadził ich do walki o państwo robotników i chłopów. Ossendowski obnażał propagandowe kłamstwa i manipulacje, pokazywał prawdziwe intencje działań Lenina. Jego celem nie było stworzenie kraju szczęśliwych proletariuszy, ale zniszczenie opartej na chrześcijaństwie cywilizacji i zastąpienie jej dyktaturą ludzi, dla których jedyną wartością była siła i przemoc. „Pożyteczni idioci” pozostawali „pożytecznymi idiotami”, ale książka Ossendowskiego sprawiała, że musieli się skonfrontować ze zbrodniami komunistycznymi, nie mogli już mówić, że nie znają prawdy o życiu w sowieckiej opresji i rzeczywistych celach towarzyszących działaniom Lenina.

Ossendowski zajmował wysoką pozycję na liście najbardziej nienawidzonych wrogów komunizmu. Bolszewicy wiedzieli, że to on stał za prowokacją z dokumentami Sissona, które – mimo że były sfalszowane – wyrządziły niepowetowane straty wizerunkowi i pozycji politycznej państwa sowieckiego. Ossendowski bardzo szkodził Sowietom jako doradca admirała Kołczaka oraz później jako bliski współpracownik Krwawego Barona, któremu miał powierzyć tajemnicę o miejscu ukrycia carskiego złota. Mieli świadomość, że rozpracowywał metody ich propagandy, by państwa zachodnie skutecznie mogły się jej przeciwstawić. Największą zbrodnią Ossendowskiego była jednak książka – sprzedana w wielomilionowych nakładach światowy bestseller *Beast, Man and Gods*, ukazujący prawdę o sowieckiej rewolucji. Strat wizerunkowych uczynionych przez Ossendowskiego nie udało się bolszewickiej propagandzie nigdy naprawić.

Sowieci doskonale zdawali sobie sprawę, jak wielkie konsekwencje może mieć dla nich kolejna książka Ossendowskiego, zatytułowana po prostu *Lenin*. Starali się więc jak mogli zablokować jej sprzedaż, zwłaszcza na terenie Europy Zachodniej, która była obszarem aktywnego działania sowieckiej agentury. Najsukcesowniejsze okazały się zabiegi sowieckiego ambasadora w Rzymie, który doprowadził do tego, że w styczniu 1932 roku książki *Lenin* Ossendowskiego oraz *Lenin i chłop rosyjski* Maksyma Gorkiego zostały zasekwestrowane na terenie całych Włoch. Podobne kroki podjęły też rządy kilku innych krajów, które nie chciały nadwyręzać swoich stosunków z Rosją Sowiecką.

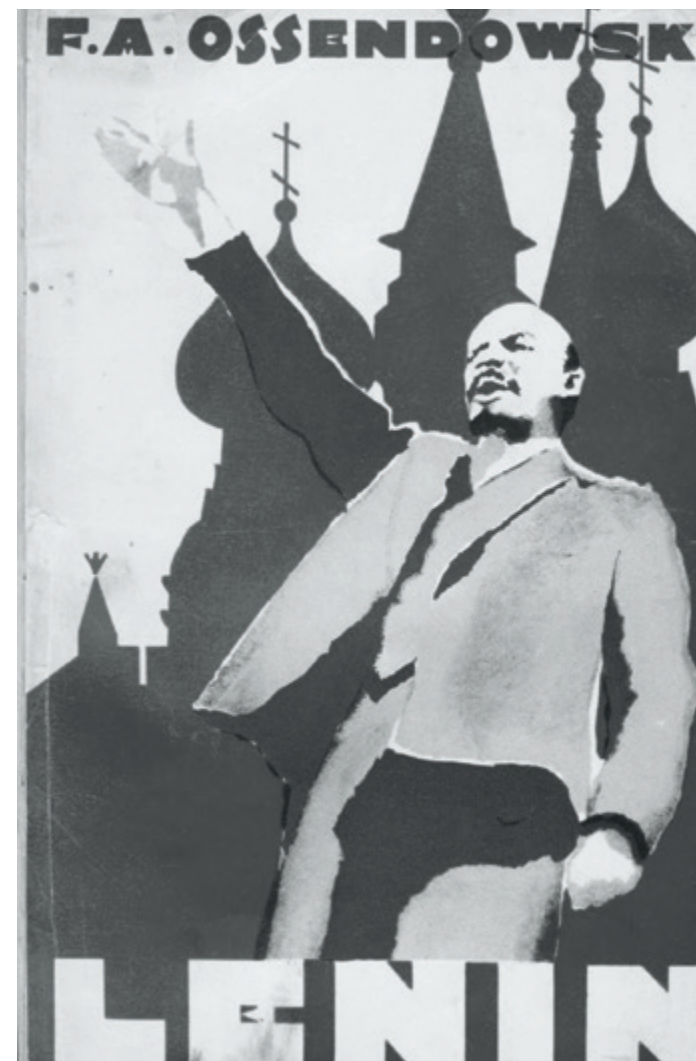
Ograniczenia administracyjne nie przyniosły jednak zamierzonych skutków, kolejne nakłady *Lenina* pojawiały się na księgarskich półkach i natychmiast były wykupywane. Siłę oddziaływania

książki zwielokrotniały przedruki jej obszernych fragmentów, najczęściej zawierających opisy zbrodni sowieckich, pojawiające się w popularnych gazetach i czasopismach. Jej obszerne fragmenty czytane były przez wybitnych aktorów na antenach rozgłośni radiowych, rozpalając w głowach słuchaczy obrazy czerwonego terroru, jaki rozpętali Sowieci. Słowa Ossendowskiego zdzierały propagandowe maski, które miały zasłonić prawdziwe oblicze sowieckiego reżimu i jego twórcy.

Skuteczność pisarza w rozbijaniu fałszywych narracji, jakimi komuniści karmili zachodni świat, brała się z prostoty jego przekazu. Ossendowski nie wdawał się w ideologiczne dywagacje. On był jak dziecko z baśni Andersena o szatach cesarza. Mówił o tym, co widzi, a skoro widzi człowieka o tatarskich rysach, pół Mongoła, potomka dzikich barbarzyńców, to tak właśnie go portretował i odtąd każdy, kto przeczytał tę charakterystykę, nie był już w stanie zobaczyć w Leninie wrażliwego intelektualisty, tylko potomka dzikich mongolskich chanów, którzy przez wieki niewolili rosyjski lud.

Lenin to książka, której autor potrafił w sposób niezwykle przenikliwy zobaczyć i opisać fenomen bolszewickiego przywódcy, zasłaniającego się pięknymi frazesami, rzekomą troską o biednych i wykluczonych, a w rzeczywistości realizującego bezwzględny plan zdobycia władzy, najbrutalniejszy chyba od czasów mongolskich najeźdźców. Ossendowski widział jak rewolucja rozpalała emocje prostych ludzi i prowadziła ich do walki, w której niszczyli nie tylko stary porządek, ale także szanse na jego poprawienie, bo na zgłiszczach ledwie upadłej carskiej Rosji budowali od razu gmach nowej, komunistycznej despotii. Lenin przez lata mierzył się z aparatem opresyjnego państwa, wiedział więc, jak zbudować własną dyktaturę, by nikt nie mógł się jej przeciwstawić, by bunt przeciw niej był niemożliwy nawet do pomyślenia.

Ambicja Lenina nie ograniczała się jednak do zrzucenia z tronu cara i przejęcia władzy nad jego wielkim imperium. To miało być tylko zarzewie ogólnoswiatowej rewolucji. Jego głównym celem było podbicie całego świata. Wiedział, że nie ma tyle sił i zasobów, żeby dokonać tego militarnie, jako sposób walki wybrał więc działania propagandowe. Ossendowski doskonale rozumiał mechanizmy manipulacji, jakie stosowali bolszewicy, by oszukać wszystkich co do istoty swoich zamierzeń. Opisując organizację bolszewickiej propagandy, ostrzegał, że będzie ona „skierowana na zdyskredytowanie patriotyzmu, nacjonalizmu, religii i kultu przez zdemoralizowaną lub przekupioną prasę, która zatem zdemoralizuje armię i partie (klasy społeczne) i obali rządy”. Jakże aktualne są te metody także dzisiaj.



Okładka książki *Lenin*
Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego

AFRYKAŃSKA PODRÓŻ POŚLUBNA

Podróż swoją rozpocząłem
od Hiszpanii.

– Dlaczego? – pytają mnie moi
czytelnicy. Dlatego, że jak się
wyraził znakomity francuski
pisarz Frédéric Léfèvre –
nie można zrozumieć Afryki
arabskiej bez zrozumienia
Hiszpanii – tego progu historii
i cywilizacji mauretańskiej.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Po szerokim świecie

W latach dwudziestych poprzedniego stulecia kraje Magrhebu nie były jeszcze popularnym kierunkiem wyjazdów wakacyjnych. Tym bardziej nikt nie myślał o Afryce Północnej jako destynacji odpowiedniej na podróż poślubną. Nikt poza Ferdynandem Ossendowskim, który wiedział, że podróż do Algierii, Tunezji i Maroka uszczęśliwi jego świeżo poślubioną małżonkę.

Pani Zofia nie była szczególną wielbicielek krajów położonych pomiędzy Morzem Śródziemnym i Atlantykiem a Saharą, ale bardzo pragnęła odwiedzić francuskie posiadłości zamorskie, aby spotkać się ze swoim starszym, jedynym żyjącym, synem. Liczyła, że przekona go do porzucenia służby w Legii Cudzoziemskiej i przyjazdu do Polski. Podróży nie można było odkładać, bo jego trzyletni kontrakt dobiegał właśnie końca i obawiała się, że zaciągnie się jako najemnik na kolejne lata. Była przekonana, że francuskie władze kolonialne chętnie uczynią uprzejmość jej mężowi, znanemu na świecie pisarzowi i zwolnią ze służby jego pasierba. Czymże bowiem była utrata jednego żołnierza, wobec propagandowych korzyści, które mogły im przynieść artykuły sławnego podróżnika, przedstawiające w korzystnym świetle misję cywilizacyjną Francji na Czarnym Lądzie? Pani Ossendowska obawiała się, że większym wyzwaniem okazać się może spłacenie hazardowych długów jej syna w kasynach Casablanki, Marrakeszu i Fezu.

Państwo (nie)młodzi wiele lat czekali, by się pobrać, podróż poślubną zaplanowali więc z rozmachem. Ich miesiąc miodowy miał trwać... sześć miesięcy. Nie było wówczas jeszcze tanich linii lotniczych dolatujących do Agadiru, Tunisu czy na Dżerbę, swoją poślubną eskapadę rozpoczęli więc na warszawskim dworcu głównym, skąd wyruszyli na Półwysep Iberyjski.

Hiszpania i dziś jest bardzo popularnym kierunkiem wyjazdów zakochanych par, pragnących wspólnie rozkoszować się urokami Costa Brava, Costa Blanca czy Costa Dorada. Ossendowskiemu przyświecały jednak zupełnie inne motywacje. Andaluzyja miała być miejscem ich aklimatyzacji przed zanurzeniem się w rozgrzany Czarny Ląd. Nie chodziło przy tym jedynie o przyzwyczajenie się do wysokich temperatur i prażącego słońca, ale przede wszystkim o „aklimatyzację kulturową”.

Frédéric Léfèvre, francuski podróżnik i filozof, był wielbicielem twórczości Ossendowskiego, a szczególnie zachwycił się jego wyjątkową metodą pisarską. Uważał, że polski pisarz nie tworzy klasycznych książek podróżniczych czy reportaży, a specjalizuje się w „geografii dusz i serc ludów”. Polski podróżnik podkreślał, że do poznania tych dusz i serc ludów z innych części świata musi się odpowiednio przygotować i dlatego każdą wyprawę rozpoczyna od długiego pobytu w bibliotece, by poznać miejsca, które zamierza odwiedzić.

Odpowiednio przygotowany, chłonał obrazy, zapachy, historie odwiedzanych miejsc. Był zafascynowany Andaluzją. Wędrując od Toledo do jej morskich wybrzeży spotykał niezatarte – pomimo wielowiekowej dominacji kultury chrześcijańskiej – ślady wspaniałej cywilizacji arabskiej. Uważał jednak, że jeszcze bardziej niż w architekturze i sztuce, czas panowania królów mauretańskich odcisnął swoje piętno w ludziach, ich obyczajach, wierzeniach, tańcach oraz muzyce. Słuchał opowiadań hitan-tan-cerek hiszpańsko-cygańskich, poznawał przesady tego wędrownego ludu, jego zaklęcia i tajemnicze mikstury. Był przekonany, że dotarły one na Półwysep Iberyjski z głębokiej Afryki, która odziedziczyła je po starożytnych ludach Azji, Mezopotamii, Egiptu, a może nawet po mitycznych Atlantach.

Półwysep Pirenejski uważał za wrota do Czar-nego Łądu, bez przejścia przez które nie da się go zrozumieć. „Nie zdołałbym wchłonąć w siebie ducha Afryki – pisał w notatniku z podróży – jeśli nie poznałbym najbliższej wysuniętej jej placówki – Hiszpanii”. Uważał, że kraj ten bardziej przynależy do kontynentu afrykańskiego niż europejskiego.



Ferdynand i Zofia Ossendowski
nad mapą Afryki

BIAŁY CZAROWNIK

Podczas jednego sądu nad ludożercami nikt z nich nie zaprzeczał temu, że zabili kilka osób i zjedli je całkowicie lub częściowo, lecz objaśniali sędziom, że od czasu, gdy zostali zamienieni w pantery, wszyscy ludzie przyjęli w ich oczach postacie antylop.

Matki pod wpływem namów czarowników nieraz zabijają swoje niemowlęta i zjadają je, dzieląc się ich mięsem z sąsiadami. Niektóre szczegóły opowiadane mi w Gwinei dowodzą, że misterium to w założeniu swoim przypomina bardzo komunię w kulcie chrześcijańskim.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Czarny Czarownik. Relacja z wyprawy do Afryki 1926 r.

W 1926 roku państwo Ossendowsky wyruszyli w kolejną podróż po Afryce. Tym razem ich trasa wiodła z Konakry, stolicy ówczesnej Gwinei Francuskiej, przez Górna Woltę i północną Nigerię, do jeziora Czad, potem znów na południe, wzdłuż płynącej ku temu jezioru rzeki Szarii, a na koniec przez Kongo Francuskie do wybrzeży Oceanu Atlantyckiego, choć zakładano, że ostatni odcinek może mieć też inny przebieg i prowadzić przez Gao, Timbuktu i Saharę do oazy Figuig i granicę algiersko-marokańską.

W niewielkiej książeczce *Czarny Czarownik. Relacja z wyprawy do Afryki 1926 r.*, Ossendowski opisał swoje obserwacje antropologiczne, jakie zgromadził dzięki kontaktom nawiązanym z rodzimymi mieszkańcami Czarnego Łądu. Szczególne zainteresowanie podróżnika budziły afrykańskie zabiegi magiczne, rytuały inicjacyjne oraz wierzenia i obrzędy animistyczne. Sporo miejsca poświęcił szamanom, którzy cieszyli się ogromnym autorytetem wśród mieszkańców afrykańskich wiosek.

Pisarza irytowała łatwowierność i ślepe zaufanie, jakim lokalna społeczność darzy swoich kapłanów i czarowników. Pisał, że ludożerstwo, które najbardziej oburza kolonizatorów, nie jest wcale formą zaspokajania głodu, ale zawsze ma silny „podkład religijno-mistyczny”. Czarownicy uważają, że plagi czy choroby są wynikiem gniewu bóstwa, który powściągnąć można, składając mu krwawą ofiarę. Podróżnik opisał rytuał polegający na tym, że czarownik wzywa wybranych członków wspólnoty, by nocą zjawili się w określonym miejscu dżungli, tam daje im odurzający napój, a gdy ten zaczyna działać, ofiarowuje wszystkim żelazne pazury, mówiąc, że odtąd są panterami, a inni ich współplemieńcy to antylopy, i wskazuje kogo mają rozszarpać. Wspominał, że na wyspie Tamara (Fotoba) z archipelagu Los u wybrzeży Gwinei odwiedził więzienie, w którym przebywało około dwudziestu kobiet-panter skazanych na wieloletnie ciężkie roboty za ludożerstwo polegające na zjedzeniu własnych dzieci.

Francuska Afryka Zachodnia w obserwacjach Ossendowskiego to tajemnicza kraina przepełniona magią. Przypatruje się jej oczami przybysza z odległego, cywilizowanego świata. Mieszkańców Czarnego Łądu postrzega jako szlachetnych dzikusów, którzy dzięki światłemu wpływowi administracji kolonialnej oraz działalności edukacyjnej misji katolickich mogą zostać podniesieni na wyższy poziom rozwoju. Jego wyprawa to romantyczna podróż w głąb nieznanego kontynentu, ale także w głąb legend, mitów i wierzeń pierwotnych ludów Afryki.

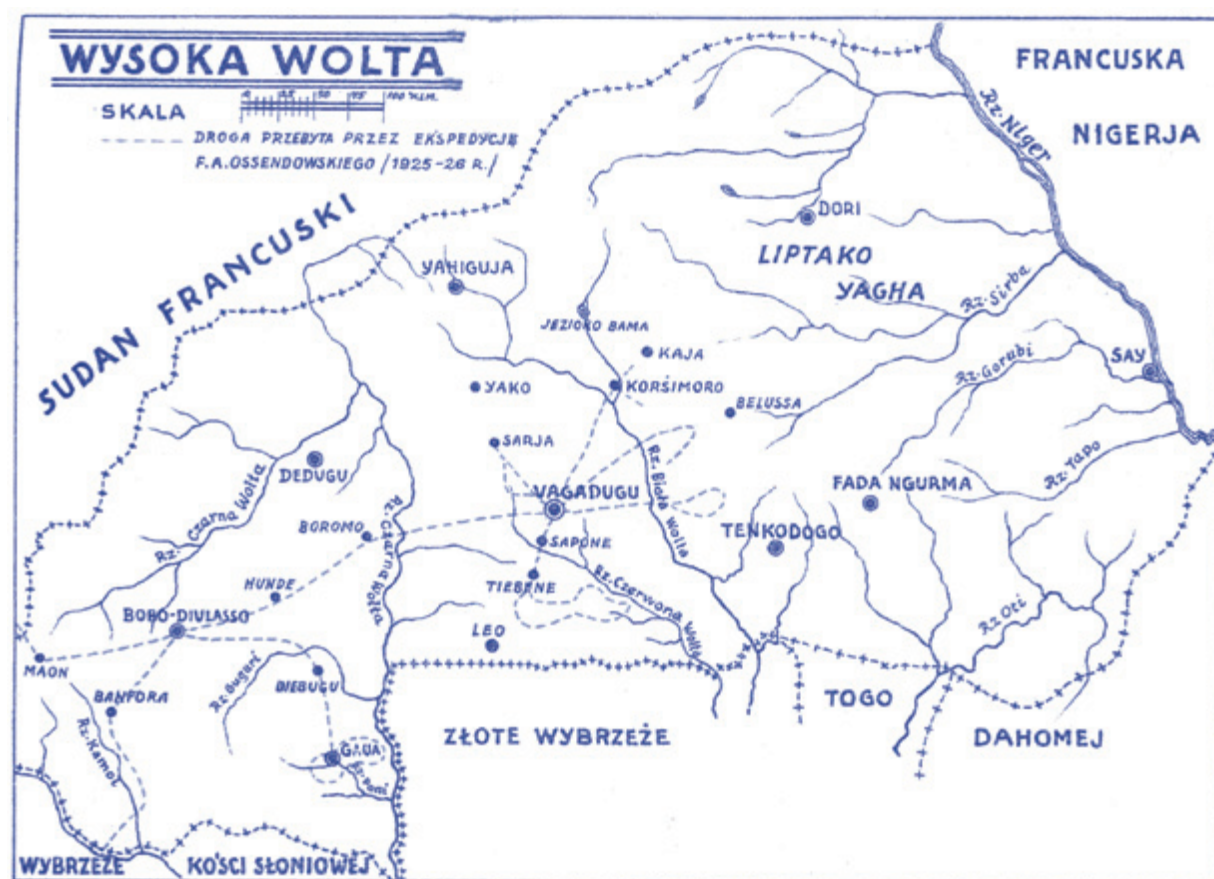
Afrykańska relacja Ossendowskiego przez współczesnych jemu odbierana była jako niezwykła powieść fantastyczna, opowiadała im o krajach, plemionach i całych światach, o których istnieniu ówcześni czytelnicy nie mieli pojęcia i chyba nie całkiem dowierzali, że one naprawdę istnieją. Dziś książkę tę czytamy jak wyjątkowe świadectwo

doświadczenia spotkania z Innym – tak światem, jak i człowiekiem – i zupełnego zadziwienia jego innością. Takie doświadczenie możliwe było jeszcze w czasach kolonialnych, dziś, w epoce postkolonialnej, gdy najodleglejsze zakątki Ziemi zwiedzamy po ściśle zaplanowanych trasach, przemieszczając się klimatyzowanymi pojazdami, mając zagwarantowane regularne posiłki i noclegi w hotelach, takie spotkanie jest już dla nas zupełnie niedostępne.



Ilustracje z książki
Czarny Czarownik
Ferdynanda Antoniego
Ossendowskiego

DAWNI LUDZIE, NASI BRACIA



Droga przebyta przez ekspedycję
Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego
1925-1926

Szympansy gwinejskie, jak również i w innych koloniach, są przeznaczone wyłącznie dla Instytutu Pasteura, gdzie uczeni robią na nich doświadczenia, pomagające w walce z najstraszliwszymi chorobami. Małpy te są więc męczennikami, cierpiącymi i umierającymi dla dobra ludzkości. Być może wiedzą one, że są najbardziej do ludzi podobne i że właśnie z tego powodu za ludzi muszą umierać?! Być może, że dlatego mają tak bezbrzeżnie smutne, prawie tragiczne oczy...

Murzyni nazywają szympansy „starymi” lub „dawnymi ludźmi”, nie zabijają ich i nie jedzą ich mięsa; rozróżniają wśród nich małpich królów; twierdzą, że szympansy mogą mówić, lecz nie chcą, gdyż wiedzą, że jeżeli przemówią, ludzie natychmiast zmuszą je do pracy.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Niewolnicy słońca

Małpy, a zwłaszcza szympany, fascynowały Ossendowskiego. Podczas swej afrykańskiej wyprawy wiele czasu spędził, obserwując ich zachowania w naturalnym środowisku. Przyglądał się temu, jak przeżywają i wyrażają emocje, jak troszczą się o siebie, jak współdziałają i funkcjonują w grupie. Obserwacje doprowadziły go do konstatacji, że szympany w istocie niewiele różnią się od ludzi, a od niektórych tubylczych szczepów zamieszkujących niedostępną dżunglę afrykańską nie różnią się niemal wcale.

Pisarz relacjonował legendy tubylców uważających szympany – nazywane przez nich „dosi” – za ludzi pierwotnych. Przytaczał także wypowiedzi swoich lokalnych przewodników, dowodzących, że „dosi” tak naprawdę są ludźmi, ponieważ budują sobie domy w koronach rozłożystych drzew, konstruują je ze splecionych, suchych gałęzi i trawy, a dla ochrony przed słońcem i deszczem wykonują daszki ze strzechy. Pisał, że osiedla szympansów oglądane z oddali wyglądają zupełnie jak wioski tubylców, tyle że zbudowane na drzewach, a nie na ziemi. Podobieństwa te stały się dla podróżnika jeszcze bardziej oczywiste, gdy dowiedział się o leśnych szczepach żyjących nad zbierającymi okresowo rzekami, budujących sobie, podobne do szympansich gniazd, domy na odsłoniętych korzeniach mangliowców.

Ossendowskiemu imponowała organizacja małpiego stada, którym zarządzał małpi król. Zadania w społeczności były ściśle podzielone, a jej poszczególni członkowie podejmowali działania służące całej wspólnotie. Tak było przy organizowaniu napadów na plantacje afrykańskich rolników, z którymi małpy staczały prawdziwe bitwy. Podobnie gdy chodziło o nocne bezpieczeństwo małpiego obozu: nad spokojnym snem całego stada czuwali wyznaczeni do tego strażnicy, którzy, aby nie zasnąć, przez całą noc wisieli na gałęziach, trzymając się tylko jedną „ręką” i obserwując, czy wąż lub lampart nie zamierza porwać jakiejś śpiącej małpy.

W miejscowości Kindja, położonej wśród gór Futa-Dżalon, podróżnik planował zwiedzić funkcjonujący tam oddział Instytutu Pasteura, jednak ze względu na krótki postój pociągu, ograniczyć się musiał do rozmowy z jego dyrektorem, który opowiedział mu o wykorzystywaniu małp do badań nad leczeniem gruźlicy. Ossendowski był poruszony raportami o badaniach, w trakcie których w jednej klatce zamykano trzy małpy: jedną zaszczepioną, drugą zarażoną wirusem gruźlicy oraz trzecią, zupełnie zdrową, i obserwowano, jak pojawiają się u nich kolejne objawy choroby prowadzącej do śmierci niezaszczepionych małp. Nazywał te małpy „męczennicami za ludzkość” i uważał, że szympansom, którym zabrano życie, by uchronić nas przed chorobami, należy się specjalny pomnik, będący dowodem ludzkiej wdzięczności za ich poświęcenie i nasze ocalenie.

Najbardziej przejmujący był opis polowania na małpy, jakiemu przyglądał się podczas swojej podróży po Francuskiej Afryce Zachodniej. Aby zorganizować zasadzkę na pawiany i szympany, czarnoskórzy chłopcy wycięli w dżungli polanę, na której zasiali maniok, bataty i inne rośliny, które małpy rabowały z ich pól. Gdy zwierzęta pojawiły się na śródleśnej plantacji, zostały okrążone przez ludzi, którzy strzelali do nich z broni palnej i łuków, mordowali je także pałkami, dzidami i maczetami. Ossendowski, który był zapalonym myśliwym, widząc tę barbarzyńską jatkę, podczas której wymordowane zostało całe stado, przyrzekł sobie, że nigdy nie będzie polował na małpy.

Z podobnej zasadzki, zorganizowanej przez afrykańskich chłopów na pawiany i szympany pustoszące ich uprawy, ocalona została mała szympansiczka. Państwo Ossendowsky otrzymali ją w prezencie podczas odwiedzin u goszczącej ich rodziny francuskiego urzędnika kolonialnego. Nazwali małpkę Kasia i przez czternaście miesięcy, zarówno podczas afrykańskiej eskapady, jak i po powrocie do Warszawy – praktycznie się z nią nie rozstawali. Obserwowanie zachowania małpki doprowadziło pisarza do stwierdzenia, że swoją inteligencją, uczuciowością i posłuszeństwem w pełni sobie zasłużyła na określenie jej mianem „małego, niemego człowieczka”, skąd tylko jeden krok – jak sam przyznał – do uznania szympansów za ludzi pierwotnych. Wielokrotnie przywoływał małpkę na kartach swoich książek, zachwycając się jej inteligentnymi zabawami, przemyślnymi pomysłami, nabywaniem kolejnych sprawności, a przede wszystkim umiejętnością okazywania emocji.

Kasia stała się niemal członkinią rodziny Ossendowskich, zastępowała im chyba wspólne dziecko, którego nie mogli już mieć. Niestety polski klimat okazał się dla niej niezbyt łaskawy, a może stres oderwaniem od naturalnego środowiska zbyt silny, bo po czternastu miesiącach spędzonych z przybranymi „rodzicami”, małpka umarła.

Ossendowski często o niej wspominał w swoich wydawnictwach, uczynił ją także bohaterką obszernej książki dla dzieci *Życie i przygody małpki*, napisanej w formie jej pamiętnika. Przed wojną znały ją chyba wszystkie polskie dzieci, bo stała się pierwowzorem tytułowej bohaterki trzech opowieści rysunkowych napisanych przez przyjaciela pana Ferdynanda, Kornela Makuszyńskiego, a zilustrowanych przez Mariana Walentynowicza, w których występowała jednak pod swoim pseudonimem: *Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki, Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta, ten się śmieje* oraz *Na nic płacze, na nic krzyki, koniec przygód Fiki-Miki*.



Szympanśica Kasia z opiekunką

POLOWANIE Z KAMERĄ



Ferdynand Ossendowski podczas ekspedycji do Gwinei w 1926 roku

Pierwszy polski film egzotyczny został wykonany podczas mojej wyprawy do Zachodniej Afryki podzwrotnikowej w latach 1925-1926. [...] Nie wstrzymywały nas od zdjęć ani ponure i groźne dni, gdy wichurki z Sahary obłoki czerwonego piasku, ani zasłaniające niebo czarne dymy płonącej dżungli, ani krzyżujące się blaski odbitych od ruchomej powierzchni rzek promieni słońca.

Antoni Ferdynand Ossendowski
Polskie Radio, 29.09.1927

Pan Ferdynand był zapalonym myśliwym i bardzo ubolewał, że podczas wyprawy do Francuskiej Afryki Zachodniej nie może w pełni oddać się swej łowieckiej pasji. Tym razem od tradycyjnego polowania, ważniejsze było jednak polowanie z kamerą. Z afrykańskiej wyprawy przywieźć chciał przede wszystkim fotografie i filmy przedstawiające dziką, afrykańską przyrodę. Za przygotowanie odpowiednich zdjęć i filmów odpowiadał specjalny członek ekspedycji, Jerzy Giżycki, któremu Ossendowski sfinansował nawet udział w specjalnym kursie fotograficznym, żeby być pewnym dobrych efektów jego pracy.

Niestety okazał się niezbyt pojętnym uczniem, bo jakość wykonanych przez niego zdjęć była bardzo niska. Kierownik ekspedycji zarzucał mu, że słabe efekty jego pracy nie wynikają wcale z nieodpowiednich kwalifikacji, ale przede wszystkim z braku zaangażowania. Nie potrafił jednak wpłynąć na zmianę postawy nieudolnego operatora i o pomoc w rozmowach z nim poprosił żonę. Jej pośrednictwo także nie przyniosło efektów, o czym tak pisał Ossendowski: „Poważna rozmowa Zochny z panem Jerzym Giżyckim. Z tej rozmowy wnioskuje, że jest snob, mumia, człowiek dnia wczorajszego, który marnie zginie i nikt go żałować nie będzie. No ale trudno! Zrobiłem głupstwo, że wziąłem nieodpowiednich ludzi, ale wytrwać muszę i wyprawę dokończyć”.

Giżycki z kolei uważał, że to zła organizacja ekspedycji przez jej kierownika jest głównym powodem problemów. Żalił się, że Ossendowski, podczas jednego ze swych licznych wybuchów, pozbawił go trójnogu od kamery, a bez tego nie miał możliwości ustabilizowania obrazu i nakręcenia ujęć filmowych odpowiedniej jakości. Tłumaczył, że nadmierne zadymienie filmów wynikało przede wszystkim z bardzo szybkiego tempa podróży oraz fatalnej organizacji wyprawy, a przede wszystkim z zabrania na nią żony kierownika: „Spędzaliśmy długie tygodnie w wielkich centrach, jak Konakry (stolica Gwinei) czy Bamako (stolica Mali). Łądem przenosiliśmy się szybko z miejsca na miejsce, tracąc drogocenny czas na nieskończone aperitify i wystawne śniadania u administratorów. Wobec odmowy pani Ossendowskiej wczesnego wstawania wyruszano w kolejny etap o wiele za późno, wbrew wszelkiej logice i radom miejscowych”.

Znacznie lepiej ze swoich zadań wywiązał się natomiast Kamil Giżycki, niespokrewniony z Jerzym, który odpowiadał za preparowanie trofeów myśliwskich, a także afrykańskich ptaków, gadów i płazów, które stanowić miały ozdobę kolekcji warszawskiego muzeum etnograficznego. Jemu właśnie udało się to, o czym marzył Ossendowski – spotkanie oko w oko ze słoniem, co tak opisywał podróżnik: „Zwierzęta

wyszły z kniei wprost na p. Kamila, lecz on, chociaż miał w ręku polski karabin, pozostając wierny naszej zasadzie „lepszy film od kuli”, porwał za automatyczny aparat kinematograficzny „Ica” i sfilmował olbrzymą”.

Mimo zastrzeżeń do pracy operatora, Ossendowski był przekonany, że przywozi do kraju cenne materiały fotograficzne i filmowe. Opinia ta została jednak szybko zweryfikowana. Reprezentująca Spółkę Akcyjną Przemysłu Kinematograficznego Helena Rozenfeld zawarła co prawda z nim umowę i za dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich na pniu zakupiła na trzy lata prawa do eksploatacji negatywów z afrykańskiej wyprawy, jednak kilka miesięcy później, po ich wywołaniu i zweryfikowaniu, umowę wypowiedziała. Okazało się, że większość materiałów fotograficznych była tak niskiej jakości, że nie przedstawiała żadnej wartości komercyjnej. Z publikowania afrykańskich zdjęć wycofał się także wydawca nowo powstałego tygodnika ilustrowanego „Od A do Z”. Nie była nimi również zainteresowana Wytwórnia Filmowa ARGUS, której przedstawiciel wskazał, że nie przedstawiają one niczego interesującego i „nie nadają się do eksploatacji”. Winą za to obarczany był oczywiście nieudolny operator Jerzy Giżycki, który wykazał się „nieznajomością najelementarniejszych zasad operowania aparatem”, ale nie poprawiło to nastroju i finansów Państwa Ossendowskich.



Ilustracja z książki *Afryka – kraje i ludzie* Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego

W PAŁACU AFRYKAŃSKIEGO KRÓLA



Król Moro-Naba odwiedzający
komendanta Uagadugu

W upalne południe 11 maja 1926 roku przybyliśmy wraz z gubernatorem samochodami do pałacu króla. Wszystkie bramy były na oścież otwarte. Przy nich oczekiwali nas: komendant pałacowy Balum-Naba; naczelnik straży przybocznej Samande-Naba oraz kierownik królewskiego tam-tamu Binde-Naba w otoczeniu tłumu sług, griotów, niewolników i gapiów z rynku. Wjeżdżamy na obszerne podwórze i zatrzymujemy się przed otwartą werandą jednopiętrowego, murowanego pałacu Moro-Naby. Na werandzie ujrzelismy około trzystu osób otaczających wspaniałą postać władcy Mossi.

Nadmiernie otyły, czterdziestopięcioletni Moro-Naba o gładko wygolonej, majestatycznej twarzy z wybitnie grubymi wargami, czarną skórą i spokojnym wyrazem piwnych, jak gdyby zamglonych oczu, miał na sobie szeroki i długi, purpurowy aksamitny płaszcz, a na potężnej głowie przeszywaną złotem fioletową czapeczkę. Zbliżył się do stopni werandy, witając nas wyrazistym, dostojnym ruchem ręki.

Ferdynand Antoni Ossendowski
*Niewolnicy słońca. Podróż przez zachodnią połąć
Afryki Podzwrotnikowej w 1925/1926 r.*

W czasie, gdy ekipa Ossendowskiego odwiedzała króla Moro-Naba, w Warszawie trwały ostatnie przygotowania do zamachu stanu, który rozpoczął się następnego dnia. Afrykańska perspektywa pokazywała, jak krótkie i nietrwałe są nasze ustroje, państwa i granice. Cesarstwa, królestwa i republiki pojawiały się na mapie Europy i znikwały z niej jak puzzle, by za chwilę pojawić się w zupełnie nowych układach i konfiguracjach. Tymczasem królestwo Mossi trwało od XIII wieku, a jego granice były niezmiennie od 400 lat. Ówczesny władca był już 32. królem z dynastii Moro-Naba, wybieranym według tego samego, powtarzanego od stuleci rytuału przez radę najwyższą, w skład której wchodził wówczas: minister wojny Tapsoe-Naba, dowódca kawalerii Uidi-Naba, kapłan Ziemi Gunga-Naba, a także minister mogił królewskich, minister bram pałacowych, główny intendent pałacu, naczelnik eunuchów, naczelnik wróżbitów, czarowników i fabrykantów fetyszów oraz starosta najdawniejszych autochtonów, Minissisów.

Podróżnik notował, że przebywając w Uagadugu, czuł się tak, jakby przejście kilku kroków przenosiło go w czasie i przestrzeni. Z jednej strony przyglądał się żywiołowemu ruchowi na stołecznej ulicy, gorączkowej pracy w składach bawełny, elektrowni, warsztatach samochodowych, sklepach i urzędach. Z drugiej natomiast miał do czynienia z bezruchem królewskiego dworu, jakby ten zatrzymał się w jakiejś odległej epoce. Władca codziennie rano powtarzał rytualne czynności swojego przodka sprzed stuleci, który, porzucony przez żonę, miał wyruszyć za nią w pogoń, słudzy przyprowadzali mu więc konia, on wkładał nogę w strzemię, lecz po chwili odchodził od

wierzchowca i wracał do pałacu, rezygnował z pogoni za osobistym szczęściem i poświęcał się dla swego ludu. W jednym mieście funkcjonowała administracja kolonialna nowoczesnej Wspólnoty Francuskiej, w przykościelnej szkółce uczono dzieci czytania i pisanie, higieny i podstawowych reguł medycyny, natomiast w pałacu u podnóża tronu godzinami siedzieli naśladowcy kobiety paziowie o trefionych włosach, a w haremie czekało na władcę kilkanaście leciwych żon, które odziedziczył po swoim poprzedniku.

Książka *Niewolnicy słońca* pojawiła się na półkach brytyjskich księgarni jesienią 1927 roku, wydana została przez londyńskie wydawnictwo Alle and Unwin, a niemal równocześnie ukazała się po polsku, przygotowana w poznańskim Wydawnictwie Polskim R. Wegnera. Ossendowski mógł poczuć się wreszcie doceniony i usatysfakcjonowany, bo krytyka zachwycała się nią, uważając ją za „najdojrzalsze dzieło pisarza”. Publicysta „Wiadomości Literackich”, Paweł Hulka-Laskowski, pisał, że jest ona „bogata zdobyczą naukową i filozoficzną, podaną czytelnikowi w wytwornej szacie artystycznej”.

Książka doceniona została także zagranicą. George Bernard Shaw w „Review of Reviews” napisał, że „polski autor wprowadził do literatury nowy powiew, łącząc wspaniałą fantazję pisarską z głęboką wiedzą, poczuciem artystycznej miary i humanitarnym duchem Zachodu”. Francuski recenzent podsumował natomiast lekturę opinią: „Jeżeli Ossendowski przeżył lub widział to wszystko, co opisuje, należy mu się nagroda wszystkich towarzystw geograficznych, jeżeli zaś utwory są dziełem wyobraźni, powinno mu się przyznać Nagrodę Nobla”.

KARTKI PANA FERDYNANDA



Okładka książki *Niewolnicy słońca*
Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego

W PAŁACU AFRYKAŃSKIEGO KRÓLA

SOKÓŁ PUSTYNI



Scena z filmu
Głos pustyni

Przez naga, kamienistą pustynię posuwała się mała karawana podróżników. Dwanaście wielbłądów, wyciągnawszy długie szyje i wparłszy w daleki horyzont męczeńskie, błagalne oczy, kroczyło jeden po drugim, niby sznur lecących żurawi.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Sokół Pustyni

Na początku lat dwudziestych poprzedniego stulecia bożyszczem kobiet na całym świecie stał się Rudolf Valentino, najsławniejszy aktor epoki kina niemego. Wizerunek amanta i męskiego idola kultury masowej zawdzięczał tytułowej roli jaką zagrał w filmie *Szejk* (z 1921 roku). Jego bohater był uosobieniem romantycznego i namiętnego kochanka, który jako pustynny jeździec pojawia się znikąd, ratuje kobiety z opresji, a one zakochują się w nim bez pamięci, gotowe porzucić komfortowe życie, by podążyć za ekscytującą, romantyczną miłością. *Szejk* uważany jest za jeden z najważniejszych filmów w historii kina, przebojem kasowym stał się natomiast jego sequel – *Syn szejka* (z 1926 roku). Valentino wcielił się w nim w postać starego szejka, którego przybrany potomek zakochał się w córce herszta bandy pustynnych rozbojników. Niestety to love story nie zakończyło się happy endem, bo młodzieniec posądzal dziewczynę o zdradę i posiadał ją siłą, a gdy się okazało, że była niewinna, nie potrafił sobie poradzić z dręczącymi go wyrzutami sumienia i popełnił samobójstwo.

Sukces kasowy amerykańskiej produkcji sprawił, że polscy filmowcy postanowili zrealizować podobne dzieło. Z pomysłami fabularnymi nie było problemu, bo Ossendowski napisał już kilka „romansów egzotycznych”, doskonale nadających się do sfilmowania. Najpopularniejszym był *Sokół Pustyni*, opowiadający o tajemniczym jeźdźcu w czarnym burnusie, który na śnieżnobiałym koniu przemierza bezkresne przestrzenie. Nie należy on do żadnego z pustynnych ludów, nie jest Arabem, Berberem ani Tuaregiem, ale wszyscy nomadzi darzą go wielkim szacunkiem, a mówią o nim z przestachem. Nazywają go Sokółem Pustyni, bo przed jego sokolim wzrokiem nie ukryje się żadna zbrodnia i niegodziwość popełniona wśród piasków Sahary. Szczególnie bezwzględny jest wobec tych, którzy niewolą kobiety, porywając je dla okupu czy do haremów bogatych szejków. Kanwą opowieści jest pościg bohatera za karawaną syryjskich kupców, którzy porwali młode turystki z Francji, Wielkiej Brytanii, Danii, Szwecji i Stanów Zjednoczonych, by sprzedać je do haremu. Jednak to nie żadna z pięknych blondynek, a Irena, studentka archeologii, przebywająca w Algierii na wykopaliskach, zawróciła w głowie pustynnemu watażce. Plany wobec niego ma jednak inna kobieta, Tantis, potężna kapłanka kartagińskiego kultu bogini Izdy, która ostrzega młodą Polkę, by nie wchodziła jej w drogę. Ryzyko jednak tylko pobudza zainteresowanie studentki Sokółem z Sahary.

Popularność książki spowodowała, że zainteresowało się nią kino. Za sześć tysięcy złotych (płatne w ratach) Wytwórnia Filmów Dźwiękowych B.W.B. zakupiła prawa do ekranizacji powieści wraz ze zgodą na daleko idące modyfikacje fabuły, których dokonać miał jednak sam autor. Ossendowski znacznie zmienił scenariusz w stosunku do powieściowego

pierwowzoru. Głównym bohaterem uczynił groźnego i krwawego szejka Abdullaha, który ukrywa się w niedostępnej górskiej twierdzy zwanej Sokolim Gniazdem, skąd rabował kupieckie karawany. Gubernator prowincji nakazał dowództwu lokalnego garnizonu, by schwytano i osądzono groźnego bandytę. Zadanie odnalezienia jego siedziby zostaje powierzone najlepszemu zwiadowcy, jakim jest sierżant Filip Milczek. Odkrywa on siedzibę szejka, ale zostaje przez niego pojmany i skazany na śmierć, egzekucja ma się odbyć po powrocie bandy z napadu na bogatą karawanę. W młodym Polaku zakochuje się jednak żona szejka, piękna Djamilla, która dostarcza mu ubranie i ułatwia ucieczkę. Zwiadowca powraca wkrótce z oddziałem wojska i przygotowuje zasadzkę na Abdullaha, szejkowi udaje się jednak zbiec z miejsca bitwy. Djamilla opuszcza swą górską fortecę, by być bliżej ukochanego. Gdy dostrzeżga Filipa w swobodnej rozmowie z turystką Jenny Burton, uznaje, że jest zdradzana i postanawia się zemścić na niewdzięcznym młodzieńcu. Informuje męża o francuskiej ekspedycji i namawia go do zorganizowania zasadzki. Gdy milkną odgłosy krwawej bitwy, Djamilla idzie na pobożowisko odnaleźć zwłoki niewiernego kochanka, nie znajduje jednak ciała Polaka, a ciało męża, szejka Abdullaha. Nad cmentarnym pobożowiskiem rozlega się rozdzierający krzyk kobiety „Allah!, Allah!, Allah!”.

W *Głosie pustyni* zagrały gwiazdy polskiego przedwojennego kina: Eugeniusz Bodo jako szejk Abdullah, Nora Ney (Sonia Najman) jako jego żona Djamilla, Adam Brodzisz jako wywiadowca Filip Milczek oraz Maria Bogda jako amerykańska turystka Jenny Burton. Film wyreżyserował Michał Waszyński, a muzykę do niego skomponował Henryk Wars. Premierowy pokaz odbył się 15 października 1932 roku w warszawskim kinoteatrze „Majestic” przy ulicy Nowy Świat 43.

Rola Ossendowskiego przy produkcji tego filmu nie ograniczała się do zaadaptowania scenariusza. Dzięki jego kontaktom z czynnikami rządowymi w Paryżu, polska ekipa filmowa uzyskała duże wsparcie od francuskich władz administracyjnych, lokalnej policji, a także dowódców oddziału spahisów i żołnierzy francuskich z Senegalu, co bardzo ułatwiło i przyspieszyło realizację zdjęć w Afryce. *Głos pustyni* wszedł na ekrany kin, produkcja odniosła sukces. Ossendowski liczył, że stanie się ona początkiem jego kariery jako scenarzysty.

POLSKIE KOLONIE ZAMORSKIE

[...] dzisiejszy czytelnik odczuwa pragnienie innej egzotyki, aniżeli ta, którą karmiła go dawniejsza literatura. Tu już nie chodzi o krajobraz ani wrażenie obcych twarzy, odmiennych zwyczajów, polowań na dzikie zwierzęta, o czary i grozę dżungli. Ta ciekawość czy tęsknota i głód egzotyki, zostały całkowicie zaspokojone przez film. Dla dzisiejszego czytelnika pasjonująca jest przede wszystkim psychologia innych, kolorowych ras i konflikty, do jakich doprowadza zetknięcie się ich z rasą białą, jej kulturą i psychiką.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Psychologia i ideologia egzotyczna



Ferdynand Ossendowski
podczas podróży do Afryki

W refleksji Ossendowskiego nad jego afrykańskimi podróżami cenne było to, że nie przywiązywał się nadmiernie do sformułowanych na gorąco przez siebie opinii i wraz z pozyskiwaniem nowych informacji modyfikował swoje stanowisko. O potrzebach czytelników książek podróżniczych oraz perspektywach, jakie stoją przed ludami Afryki w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, mówił podczas wykładu *Psychologia i ideologia egzotyczna* wygłoszonego 6 lutego 1936 roku w Sali Czerwonej Pałacu Działyńskich w ramach popularnych Wieczorów Czwartkowych.

Jak skomentowali Kazimierz Piekarczyk i Kazimierz Pluciński – autorzy tomu okolicznościowego *Wieczory czwartkowe w Pałacu Działyńskich: książka pamiątkowa wydana z okazji setnego „Czwartku” w Pałacu Działyńskich w dniu 10 marca 1938 roku* – treścią prelekcji było naświetlenie słuchaczom „zagadnienia współżycia ludzi odmiennych ras i różnych kultur i rysujący się tutaj problem uniwersalistyczny”. Szczególną wartość stanowiły osobiste doświadczenia podróżnika, który przedstawiał liczne przykłady funkcjonowania ludzi odmiennych rasowo, na terenach skolonizowanych przez białego człowieka, który nie okazał się wcale przewodnikiem wiodącym ludność rodzimą ku lepszemu życiu, ale gnębicielem, dbającym jedynie o zaspokojenie własnych potrzeb. Pisarz podkreślał, że działo się tak zarówno na terenach Syberii i Dalekiego Wschodu podbitych przez Rosję, jak i w brytyjskich koloniach w Azji, a nawet we francuskich w Afryce, o których wcześniej wyrażał się z uznaniem.

Konkluzje płynące z wywodów Ossendowskiego były smutne, jego przewidywania co do przyszłości pesymistyczne, a zdaniem sprawozdawców nawet defetystyczne. Podobnie jak inni podróżnicy, którzy osobiście przyglądali się życiu na terenie kolonii, spodziewał się, że w nieodległej przyszłości dojdzie do buntu uciśnionych, prowadzącego do kaktlizmu. Obawiał się, że może on się okazać jeszcze groźniejszy niż rewolucja bolszewicka i doprowadzić do zagłady kultury i cywilizacji białego człowieka, która przez miliony uciśnionych postrzegana jest jako niesprawiedliwa, opresyjna i ekskluzyjna, nie dająca takich samych praw i możliwości przedstawicielom innych ras, nawet na terenie ich własnych państw, które zdominowane zostały przez białych najeźdźców. Ossendowski sformułował też projekt pozytywny, który pozwoliłby ludzkości zawrócić z tej niebezpiecznej drogi, a swoją koncepcję określił jako wschodzącą i jaśniejącą ideę wszechludzkości, gdzie każdy naród korzystał będzie ze swoich bogactw, a uczciwa wymiana handlowa zastąpi grabież i eksploatację.

Zauważyć warto, że opinie wyrażane w 1936 roku przez Ossendowskiego zasadniczo różniły się od oficjalnej propagandy rządowej oraz poglądów bliskich większości polskiego społeczeństwa. Prawie milion członków liczyła wówczas Liga Morska i Kolonialna domagająca się włączenia naszego kraju do grona mocarstw kolonialnych, a wydawane przez nią czasopisma „Sprawy Morskie i Kolonialne” oraz „Morze” sprzedawały się w nakładzie 140 000 egzemplarzy miesięcznie. Jako potencjalne polskie posiadłości zamorskie wskazywano byłe kolonie niemieckie. Nawiązywano do naszych „tradycji kolonialnych” sięgających Maurycygo Beniowskiego, który starał się odtworzyć nieistniejący kraj na Madagaskarze, a także do postaci Stefana Szolca-Rogosińskiego, któremu niewiele zabrakło do osiągnięcia zbudowania takiego państwa w Kamerunie. Kolonialne ambicje realizowano także poprzez pozyskiwanie ziemi na innych kontynentach. W 1934 roku zakupiono dla Polski posiadłości ziemskie w brazylijskim stanie Parana, gdzie stworzono osiedle Morska Wola, do którego przybyli polscy osadnicy. W tym samym czasie nabyto także kilkadziesiąt plantacji na terenie Liberii, państwa stworzonego na zachodnim wybrzeżu Afryki przez czarnoskórych niewolników przybyłych ze Stanów Zjednoczonych. Transakcja ta wspierana zresztą była przez rząd Liberii, który miał nadzieję, że polskie osadnictwo w ich kraju powstrzyma zakusy mocarstw kolonialnych, a żeby zachęcić polskie władze do zaangażowania się w Liberii, miejscowy rząd zaproponował, że w razie wybuchu wojny Polacy będą mogli zrekrutować w tym afrykańskim państwie stutysięczną armię. Akcja kolonizacyjna rozpoczęła się więc pod bardzo korzystnymi auspicjami, jednak warunki klimatyczne okazały się zbyt trudne dla Polaków i idea ta szybko upadła.

Dyskusja, jaka rozgorzała po odczycie Ossendowskiego wygłoszonym w Pałacu Działyńskich pokazała, jak bardzo jego poglądy wyprzedzały swój czas. Społeczeństwa europejskie, nawet takie jak polskie, nie dysponujące własnymi posiadłościami kolonialnymi ani swoim mitem kolonialnym, nie są gotowe otworzyć się na rzeczywistą współpracę z ludźmi wywodzącymi się z innych ras i kultur. Wykładowcy Uniwersytetu Poznańskiego, jak profesor Mikołaj Rudnicki zajmujący się językoznawstwem indoeuropejskim i filologią słowiańską, polemizowali z opiniami wyrażanymi przez podróżnika, zarzucając mu, że cechuje go zbyt daleko posunięty defetyzm co do perspektyw, jakie rysują się przed białym człowiekiem na Czarnym Lądzie.

Czas pokazał jak bardzo Ossendowski miał rację – zaklinanie rzeczywistości humanitarnymi hasłami, bronienie dominującej pozycji białego człowieka oraz nieumiarkowane eksploatowanie kolonii doprowadziło do trwałego podziału świata na bogatą Północ i biedne Południe, a podział ten wciąż się pogłębia, niosąc coraz poważniejsze konsekwencje dla naszej cywilizacji, która – jak wieszczyl podróżnik – coraz bardziej zdaje chylić się ku upadkowi.



Państwo Ossendowsky z szympansiczką Kasią podczas wyprawy do Gwinei

POGROMCA CYRKU



Zwierzyniec, czyli opowieść o wędrownym cyrku Pawła Romy to jedna z najbardziej niezwykłych, ale i najtrudniejszych do zdobycia książek Ossendowskiego. Ukazała się w 1931 roku i przez prawie sto lat nie została wznowiona. Pozostaje też jednym z niewielu tekstów pisarza niedostępnych wciąż w domenie publicznej.

Pierwszy i jedyny raz *Zwierzyniec* wydany został w Poznaniu, przez Wydawnictwo Polskie Rudolfa Wegnera. Książka przygotowana została niezwykle starannie, wydrukowana na dobrym papierze, oprawiona w twardą, płócienną oprawę, ze złoceniami i zdobieniami, a jej okładkę ozdobiła piękna, ilustracja Rojana (Teodora Rożankowskiego), który przygotował także siedem barwnych kart z efektownymi rysunkami zwierząt cyrkowych, ilustrujących liczącą ponad dwieście stron treść książki. Wydawca, przygotowując publikację dla dzieci w tak eleganckiej szacie edytorskiej, zakładał zapewne, że będzie ona kupowana jako prezent dla najmłodszych.

Zwierzyniec nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei i nie stał się księgarskim bestsellerem. Książka zapewne nie przypadła do gustu rodzicom, którzy spodziewali się, że będzie bawiła dzieci opowieściami o perypetiach ludzi i zwierząt, stanowiących zespół wędrownego cyrku Pawła Romy. Być może sądzili, że Ossendowski napisał coś w konwencji *Cyrku Doktora Dolittle*, który ukazał się w Polsce kilka lat wcześniej. Byliby też bardzo zadowoleni, gdyby jego *Zwierzyniec* był podobny do zabawnego ZOO Jana Brzechwy, w którym „dzik jest dziki, dzik jest zły”, „małpy robią małpie figle”, „żółw chciał jechać koleją”, a „kangury robią w skarpetkach dziury”.

Zwierzyniec Ossendowskiego był jednak zupełnie inny. To była bardzo smutna książka. Pokazywała okrucieństwo człowieka, zamykającego dzikie, wolne zwierzęta w ciasnych klatkach i zmuszającego je – przemocą, biciem, tresurą – do bezwzględnego posłuszeństwa, wyrzeczenia się swej natury i wykonywania cyrkowych numerów, które miały bawić gromadzącą się co wieczór publiczność... zwłaszcza tę najmłodszą. Zderzenie cierpienia poniewieranych zwierząt ze śmiechem, jaki miały wzbudzać wśród publiczności, było zestawieniem robiącym piorunujące (ale i przykre) wrażenie.

Tytuł książki, kolorowe ilustracje przedstawiające zwierzęta wykonujące cyrkowe sztuczki, a nawet początek opowieści nie zapowiadały tego, co się w niej wydarzy. Wszystko zaczyna się od przyjazdu do małego miasteczka popularnego cyrku.

Wjazd przypomina wesołą paradę, pierwszy wóz cyrkowy ciągnie słoń Gustaw. Mieszkańców pozdrowia właściciel i treser Paweł Roma wraz z żoną, która także jest treserką dzikich zwierząt. Brykająca na kucyku ich dwunastoletnia córka Reginka jest natomiast mistrzynią woltyżerki. Dalej jadą kolorowe wozy z egzotycznymi zwierzętami i ptakami... zamkniętymi w klatkach. Mieszkańcy są zachwyceni, mogą na własne oczy zobaczyć lwa, tygrysa, hienę, małpy, barwne papugi, wielbłąda czy słonia.

Wrażliwi czytelnicy dostrzegą jednak, że już ten obrazek wcale nie jest tak sielankowy. Wśród zwierząt panuje jakieś napięcie, niepokój. Największe drapieżniki – lew Cezar, tygrys Bengal oraz orzeł – nie chcą jeść podawanego im mięsa, a słoń Gustaw, depta grochowiny, które są jego przysmakiem. Nikt nie szuka jednak przyczyn takiego zachowania, wszyscy wolą myśleć, że to efekt męczącej podróży, tremy przed występem albo pogody. Pracownicy cyrku nie dopuszczają nieprzyjemnych myśli, a czytelnicy wciąż mają nadzieję na miłą lekturę.

Zwierzęta zaś swoim szóstym zmysłem prze czuwają nieszczęście, które jeszcze się nie wydarzyło, ale już się zbliża. Autor zdaje się wychodzić im na przeciw, bo już pierwszej nocy, zaraz po przybyciu cyrku, w miasteczku wybucha pożar. Płonie jedna z kamienic, a czytelnicy niepokoją się o los pogorzelców, ale równocześnie oddychają z ulgą, wierząc, że to właśnie jest owo nieszczęście, które przeczuwały zwierzęta, że na tym się wszystko skończy. Dzięki strażackim umiejętnościom słonia Gustawa udaje się ugasić płonący budynek i uratować sąsiednie kamieniczki. Mieszkańcy miasteczka są wdzięczni za ocalenie, burmistrz zaprasza Pawła Romę i jego rodzinę na uroczystą kolację, a zadowolony właściciel cyrku przelicza już w myślach dochody, bo wie, że następnego dnia wielki namiot wypełniony będzie po brzegi publicznością.

Radosną atmosferę zakłócają wiadomości od opiekunów zwierząt. Drapieżniki nawet nie tknęły świeżego mięsa. Wydaje się, że ich zachowanie to jakby strajk głodowy, a postulaty to odzyskanie wolności i powrót do świata dzikiej przyrody. Na ich spełnienie nie ma jednak żadnych szans, bo – jak uświadamia narrator – „Paweł Roma, jego żona, słudzy, a nawet mała Reginka pamiętali zawsze, że dzikie zwierzęta żyją w niewoli niedługo, a w każdym razie starzejąc się, tracą swoją potulność, zapominają o posłuchu i łagodności, którą wbito w ich mózgi straszliwymi ciosami ciężkich prętów stalowych i batów rzemiennych”. Dalej zaś pisze o naturze pogromców, którzy pozbawieni są zdolności do empatycznego spojrzenia na dzikie zwierzęta, i zastanowienia się nad sposobami zaradzenia problemom, jakie stwarzają, są to bowiem ludzie obdarzeni niezwykłą odwagą i żądzą zysku. „I właśnie dlatego pogromcy zwierząt muszą się spieszyć – pisze Ossendowski – aby przed nastąpieniem tego okresu

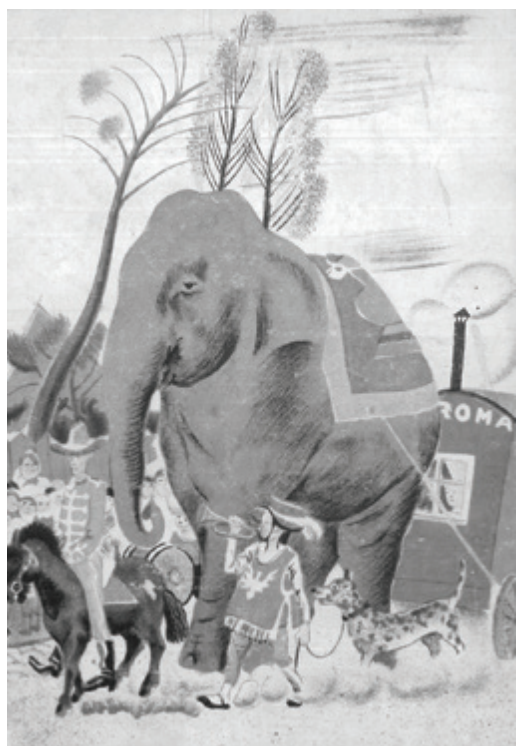
wykorzystać z pożytkiem dla siebie tresurę, posłuszeństwo i zdolności swoich dzikich artystów”.

Anna Barcz, młoda badaczka związana z Instytutem Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, w napisanym przed kilku laty artykule *Zmierzch cyrku w „Zwierzynicy” A. F. Ossendowskiego na tle rozwoju kultury cyrkowej w XIX wieku* zwróciła uwagę, że w drugiej połowie stulecia zwanego „piękną epoką” cyrk rozwinął się w masową rozrywkę, dostępną dla szerokiej publiczności. Nie powstał jednak wówczas silny nurt krytyki sztuki cyrkowej. Relacjonuje, że w literaturze światowej od schyłku XIX wieku aż po dwudziestolecie międzywojenne odwołania do sztuki cyrku przynoszą jego obraz jako fenomenu dziwnego, ale fascynującego. Badaczka docenia tekst Ossendowskiego jako mocno wybrzmiewającą, oryginalną i kompleksową krytykę cyrku, która obnaża jego anachroniczne i barbarzyńskie metody postępowania ze zwierzętami. Zwraca także uwagę na nowatorstwo pisarza, a *Zwierzyniec* uważa za przemyślaną zoocentryczną konstrukcję literacką, pozwalającą wpisać ten tekst w ramy współczesnego nurtu krytycznych studiów nad traktowaniem zwierząt. Ubolewa, że książka, z braku dostępu do jej treści, została zakwalifikowana jako literatura dla dzieci, nie pojawiły się jej aktualne recenzje oraz omówienia i jest praktycznie nieobecna we współczesnym dyskursie literackim, a tym bardziej naukowym. Podkreśla, że mogłaby ona stać się bardzo ważnym tekstem kultury, dowodzącym, że książki wpisujące się w świętujący obecnie triumfy nurt studiów nad zwierzętami powstawały już w latach międzywojennych.

Na niezwykłą wrażliwość i przenikliwość Ossendowskiego wskazują jego słowa dotyczące przyszłości cyrku. Już w 1931 roku wieszczył, że nadejdzie taki czas, gdy działalność zwierzyńców i cyrków ze zwierzętami będzie surowo zakazana przez prawo. Uważał, że rację bytu mają jedynie ogrody zoologiczne, które będą służyły wyłącznie nauce, nie zaś zabawie i rozrywce ludzi, i to tylko pod warunkiem, że będą zajmowały znaczne obszary, aby zwierzęta mogły żyć w warunkach zbliżonych do naturalnych.

Zwierzyniec pokazuje nieznane oblicze pisarza, który okazuje się nie tylko doskonałym reportażyście, świetnym obserwatorem odmiennych kulturowo ludów, bezkompromisowym krytykiem komunizmu, ale także człowiekiem o niezwyklej wrażliwości i empatii, który dostrzegał i piętnował przemoc jakiej człowiek dopuszcza się wobec zwierząt, zmuszając je do wykonywania cyrkowych sztuczek, mających bawić publiczność. Jego obserwacje w tym zakresie nawet dziś, po niemal stu latach od wydania książki, są tak obrazoburcze, że trudno znaleźć wydawcę gotowego wznović tę piękną – nie tylko ze względu na szatę graficzną – i tak głęboko humanistyczną książkę.

Niedźwiedzie, uwiązane do słupów,
dreptały niespokojnie, w kółko,
dzwoniąc łańcuchami i złymi
oczkami zerkając spode łba na ludzi.
Mruczały gniewnie, a na czarnych
wargach ich osiadła biała piana.
Małpki, po zdjęciu z nich ubranek,
miotły się po klatce, krzycząc
przeraźliwie i szczypiąc nawijające
się im pod rękę towarzyszki [...].
Stary Żako i wspaniała barwna ara
skrzeczały wniebogłosy i niezgrabnie
wymachiwały skrzydłami [...].



KARTKI PANA FERYDYNANDA



POGROMCA CYRKU

Żuraw Gogo stał na jednej nodze,
nachmurzony, pogrążony w ciężkiej,
przykrej zadumie [...].

Nikt z właścicieli zwierzyńca lub
sług nie zwracał uwagi na humory
czworonożnych i skrzydlatych
„artystów”. Już bowiem przywykli
do tego, że zwykle po przedstawieniu
zdenerwowanie ogarniało
zwierzęta i ptaki.

Skąd wypływało to podrażnienie –
o tym ludzie nie myśleli wcale.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Zwierzyniec

KOCHANY TATUŃCIO

Kochany Tatuńciu,

przesyłam mały instrumencik
do wiecznego pióra, aby
Tatuńcio wiecznie o mnie
pamiętał, że serce moje jest
przywiązane do Tatuńciowego
jak ten ołówek, mocno i stale.

Całuję mocno Nina B.

Ten krótki liścik, napisany starannym pismem na szarym papierze, z kanciastym monogramem NB, znajduje się w bogatym zbiorze listów, jakie otrzymywał pisarz, zakupionym przez Muzeum Literatury w Warszawie.

Witold S. Michałowski w książce *Wielkie safari Antoniego* O. wspomina o spotkaniu, na które zaprosił go „nadzwyczaj rosy rencista z Kędzierzyna” twierdzący, że jest wnukiem słynnego pisarza. Dysponował on nawet dokumentem urzędowym potwierdzającym jego pochodzenie w postaci wydane go we Wrocławiu w 1952 roku odpisu aktu urodzenia swojej matki – Bianki Aliny Elżbiety Ossendowskiej, która przyszła na świat 18 grudnia 1928 roku w Wilnie jako córka Antoniego Ossendowskiego i Blandyny Brochwicz-Broszkiewicz. Michałowski dostrzegł nawet znaczne podobieństwo między pisarzem a jego rzekomym wnukiem, ale nie uwierzył w mające ich łączyć pokrewieństwo. Najprawdopodobniej jednak się mylił, bo Ossendowski pod koniec lat dwudziestych minionego wieku rzeczywiście miał romans z Blandyną Broszkiewicz, a owocem ich miłości była urodzona w Wilnie pod koniec 1928 roku córka, której na chrzcie nadano imiona Bianka Alina Elżbieta.

List od Niny B. do „Kochanego Tatuńcia” zdaje się potwierdzać ojcostwo Ossendowskiego. Nina mogła być przecież spieszczeniem imienia Alina. Litera B to zaś inicjał nazwiska rodzowego oraz herbowego jej matki, Blandyny Bronisławy Broszkiewicz herbu Brochwicz, córki Piotra Pawła Broszkiewicza i Antoniny Braun. Jak informuje strona genealogiczna Geni.com Blandyna urodziła się 14 grudnia 1902 roku, miała więc 26 lat, gdy urodziła córkę. Panna Broszkiewicz, nie chcąc komplikować życia ukochanemu mężczyźnie, który był wówczas żonaty, zarejestrowała córkę pod swoim panieńskim nazwiskiem i stąd w liściku podpis Nina B. Dziewczynka w 1932 roku, na jaki datowany jest liścik, miała cztery latka. Treść elegancko napisana została zapewne przez jej matkę, dziecięcą rączką uczyniony był jedynie koślawy podpis. Pokazuje to, że Ossendowski pozostawał w stałym kontakcie zarówno ze swoją córeczką, jak i jej matką. Być może tęsknotą za nimi wytłumaczyć należy częste wyjazdy pisarza na północne Kresy.

Jest jeszcze jeden dowód, nazwijmy go literackim, na to, że w 1928 roku Ferdynand Ossendowski został ojcem. Pisarz, który nie mógł przebywać z ukochaną córką, starał się jej to wynagrodzić swoimi książkami. Przed 1928 rokiem w jego twórczości nie znajdziemy żadnego utworu dla dzieci, po tej dacie pojawia się ich mnóstwo. Najpierw są to opowieści adresowane do młodych czytelników, jakby się obawiał, że nie zdąży opowiedzieć swojej córce tego, co przeżył i co było dla niego ważne: *Życie i przygody małpki* (1929), *Mali zwycięzcy. Przygody dzieci na pustyni Szamo* (1930), *Czao-Ra. Opowieść północna* (1931), *Zwierzyniec* (1931), *Daleka podróż*

boćka (1932), *Narodziny lalki* (1932), *Przygody Jurka w Afryce* (1932), *Słoń Birara* (1932), *Staś emigrant* (1932), *W krainie niedźwiedzi* (1932), *Skarb wysp Andamańskich* (1935). Później natomiast wydaje liczne zbiory opowiadań, jakby dedykowane do czytania kilkuletnim dzieciom, takim jak Nina: *Aldo* (1936), *Bajeczki-niebajeczki* (1936), *Czarnoskórka* (1936), *Dimbo* (1936) *Drobnoludki i inne dziwy* (1936), *Grzmot* (1936), *Kosmacz* (1936), *Kraczka* (1936), *Miś i Chocha* (1936), *Popielatka* (1936), *Rudy zbój* (1936) czy *Szympaniczka* (1936).

Ossendowski był mężczyzną bardzo stałym w uczuciach. Jego młodzieńcza miłość do Zofii Iwanowskiej nie wygasła pomimo upływu dwóch dekad rozłąki i małżeństwa zawartego z pierwszą żoną, Anną Bogulubską. Podobnie rzecz się miała z afektem do Blandyny Brochwicz-Broszkiewicz, która miała zostać jego trzecią żoną. Zaledwie miesiąc po śmierci małżonki Zofii Iwanowskiej, która zmarła 29 września 1942 roku, pisarz pojawił się w kancelarii parafii świętego Jakuba przy placu Narutowicza w Warszawie, gdzie w obecności świadków, księdza profesora Jana Sałamuchy oraz księdza Jana Kowalskiego, sporządzony został akt jego nawrócenia z wyznania ewangelicko-augsburskiego, w którym poślubił Zofię, na rzymski katolicyzm. W warunkach okupacyjnych, będąc wdowcem dysponującym aktem zgonu legalnej małżonki, mógł liczyć na zawarcie nowego małżeństwa w Kościele katolickim.

Ostatnia miłość Ferdynanda Ossendowskiego była gorąca i... odwzajemniona. Najlepiej świadczy o tym fakt, że gdy w 1952 roku Blandyna Broszkiewicz, mieszkająca już we Wrocławiu, odtwarzała akt urodzenia córki, w rubryce przeznaczonej na nazwisko ojca, umieściła Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. Zrobiła to w czasie, gdy książki pisarza były usuwane z bibliotek, jego nazwisko trafiło na indeks, a przyznawanie się do związku z nim nie mogło przynieść nic poza problemami. W stalinowskiej Polsce była to nie tylko deklaracja prawdy i wielkiej miłości, ale także dużej odwagi.

OSSENDOWSKI TOUR



Nad Czeremoszem, w Kutach, niedaleko mostu kolejowego, stoi dworzec, dokoła brzmi mowa polska, a zewsząd wdziera się tam cywilizacja autobusów, kinoteatrów, radia, dancinów, sportów. Kościoły katolicki, ormiański i cerkiew odcinają się malowniczo na tle okolicy. Barwne są jarmarki miejscowe, gdzie można nabyć wytworną ceramikę huculską, kilimy, bogate keptary żabiowskie i bukowińskie, siodła, taszki i laski. Uskoki okolicznych gór, niby olbrzymi parawan kilimowo-barwny w lecie i biało-czarny w zimie, broni Kut przed zimnymi podmuchami wiatrów. Dojrzewają tu więc wspaniałe owoce, melony, wino i orzechy włoskie. Z Kut autobusem turysta dostać się może piękną drogą do Kołomyi, gdzie Władysław Jagiełło założył klasztor Dominikanów. Istniały tu niegdyś zamek, mury i wieże obronne, lecz znikły bez śladu w zawieruchach wojennych. Handlowe to i rojne miasto, ozdobione pomnikiem Józefa Piłsudskiego, który porwał Huculszczyznę i Pokucie do walki o wolną Polskę. Nowe czasy wycisnęły swój ślad, wzniosłszy w mieście piękne gmachy nowoczesne.

Na początku lat trzydziestych XX wieku światowy kryzys gospodarczy dopadł także „jednoosobową działalność literacką” Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. Przedsiębiorczy pisarz nie załamał jednak rąk, lecz pomyślał o przebranżowieniu. Jako doświadczony podróżnik, sławny na całym świecie, a przy okazji doskonały gawędziarz, postanowił zarabiać jako przewodnik wycieczek krajoznawczych. Oczywiście nie zamierzał zostać zwyczajnym przewodnikiem, ale najlepszym, a przynajmniej najdroższym w Polsce, Europie, na świecie.

Swoje usługi zaproponował największemu krajowemu potentatowi turystycznemu – Polskiemu Biuru Podróży „Orbis”, a jego oferta okazała się tak kusząca, że wkrótce w ofercie popularnego tour operatora pojawiły się wyprawy organizowane i prowadzone „pod naukowym kierownictwem światowej sławy podróżnika i powieściopisarza Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego”.

Oferta turystyczna pana Ossendowskiego adresowana była przede wszystkim do turystów z segmentu premium, których stać było na zapłacenie za wyprawę w towarzystwie pisarza-celebryty. Nie były to wyjazdy tanie, bo na przykład trzydniowa wycieczka do Białowieży kosztowała osiemdziesiąt złotych, co stanowiło połowę miesięcznego wynagrodzenia robotnika przemysłowego. Jeszcze droższa była podróż „na polską Riwierę i do Rumunii”, której program przewidywał „krótkie spacerunki po okolicach Zaleszczyk, zwiedzanie Worochty, piesze wycieczki na masyw Czarnohory do Żabiego i pobyt w Jaremczu nad Prutem”. Ossendowski liczył, że uda mu się stworzyć stałą ekipę podróżniczą, z którą będzie regularnie jeździł po Polsce, pokazując jej kolejne regiony. Przygotował siedemnaście tras turystycznych, między innymi na Wileńszczyznę, nad poleskie rozlewiska z noclegami na kempingu, nad jeziora augustowskie, a także rejs statkiem po Wiśle czy wyprawę na Pomorze.

Ossendowski, jako doświadczony przedsiębiorca, zadbał także o swoje finanse. Wynegocjował sobie wynagrodzenie w stawce premium. Tour operator zgodził się dzielić z nim dochodami i wypłacać mu 50% zysku osiągniętego na każdej zrealizowanej przez niego wyprawie.

Plany pisarza związane z rozwijaniem oferty turystycznej o dziesięciolecie wyprzedzały rynek, bo już w latach trzydziestych ubiegłego wieku planował zorganizowanie ekskluzywnej wyprawy dedykowanej szczególnie wymagającym klientom. Wieść ona miała „Szlakiem Fenicjan, Rzymian, Tuaregów Sahary (przez morze, góry, stepy i pustynię do serca Afryki)”. Obszerny prospekt reklamowy gwarantował liczne atrakcje, a sam sposób podróżowania zachwycał, bo uczestnicy mieli przemieszczać się statkami, pociągami, autobusami, końmi, wielbłędami, samochodami oraz... czołgami. Takie atrakcje trudno znaleźć nawet wśród ofert współczesnych biur

podróży. Żałować tylko wypada, że nie zebrała się odpowiednia grupa chętnych, by wyruszyć na taką wyprawę, bo stanowiłaby ona dla pana Ferdynanda zarówno źródło dochodów, jak i inspiracji do kolejnych opowieści ze szlaku.

KARTKI PANA FERDYNANDA



Dolina Świcy w Karpatach, ilustracja z książki *Karpaty i Podkarpacie* Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego

OSSENDOWSKI TOUR

WILLA OSSENDÓWKA

W tym domu przebywał w latach 1932-1938 Ferdynand Antoni Ossendowski (1876-1945). Honorowy Obywatel Miasta Nieszawy – 1933. Polski pisarz. Publicysta. Podróżnik. Doktor nauk chemicznych. Członek Akademii Francuskiej.

Władze i Mieszkańcy Nieszawy
Tablica pamiątkowa



Willa Ossendówka w Nieszawie
(widok z okresu międzywojennego)

Niewielka tablica z czarnego kamienia, poświęcona Ferdynandowi Ossendowskiemu, umieszczona jest na niezbyt okazałym budynku przy ulicy Bulwary 34 w Nieszawie, z niego roztacza się piękny widok na wolno płynącą poniżej Wisłę. Dom ten przez pokolenia należał do rodziny Iwanowskich, a w czasie, kiedy zamieszkiwał w nim pisarz, właścicielką była jego teściowa – Amelia Iwanowska.

Nieszawa była wówczas spokojnym, niewielkim, prowincjonalnym, nieco podupadłym miastem. Jego degradacja nastąpiła po powstaniu państwa polskiego, gdy zmienił się przebieg granic, a Nieszawa nie leżała już na granicy rosyjsko-niemieckiej, ale na ziemiach polskich, pomiędzy Włocławkiem a Ciechocinkiem. Jej wcześniejszy dobrobyt wiązał się bowiem z funkcjonowaniem komory celnej, obsługującej przejście graniczne. Zlikwidowanie granicy spowodowało, że mieszkańcy przestali czerpać – legalne, półlegalne i całkiem nielegalne – dochody z handlu przygranicznego.

Władze miejskie w fakcie osiedlenia się w miasteczku jednego z najsłynniejszych pisarzy i podróżników dostrzegły szansę na promocję Nieszawy i ściągnięcie do niej nowych mieszkańców, a przede wszystkim nowych inwestorów. Postanowiono uczynić z pana Antoniego nieformalnego ambasadora Nieszawy, a żeby miał do tego formalny tytuł, już w 1933 roku – *w uznaniu zasług i dużego wkładu w pomnażanie dorobku kulturalnego miasta* – uczyniono go honorowym obywatelem Nieszawy, a także patronem dotychczasowej ulicy Szkolnej.

Państwo Ossendowsky w miarę swoich możliwości starali się pomnażać dorobek kulturalny miasta, wspierać miejskie instytucje i dbać o dobre relacje z mieszkańcami. Pani Zofia przekazała część odziedziczonego majątku miejscowemu sierocińcowi, ufundowała nowy sztandar dla tutejszej straży pożarnej, a przede wszystkim regularnie organizowała otwarte koncerty w kościele farnym. Pan Ferdynand przekazał miejscowej bibliotece wiele książek ze swojego księgozbioru oraz wygłaszał w niej wykłady i pogadanki o swoich podróżach, zbierała się na nich cała lokalna śmietanka towarzyska. W latach trzydziestych pisarz przewiózł do Ossendówki większość swoich książek oraz prywatne archiwum, a opiekę nad nim powierzył miejscowemu bibliotekarzowi i notariuszowi, pułkownikowi Edmundowi Kaczkowskiemu, z którym był bardzo zaprzyjaźniony.

W Ossendówce gościli liczni znajomi właścicieli, a wśród nich pisarka Zofia Kosssak-Szczucka czy pisarz Kornel Makuszyński, którego pomysłem była nazwa nadana willi. Ossendowsky bardzo lubili spędzać letnie miesiące w Nieszawie, doskonale tutaj wypoczywali, lubili wybierać się na długie spacery do pobliskiego Ciechocinka, gdzie pan Ferdynand leczył reumatyzm, jakiego nabawił się w trakcie swojej azjatyckiej eskapady.

W 1937 roku spotkało ich jednak bardzo przykre zdarzenie. Nieznani sprawcy włamali się do willi i splądrowali jej wnętrza. Ossendowski był tym bardzo oburzony i publicznie twierdził, że było to włamanie na zlecenie. Świadczyć o tym miał fakt, że złodzieje nie zainteresowali się cennymi trofeami myśliwskimi pisarza, jego kolekcją broni, wartościowymi obrazami ani kompletami srebrnych sztućców, a rozbili jego biurko oraz stojącą obok zamykaną szafkę, jakby nie chodziło im o łatwe wzbogacenie się, a o zdobycie konkretnej rzeczy, której bardzo intensywnie poszukiwali. Brak informacji o utraceniu jakichkolwiek cennych przedmiotów na nowo ożywił dyskusję na temat mapy prowadzącej do skarbu Krwawego Barona, jaką rzekomo posiadać miał Ossendowski. Biorąc pod uwagę umiejętności marketingowe i fantazję pisarza, nie można wykluczyć, że to on sam sprokurował włamanie, by ożywić zainteresowanie swoją osobą i zmotywować wydawców do podpisywania z nim nowych umów wydawniczych.

Ossendowski o sprawie włamania często wspominał przy różnych okazjach. W jednym z felietonów niepochwlebie wyraził się o mieście, które nie jest w stanie zabezpieczyć mieszkańców, a nawet swoich honorowych obywateli, przed nocnymi rabunkami. Władze miejskie poczuły się tym niesprawiedliwie dotknięte i zażądano przeprosin od pisarza. Ten wówczas oświadczył, że wobec takiego żądania rezygnuje ze wszystkich przyznanych mu przez miasto tytułów i splendorów. To publiczne zrzeczenie nie miało jednak żadnych dalej idących konsekwencji, a spór miał wyłącznie charakter medialny. Ossendowski nadal regularnie odwiedzał Nieszawę i brał udział w wydarzeniach organizowanych przez władze magistrackie.

Mieszkańcy Nieszawy także dbali o podtrzymywanie dobrych relacji z Ossendowskim. Przykładem tego jest uroczystość, która odbyła się 21 sierpnia 1938 roku i szczególnie wzruszyła panią Zofię. Męska drużyna harcerska, działająca przy Szkole Powszechnej im. Stanisława Staszica w Nieszawie, postanowiła uczynić swoim patronem jej syna, piętnastoletniego harcerza, Zygmunta Karola Płoszko, który w sierpniu 1920 roku zginął w bitwie pod Ossowem. Nieszawscy skauci przygotowali wspólną akademię poświęconą nowemu patronowi, podczas której były gawędy, przemówienia, wspomnienia, wiersze i pieśni patriotyczne. Wieczorem zaś w kościele farnym specjalny koncert skrzypcowy na cześć młodego bohatera zagrała jego matka – Zofia Ossendowska.

Ossendówka zachowała się do czasów nam współczesnych, w niczym jednak nie przypomina willi sprzed wojny, a gdyby nie tablica, trudno byłoby się w niej dopatrzeć przedwojennych rysów. Przebudowano ją, ocieplono styropianem, uproszczono elewację, a wnętrze podzielono na cztery mieszkania komunalne, w których zamieszkali lokatorzy. Szansa na przywrócenie budynkowi przedwojennego blasku i sznytu pojawiła się na początku lat dwudziestych minionego wieku. Pojawili się wówczas w Nieszawie spadkobiercy rodziny pisarza – wnuczka i wnuk jego żony, Zofii Ossendowskiej, którzy chcieli odzyskać nieruchomość i urządzić w niej muzeum, a przynajmniej izbę pamięci. Niestety, w wyniku opieszałości, a potem manipulacji urzędników, budynek został skomunalizowany, a spadkobiercy muszą dochodzić swoich racji przed sądem, co pewnie nadmiernie nie zdziwiłoby Pana Ferdynanda, którego sprawy niejednokrotnie musiały być rozstrzygane przez sąd.

BARD POLESIA



Wszystkie fotografie w tym rozdziale pochodzą z książki *Polesie* autorstwa Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego

W środku Europy, w XX wieku,
tak bardzo dziwny, egzotyczny kraj!
Uczeni badacze i chciwi poznania
naszej planety podróżnicy
przeniknęli wszędzie niemal.
Himalaje i ponura „równina tysiąca
dymów”; odgradzony od świata,
tajemniczy Tybet; dżungla nad
Amazonką i Nigrem, mroźna
pustynia pobraża północnego
Oceanu Lodowatego i Antarktyda;
Nowa Gwinea i rozrzucone na
południowym Pacyfiku pojedyncze
lub zgrupowane wyspy – wszędzie
dotarł już zwalczający wszystko
biały człowiek, zbadał i opisał
szczegółowo. I rzecz dziwna –
we własnej siedzibie jego pozostał
kraj mało znany, pod wielu
względami zagadkowy, trudno
dostępny i w znacznej swej części –
prawie niezaludniony!
Jest to Polesie.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Polesie



Województwo poleskie, leżące w dorzeczu Bugu i Prypeci, było w przedwojennej Polsce regionem największym, ale także najbardziej zacofanym cywilizacyjnie i najrzadziej zaludnionym. W kilku miastach i kilkunastu miasteczkach żyli Polacy, Żydzi, Białorusini i Rosjanie. Wioski zagubione wśród rzek, jezior, lasów, bagien i mokradeł zamieszkiwał natomiast tajemniczy lud, posługujący się narzeczem będącym mieszaniną białoruskiego, ukraińskiego i polskiego, którego odrębny charakter ukształtowało życie w wielowiekowej izolacji. Poleszucy stanowili ponad połowę mieszkańców województwa poleskiego i grupę etniczną, w której notowano najwięcej analfabetów. Mimo ambicji modernizacyjnych i integracyjnych młodego państwa polskiego, Polesie pozostawało przez cały okres II Rzeczypospolitej synonimem obszaru zapomnianego, zacofanego, nikomu niepotrzebnego.

W latach trzydziestych minionego wieku dzika przyroda nie była jeszcze doceniana jako istotny walor turystyczny, ale traktowana raczej jako przeszkoda dla rozwoju turystyki. Dlatego zupełnie nie-

zwykle było wyzwanie, jakiego podjęli się Ferdynand Ossendowski oraz Jan Bułhak (wybitny fotografik), którzy postanowili opisać i pokazać naturalne, zachowane przez wieki piękno Polesia. Przygotowana przez nich książka *Polesie* ukazała się w renomowanej serii Cuda Polski, wydawanej przez Wydawnictwo Polskie R. Wegnera z Poznania. Jak pisał recenzent ich książki: „Oczarowani Polesiem, obudzili jego zamilkły śpiew. Poddali się urokowi krainy spowitej mroczną aurą lasów, milczących moczarów i mokradeł, nietkniętych destrukcyjną ręką cywilizacji. Tu, gdzie mieszkańcy czczą duchy przodków i opiekuńcze bóstwa, potęgą jest przyroda. To wielka kraina, w której każdy odnajdzie pierwotne echa, łączące człowieka z siłami natury”.

Ossendowskiemu jako człowiekowi niezwykle praktycznemu, zależało zarówno na opowiedzeniu o pięknie poleskiej przyrody, jak i na zarekomendowaniu Polesia jako doskonałej destynacji do odwiedzenia w czasie wakacyjnego wypoczynku lub do osiedlenia się tam i podjęcia działalności gospodarczej. Bohaterem jego opowieści była więc nie

tylko dzika przyroda, ale także ludzie, którzy tam mieszkali i starali się uczynić to miejscem najlepszym do życia. Pisał o powstających szkołach powszechnych, o meliorowaniu terenów podmokłych, a przede wszystkim o łączeniu Polesia z resztą kraju. To w tym celu wyremontowano, powstała w 1886 roku, Kolej Poleską i wymieniono jej torowiska z rozstawu rosyjskiego na europejski, odbudowano Kanał Ogiński czy przeprowadzono renowację Kanału Królewskiego. Do jednoczenia Polesia z Polską, do zamieszkania na Polesiu i gospodarczego ożywienia tego regionu poprzez organizowanie tam przedsiębiorstw Ossendowski zachęcał słowami: „Odrodzona Polska, Polska narodu świadomego swej woli życia i mocarstwowej potęgi, powołała Polesie do wspólnego wysiłku, do wielkiej pracy nad własnym szczęściem i światłą dolą”.

Wędrówka po Polesiu, pływanie łodziami po Bugu, Pinie, Morzu Pińskim oraz rzeczkach i rzeczulkach, polowania, noclegi w chłopskich chatkach – to wszystko tak bardzo zachwyliło Pana Ferdynanda, że Polesie uczynił scenografią swojej powieści

dla młodzieży. Książka *W polskiej dżungli (Polesie)* ukazała się w 1935 roku, a opowiada ona o wyprawie czwórki młodych turystów, którzy wyruszyli na wakacyjną wyprawę do krainy jezior, rzek, bagien i lasów. Podziwiają piękno dziewiczej przyrody, ale także z dumą obserwują, jak rozwija się ten zaniebdany przez stulecia region. Polesie okazuje się jednak niezwykle krainą, ani na moment nie można dać się zwieść jej bajecznemu pięknu, bo jest ona nieokiełznana i tajemnicza, pełna dzikich zwierząt oraz bezwzględnych kłusowników, łatwo zginąć wśród jej zdradliwych bagien i topielisk. Polesie to także przestrzeń magiczna, gdzie mieszkają wodzianki i inne pogańskie bóstwa, którym szacunek okazują ponurzy, milczący Poleszucy, którym jedyny kontakt z lecnictwem oferują zielarki i wędrowni znachorzy. Polesie to prawdziwa polska dżungla, w której na młodych podróżników czeka mnóstwo przygód.

SŁODKI MARKETING

Szanowny Panie!

Otrzymałszy propozycję Sz. Pana w sprawie ustąpienia wyłącznego prawa na wydanie nowej mojej powieści Panu, jako premii przeznaczonych dla pańskich klientów [...] przyszedłem do przekonania, że pomysł Pana przyczyni się do zainteresowania szerokich kół społeczeństwa książką polską i do podniesienia czytelnictwa w ogóle, gdyż książka przeczytana budzi tęsknotę za nową książką. Ponieważ troskami się wszyscy o podniesienie czytelnictwa w Polsce, uważam, że nie mogłem pominąć sposobności utorowania z pomocą projektu Sz. Pana nowych dróg dla książki polskiej. To wszystko skłoniło mnie do ustąpienia Panu i Jego firmie wyłącznego prawa do eksploataowania powieści mojej „Pierścień z krwawnikiem” dla wspomnianych wyżej celów.

Ferdynand Antoni Ossendowski
List do Adama Piaseckiego

Ferdynand Ossendowski był autorem, który pisał książki uwielbiane przez czytelników, ale także potrafił zadbać o ich odpowiedni marketing. Wielu krytyków uważało, że jego popularność opiera się w zasadniczej mierze na reklamie, bo wartość literacka dzieł była niewielka. Na polu promowania własnego czytelnictwa Ossendowski był na pewno prekursorem, któremu jeszcze długo nikt nie dorównał. Przytoczony fragment listu nawiązuje do pionierskiego kontraktu na oferowanie książek w ramach „sprzedaży związanej”, jaki pisarz zawarł... z krakowskim fabrykantem czekolady.

Jak wynika z korespondencji pomiędzy Ferdynandem Ossendowskim a Adamem Piaseckim, producentem czekolady ASTI, panowie ustalili, że przedsiębiorca uzyska wyłączność do praw wydawniczych powieści pisarza z 1938 roku *Pierścień z krwawnikiem*. Niewykluczone, że nawet napisana ona została na zamówienie „króla czekolady”. Fabuła książki zbudowana była zgodnie z regułami pisanych „romansów egzotycznych”, w jakich specjalizował się Ossendowski. Jej akcja rozgrywa się w niedostępnych Himalajach i tajemniczym Tybecie, gdzie przebywa pewien młody Polak. Jest w niej wątek sensacyjny, opisujący porwanie indyjskiej księżniczki i pościg przez dzikie tereny za porywaczami. Nie mogło się obyć bez motywu kryminalnego, związanego z tybetańskim lamą, który ma nadprzyrodzone moce, ale jest też zręcznym trucicielem. Powieść napisana była bardzo sprawnie, cieszyła się dużą popularnością wśród czytelników, a i dziś czyta się ją doskonale.

Ossendowski w przywołanym liście do producenta czekolady podkreślał, że ich kontrakt nie ma charakteru merkantylnego, a jest raczej wyrazem docenienia i podziękowania dla przedsiębiorcy, który od początku wspierał jego projekty podróżnicze. „[...] przypominałem sobie żywo pierwszy nasz kontakt. Było to wtedy, gdy przed laty z mozołem organizowałem pierwszą polską wyprawę w głąb Afryki. Społeczeństwo nasze odniosło się do tego projektu literata obojętnie lub nawet wręcz sceptycznie. Poza moim wydawcą, p. Rudolfem Wegnerem, jedynie Pan wyrażał mi swoją sympatię i chęć współdziałania, proponując mi bezinteresowne zaopatrzenie mojej ekspedycji w wyroby swojej firmy”.

Pisarz zaznaczał także, że zgadzając się na zawarcie niecodziennego kontraktu z fabrykantem, spłaca nie tylko swój dług wdzięczności, ale traktuje tę współpracę jako formę podziękowania za wspieranie polskich globtroterów. Przywołuje w tym kontekście nazwisko Kazimierza Nowaka, który na rowerze przejechał przez Afrykę, a także sławnego lotnika, kapitana Stanisława Skarżyńskiego, którzy opowiadali mu, że krakowski producent samorzutnie zaopatrzył ich w zapas swoich czekoladowych wyrobów, które bardzo im się przydały podczas trudnych podróży.

Nie wiadomo, czy pomysłodawcą tej sprzedaży związanej był pisarz, czy producent czekolady, niemniej jednak bardzo się ona obu stronom kontraktu opłacała. Każdy klient, który kupił dwie tabliczki czekolady mlecznej lub deserowej ASTI z fabryki Piaseckiego, otrzymywał talon na odebranie książki *Pierścień z krwawnikiem*. Była to bardzo nowatorska forma promocji czytelnictwa, która i dziś by się sprawdziła, bo coż może być przyjemniejszego niż książka, kawa i czekolada?



Zdjęcie z okładki
książki *Pierścień
z krwawnikiem*

POŻEGNANIE Z SANACJĄ

Szanowny Panie!

Nie widzieliśmy się nigdy i nie dzieliliśmy się swoimi myślami, które przy bliższej znajomości stałyby się zapewne – „dumami”, pełnymi troski palącej i jadowitej trwogi. [...]

Każdy, najmniejszy reportaż, umieszczony w książce Pana, żywym echem odbił się w moim sercu i obudził w nim wspomnienia tego, co przejrzałem własnymi oczyma, co przeczułem i przeniknąłem instynktem pisarza i podróżnika, przemierzając rojsty, hała [bagna], puszcze wąwozy, wierchy górskie, jary i bezkresną równinę naszych kresów, a czego z bezwzględnością chirurga w swoich książkach opisać nie mogłem, gdyż moje książki przeznaczone są jak gdyby „na wyrost”, na ten szczęśliwy okres naszej gospodarki państwowej i dojrzałości myśli politycznej [...].

Ferdynand Antoni Ossendowski
List zamiast przedmowy

List, który Ferdynand Ossendowski napisał do Józefa Mackiewicza zamiast przedmowy do jego książki *Bunt rojstów*, to zaskakująca deklaracja poglądów pisarza. W dotychczasowych publikacjach o Polesiu budował pozytywny wizerunek tego regionu, podkreślając korzystne zmiany, jakie nastąpiły w II Rzeczypospolitej. Lektura książki młodszego kolegi postawiła przed jego oczami obrazy z Polesia, których nie chciał dostrzegać, licząc, że znikną jak zła mara.

Najpoczytniejszy polski pisarz nie krył zaskoczenia prośbą Mackiewicza o napisanie słowa wstępu do jego powieści. Pozornie życzenie to mogło się wydawać całkiem zrozumiałe, każdy początkujący autor marzyłby przecież o tym, by jego powieść zapowiadała gwiazda literackich salonów. Pochodzenie Ossendowskiego z północo-wschodnich krańców dawnej Rzeczypospolitej oraz jego książki o Polesiu także wydawały się wskazywać na niego, jako najlepszego autora przedmowy. Wszystko byłoby w jak najlepszym porządku, gdyby nie fakt, że młody pisarz zupełnie inaczej niż dojrzały literat oceniał polską misję cywilizacyjną na wschodzie. Ossendowski zachwycał się rozwojem i dokonaniem młodego państwa, Mackiewiczowi nie starczało słów na ich krytykę i negatywną ocenę tego, co obserwował w największym województwie przedwojennej Polski.

Ossendowski nie uchylił się i podjął rzuconą mu przez Mackiewicza rękawicę. Jako kanwę dla swego listu wziął stwierdzenie – „tylko prawda jest ciekawa”, które z czasem zrosło się z nazwiskiem Mackiewicza. Podkreślał, że prawdziwą zasługą młodego autora jest śmiałe odsłonięcie rzetelnej prawdy o kresach. Docenił jego „gorące serce, łomocące szybkim tętnem, pełne współczucia i miłości dla ludzi zapomnianych przez wszystkich oprócz sekwestratora i rzutkich przedstawicieli «radosnej twórczości», co to wolą wpisać do «księgi bierczej» trzy złote podatku, zabrać sielawy rybakom, wspinałomyślnie pozwalając im sądzić się ze Skarbem Państwa czy z jakąś tam potężną Dyрекcją”.

Uznanie Ossendowskiego dla *Buntu rojstów* było równoznaczne z krytyką sanacyjnych rządów we wschodniej Polsce. Pisarz, który jeszcze niedawno zachwycał władze materiałami o budowie portu w Gdyni czy Centralnego Okręgu Przemysłowego, nazywając je prawdziwymi „cudami Polski”, teraz stawiał rządzącym pytania, na które „ktoś przecież, gdzieś i kiedyś zmuszony będzie odpowiedzieć uczciwie, bez wykrętów, jak i dlaczego tak marnie się skończyły górnotne, bankietowe, radosno-twórcze projekty o «drugiej Gdyni» na Dźwinie, o porcie, o bindudze drzewnej, o ekspansji towarowej, o tym oknie dla północno-wschodniej połaci Rzeczypospolitej, gdzie teraz nędza panuje i rozpacz, gdzie stoją nieodbudowane po wojnie kamienice i tworzą się nowe ruiny, gdzie padają przegniłe płoty i takie chaty [...]”.

Ossendowski obnażył także praktykę postępowania władz sanacyjnych wobec mieszkańców Polesia. Były one zupełnie głuche na ich potrzeby, nie realizowano tam żadnych poważnych inwestycji, a koncentrowały się jedynie na działaniach propagandowych. Przekonywano Poleszuków, że powinni być zadowoleni i wdzięczni władzom centralnym, za czynione dla nich starania, „bo skoro w jakiejś zatraczonej mieścinie wśród rojstów i uroczysk puszczańskich odbyło się *święto* morza, dni marzeń o koloniach, dni LOPP-u [Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej], a w puszczy nad Szpiguncem są kapitalne łosie i świetne tereny myśliwskie dla «czynników miarodajnych» z Warszawy”, to czegoż jeszcze można chcieć więcej.

Celna i dosadna krytyka Ossendowskiego, który wcześniej z entuzjazmem pisał o polskim Polesiu, bardzo zaskoczyła sanacyjne władze. Rządzący obawiali się, by słowa popularnego pisarza nie stały się początkiem ogólnokrajowej debaty nad skutecznością i efektami ich działań podejmowanych na Kresach. Ocena wypadła bowiem fatalnie, bo przez dwadzieścia lat nie tylko nie doszło do zmniejszenia dystansu pomiędzy Polską A i Polską B, ale nawet się on powiększył, a Polska B coraz bardziej staczała się w Polskę C. Władze zadziały w sposób, który wiele lat później prezydent Lech Wałęsa ujął słowami – „nie chcesz mieć gorączki, to stłucz termometr” – i uznały, że łatwiej ograniczyć krytykę, niż zmienić błędną politykę. Ocenzurowano list-przedmowę Ossendowskiego do *Buntu Rojstów*, który udostępniony został na łamach wileńskiego „Słowa” wydawanego przez Stanisława Cata-Mackiewicza, brata autora książki, a żeby nawet te, ocenzone, treści nie dotarły do czytelników, zakazano kolportowania pisma.

Ossendowski doceniał przenikliwość obserwacji Józefa Mackiewicza, który swoją książkę rozpoczął rozdziałem o błędnych ognikach, symbolizujących ostrzeżenie przed nadciągającymi nieszczęściami i niebezpieczeństwami. Stwierdził, że po lekturze *Buntu rojstów* ogniki te stały się w jego oczach jeszcze bardziej wyraziste, niepokojące, alarmujące, wzywające o natychmiastową pomoc dla mieszkańców Kresów, którzy mają nie tylko obowiązki wobec państwa polskiego, ale również prawa, wśród których najważniejszym jest prawo do godnego życia.

SŁAWA I ZAPOMNIENIE

Mam 130 tomów utworów literackich, 700 nowel, felietonów, artykułów, z przekładami na języki obce ilość moich utworów podnosi się do 1780.

Ferdynand Antoni Ossendowski
List do Leona Walkiewicza

Powyższe wyliczenie pochodzi z listu, jaki Ferdynand Antoni Ossendowski przesłał w 1939 roku do Leona Walkiewicza, prezesa Organizacji Polskich Weteranów w Stanach Zjednoczonych, w związku ze zbieraniem funduszy na zorganizowanie jubileuszu czterdziestolecia swojej pracy literackiej.

Badacze twórczości Ossendowskiego uważają, że podawane przez niego liczby są nieco zawyżone, często pojawia się natomiast informacja, że w okresie międzywojennym wydał 77 książek. *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny* (1999) wylicza z kolei, że wydano w sumie 95 książek jego autorstwa. Pamiętać jednak należy, że Ossendowski miał lekkie pióro, a za wynagrodzenie, nie zawsze nawet godziwe, podejmował się pisania najrozmaitszych artykułów, opracowań czy opowiadań, które często publikował pod pseudonimem, niepodpisane albo nie pod swoim nazwiskiem, stąd zweryfikowanie liczby faktycznie napisanych przez niego tekstów jest niemożliwe. Wiadomo, że było ich mnóstwo.

Parafrazując popularną sentencję, rzec by można, że „najtrudniej być pisarzem we własnym kraju”. Polska publiczność literacka nie jest pewna swoich wyborów czytelniczych, tym bardziej jakości rodzimej literatury, a polscy pisarze czy pisarki prawdziwą sławę w kraju zdobywają dopiero wówczas, gdy docenieni zostaną zagranicą. Przypadek Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego potwierdza

tę regułę. Mimo ogromnego uznania, jakie zdobył wśród wydawców i czytelników na całym świecie, którego wyrazem były liczne tłumaczenia i ogromne nakłady jego wydawanych książek, nie zdobył szacunku warszawskiego salonu literackiego.

Wyobrażenie o skali popularności pisarza za granicą daje anegdota o witrynie jednej z warszawskich księgarni, w której przedstawiono wizerunki najbardziej poczytnych pisarzy polskich. Fotografia Ferdynanda Ossendowskiego znalazła się wśród zdjęć Juliusza Kaden-Bandrowskiego, Ferdynanda Goetla, Marii Konopnickiej, Zofii Nałkowskiej, Elizy Orzeszkowej, Stanisława Przybyszewskiego, Władysława Reymonta, Henryka Sienkiewicza, Wacława Sieroszewskiego, Andrzeja Struga, Kazimierza Tetmajera oraz Stefana Żeromskiego. Obok każdego z portretów znajdowały się dwie informacje: pierwsza oznaczała liczbę dzieł przełożonych na języki obce, druga wskazywała liczbę języków, w jakich można przeczytać utwory autora czy autorki. Poza zasięgiem pisarskiej konkurencji był oczywiście Sienkiewicz ze swoimi książkami 564 razy przełożonymi na 27 języków. Drugie miejsce natomiast zajmował bezapelacyjnie Ossendowski, którego książki 142 razy przetłumaczono na 19 języków, czym dystansował resztę literackiego peletonu.

Do fenomenu Ossendowskiego odniósł się Jan Parandowski w *Alchemii słowa* (z 1951 roku), swojej opowieści o tajemnicach rzemiosła literackiego.

Pisał, że życie literackie stało się zbyt „przeludnione” i nikt już nie panuje nad tym, co czyta, a gusta czytelnicze kształtowane są nie przez jakość literacką dzieła, ale zbudowane wokół niego mechanizmy reklamowe. Szczególnie zasada ta odnosi się do tłumaczeń. „Przekłady [...] – pisał Parandowski – idą drogą fantastycznych nieporozumień, raz rządzi nimi spryt księgarski, to znów obrotność autorów lub koniunktura. Niepodobna żadną wyższą myślą uzasadnić takich sukcesów międzynarodowych jak Axel Munthe lub Ossendowski”.

Niewiele miejsca poświęcił Ossendowskiemu profesor Jerzy Kwiatkowski w swoim klasycznym opracowaniu *Dwudziestolecie międzywojenne*, będącym częścią *Wielkiej historii literatury polskiej*, stanowiącej fundament wiedzy studentów polonistyki. Jako że swoje opracowanie pisał w czasach Polski Ludowej (zmarł w 1987 roku), musiał ważyć każde słowo, przywracając pamięć o Ossendowskim; przedstawił go jako podróżnika i wspominkarza. Przytacza wyłącznie książkę *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*, określając ją enigmatycznie wspomnieniami z „męczeńskiej włóczęgi” po Azji Centralnej w latach 1918-1921 oraz jedną z pierwszych książek typu „wrażenia z podróży”, które zapoczątkowały bogato reprezentowany w dwudziestoleciu międzywojennym nurt reportażu „geograficznego” uprawiany przez pisarzy zafascynowanych urodą i tajemnicami egzotycznych krain.

Jeden akapit poświęcił naszemu bohaterowi profesor Piotr Kuncewicz w pierwszym tomie swej pięciotomowej historii polskiej literatury współczesnej *Agonia i nadzieja*, podczas gdy omówienie pisarza Ferdynanda Goetla zajęło mu aż cztery obszerne akapity. Pojawiający się zaraz potem wątek o Ossendowskim rozpoczął od całkowicie absurdałnego stwierdzenia: „Niemal równą sławą na świecie cieszył się inny przybysz, z dalszego jeszcze wschodu, Ferdynand Antoni Ossendowski”. Przywołał dwie pozycje Ossendowskiego: *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów. Konno przez Azję Centralną*, kładąc nacisk na skarby barona Ungerna i polemikę ze szwedzkim badaczem Svenem Hedinem, oraz *Lenina*, co do którego zauważał, że portret przywódcy światowej rewolucji, mimo że ukazany w negatywnych barwach, czynił z niego postać sympatyczniejszą niż w hagiograficznych ramotach.

Na początku XXI wieku Ossendowski jest autorem niemal zapomnianym. Profesor Anna Nasiłowska w liczącej ponad 650 stron *Historii literatury polskiej* (2019) poświęca mu jeden akapit, wspominając książkę o Leninie oraz *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*. Docenia ją jako unikalne świadectwo historyczne opowiadające o krótkotrwałym epizodzie związanym z powstaniem państwa panmongolskiego, organizowanego przez barona Ungern von Sternberga, który był człowiekiem niezwykle podejrzliwym, a obdarzył zaufaniem Ossendowskiego.

Ossendowski był prekursorem reportażu podróżniczego. Setki jego reportaży i relacji z podróży, które ukazywały się w okresie międzywojennym w polskiej i zagranicznej prasie, wydane zostały w kilkunastu książkach. Fragment relacji z konnej podróży pisarza przez Azję Centralną pojawił się w trzecim tomie *Antologii polskiego reportażu XX wieku* (2015) Mariusza Szczygła.

Nawet badacze zajmujący się zawodowo polskim reportażem – profesor Zbigniew Kopeć czy profesor Krzysztof Mroziewicz – pisząc o Ossendowskim, powtarzają stawiane mu przed stu laty zarzuty, które często wynikały z osobistych uprzedzeń jego adwersarzy, a czasem po prostu z braku lub z niepełnej wiedzy o rzeczach opisywanych przez podróżnika. W efekcie opowieści Ossendowskiego były – i nadal bywają – uznawane za nieprawdziwe, adresowane do niewyrobionej literacko ani naukowo publiczności. Próbką tej formy dyskredytowania pisarza jest zacytowany we współczesnym artykule biograficznym fragment recenzji z lat dwudziestych XX wieku, której autor, Alfred Bzowiecki pisze: „I o to jesteśmy świadkami oryginalnej sceny: ktoś galopuje sobie przez Azję Środkową i wieje dżda do mózgów tej publiczności, która wykarmiła się na mleku małpiej literatury Tarzana i w której głowach lęgą się króliki”. Obiektem profesorskich żartów stały się opisywane przez podróżnika „latające szczupaki”, które przemieszczają się pomiędzy zbiornikami wodnymi, mimo iż już dziesiątki lat temu badacze opisali ryby mające takie umiejętności i to, co przed stuleciem mogło wydawać się pisarską fantazją, okazało się naukowym faktem.

Charakterystyczna dla debaty o Ossendowskim jest wypowiedź wybitnej współczesnej reportażystki, zajmującej się zresztą pisaniem o międzywojennej Polsce, Magdaleny Grzebałkowskiej, która stwierdziła: „Nigdy w życiu nie czytałam Ossendowskiego, ponieważ on jest kompletnie zapomnianym pisarzem, ale dla wielu ludzi okresu międzywojennego był jednym z najważniejszych autorów. Kiedy się czyta biografie albo wspomnienia, to zawsze powtarza się jak mantra: dorastałem z Ossendowskim, Ossendowski mnie wykształcił [...]”.



Ferdynand Antoni Ossendowski,
przed 1939 rokiem

Obraz Stanisława Niesiołowskiego
przedstawiający Ferdynanda Antoniego
Ossendowskiego, 1931



PRZYJACIEL KSIĘCIA HOHENLOHE



Christian
Hohenlohe

**Mojego życzenia nawet
[gubernator] Frank nie jest
w stanie spełnić. Proszę
zrozumieć, jestem Polakiem.
Chciałbym, abyśmy byli
dobrymi sąsiadami... wyłącznie.**

Ferdynand Antoni Ossendowski
do wysłannika Hansa Franka

Ossendowski nie zdawał sobie chyba sprawy z tego, z jak wielkim ryzykiem wiązała się dla niego decyzja o pozostaniu w okupowanej przez Niemców Warszawie. Wiedział, że w przypadku wkroczenia Sowieci jego dni byłyby policzone, naszych zachodnich sąsiadów uważał jednak za cywilizowany naród, który toczył będzie wojnę zgodnie z międzynarodowymi konwencjami. Byli to przecież kulturalni ludzie, którzy zachwycali się jego książkami.

Inni wybitni polscy reportażyści, którzy poznali „niemiecką kulturę”, nie mieli złudzeń. Melchior Wańkowicz miał świadomość, że za to, co ujawnił podczas swojej mazurskiej wyprawy i opisał w *Na tropach Smętka*, zapadł na niego wyrok. Arkady Fiedler wiedział, że trafił na listę proskrypcyjną jako jeden z najbardziej zaangażowanych organizatorów powstania wielkopolskiego. Ksawery Pruszyński nie mógł czuć się bezpieczny jako autor książki *W czerwonej Hiszpanii* o oddziałach republikańskich walczących z generałem Franco, wspieranym przez Hitlera. Wszyscy oni opisali swoje wojenne doświadczenia w słynnych reportażach: *Bitwa o Monte Cassino* (Wańkowicz), *Dywizjon 303* (Fiedler), *Droga wiodła przez Narwik* (Pruszyński). Ossendowskiemu nie udało się wydać jego wielkiej książki o losach Polaków w okupowanej Polsce.

Przekonał się natomiast, że Niemcy są bardzo pamiętliwi. Nie zapomnieli o antyniemieckiej kampanii propagandowej, którą redaktor Anton Martynowicz rozpętał w carskiej Rosji, niwecząc plany zawieszenia broni na froncie wschodnim, mimo że dotyczyła ona kaiserowskich Niemiec. Nie wybaczyli mu też międzynarodowej kompromitacji, jaką im zafundował, preparując i upubliczniając Dokumenty Sissona, które – mimo że były falsyfikatami – przekonały światową opinię, że bolszewicy byli wspierani przez niemiecki sztab generalny. Do jego skazania wystarczyły zresztą książki, w których opowiadał o wielkości Polski i szlachetnych czynach Polaków, niweczące niemiecką propagandę o „podludziach”, którym cywilizację przynieśli dopiero teutońscy rycerze i osadnicy.

Do starych „grzechów” Ossendowskiego doszły jeszcze nowe. Okazało się, że nie jest lojalnym i posłusznym mieszkańcem Generalnego Gubernatorstwa i wspiera polskie podziemie niepodległościowe. Czynił to zapewne piórem, pisząc analizy czy artykuły, ale zakonspirowano to tak dobrze, że do dziś nie znamy nawet pseudonimów, jakimi posługiwał się w czasie wojny. Tego było już za wiele i pewnego dnia do drzwi mieszkania Ossendowskich przy ulicy Grójeckiej załomotali gestapowcy.

Butnie weszli do środka i zaczęli przeprowadzać rewizję, a właściwie robić kipsz. Zrzucali książki i bibeloty z regałów, wybebeszali szafy, po kilkunastu minutach mieszkanie wyglądało jakby przeszło przez nie tornado. Nielegalne materiały były na wyciągnięcie ręki, ale zupełnie nieoczeki-

wanie... gestapowcy stracili nimi zainteresowanie. Stali się pokorni, grzeczni i przez kilka kolejnych godzin sprząтали mieszkanie, odkładali przedmioty na miejsca, z których je zrzucili, przepraszały za uszkodzenia. Zmianę ich zachowania spowodował list, który na prośbę męża, podała im pani Ossendowska.

Jego autorem był przyjaciel Ossendowskiego, książę Hohenlohe, który spędził z polskim podróżnikiem wiele dni na wspólnych polowaniach i darzył go wielkim szacunkiem i sympatią. Gdy tylko Niemcy zajęli Polskę, zwrócił się on do gubernatora Hansa Franka, by ten odszukał literata, zapewnił mu bezpieczeństwo i udzielił wszelkiej pomocy, jakiej ten będzie potrzebował. Gubernator bez trudu odnalazł pisarza, który wraz z żoną przebywał w swoim warszawskim mieszkaniu. Jego wysłannik odwiedził osobście Ossendowskiego i przekazał mu list od księcia wraz z odręcznym dopiskiem gubernatora, który zapewniał, że pisarz znajduje się pod jego szczególną opieką, udzieli mu wszelkiej pomocy i spełni jego wszelkie potrzeby. Wysłannik gubernatora zapytał pisarza, czy ma jakieś specjalne prośby, a ten odparł, że nawet wszechmocny gubernator nie może spełnić jego życzenia, bo chciałby, żeby Niemcy byli dobrymi sąsiadami Polaków.

Wysłannik odjechał, ale list księcia Hohenlohe z osobistym dopiskiem gubernatora Franka pozostał. Korespondencję tę przeczytali gestapowcy w trakcie rewizji. Żaden nie chciał się narażać potężnemu księciu, a tym bardziej wszechwładnemu gubernatorowi. Gdy wszystko doprowadzili do porządku, grzecznie się odmeldowali. Ossendowski nie wdawał się z nimi w rozmowy. Wiedział, że krótki list, jest bardziej wymowny niż tysiąc jego słów.

KTO HANDLUJE, TEN ŻYJE...

Podjąłem się pozostania w kraju po to, by wszystko widzieć, wszystkiego doświadczyć i z czasem zrobić z tego użytek dla narodu, wyjaśniając wszystkim ludom własną rolę w odgrywanej się na świecie tragedii. Przez cały czas choroby żony nie brałem pióra do ręki, bo musiałem uganiać się za pieniędzmi, pracując osiemnaście godzin na dobę. Teraz muszę jakoś wyrównać swój budżet i znaleźć możliwość pracy literackiej.

Długa i kosztowna kuracja, szpital i operacja, a wreszcie niestety – pogrzeb żony wyprowadziły mnie z budżetu, pochłonęły wszystko, co dało się spieniężyć, i postawiły w takiej sytuacji, że nie mogę już pomagać swoim siostronom i siostrzeńcom, którzy finansowo niemal całkowicie ode mnie zależą.

Ferdynand Antoni Ossendowski
z listu do Stanisławy Witaczek

Czas okupacji był szczególnie trudny dla literatów. Wraz ze zlikwidowaniem polskiej prasy, czasopism oraz wydawnictw książkowych zniknęły możliwości zarabiania na życie pisanie. Większość pisarzy ewakuowała się na Zachód, część wybrała pobyt w strefie okupowanej przez Związek Sowiecki, nieliczni, którzy pozostali w Generalnym Gubernatorstwie, zajmowali się z reguły rzeczami zupełnie niezwiązanymi z literaturą. Maria Dąbrowska prowadziła kiosk z papierosami, a Jan Brzechwa zatrudniony był jako ogrodnik w parku Agrykola.

Dla Ossendowskiego pierwsze lata okupacji były szczególnie ciężkie, musiał zajmować się chorą żoną, a równocześnie zarabiać na utrzymanie oraz finansowanie kosztów leczenia. Było to trudne, bo nie otrzymywał pieniędzy z tantiem, z pracy pisarskiej ani ze spotkań autorskich.

Cytowany list napisał kilka dni po śmierci żony, która zmarła 27 sierpnia 1942 roku. Jego adresatką była pani Stanisława Witaczek, która przed wojną założyła i prowadziła z bratem Centralną Doświadczalną Stację Jedwabników w Milanówku pod Warszawą. Ossendowski zwracał się do niej z prośbą, podobnie jak do kilku innych firm „znanych ze swych zasad obywatelskich”, by umożliwiła mu regularny zakup jej produktów (jedwabiu) po cenach urzędowych lub tak obniżonych, że uzyska znaczny dochód, sprzedając je na wolnym rynku. Pisarz deklarował, że za towar będzie płacił gotówką przy jego odbiorze, a w swoim czasie odwdzieczy się za okazaną mu pomoc, korzystając ze swoich wpływów i możliwości, które są ogromne, choć dziś nie może z nich zrobić żadnego użytku.

List był krótki, ale doskonale skonstruowany retorycznie. Odwoływał się do uczuć patriotycznych, jakie nakazywały wspierać człowieka angażującego się w sprawy tak ważne, jak wyjaśnienie narodom powodów wojny. Rozczulał wiadomościami o wieloletniej opiece i ciężkiej pracy dla uratowania żony. Wzbudzał podziw za zaangażowanie i wyzwania podejmowane, by zapewnić byt siostronom i siostrzeńcom, którzy w rzeczywistości byli tylko figurami literackimi, bo jedyna siostra Ossendowskiego zmarła bezdzietnie i nie pozostawiła pisarzowi nikogo na utrzymaniu. Była też obietnica płatności natychmiast i gotówką. Na koniec argument, z jakim musi się liczyć każdy przedsiębiorca – deklaracja jednego z najbardziej poczytnych pisarzy na świecie, że gdy przyjdzie taka potrzeba, to wesprze dobrodzieja swoimi wpływami i możliwościami.

Ossendowski nie zarzucił też wcale pracy pisarskiej. Napisał powieść *Warszawa*, w której opisywał postawy mieszkańców stolicy przed wybuchem wojny i w czasie okupacji. Doświadczenie wojny sprawiło, że ostatecznie odwrócił się od sanacji, oceniając rządy pułkowników bardzo krytycznie, nie tylko bowiem nie zabezpieczyły państwa przed najazdem i upadkiem, ale także doprowadziły do demoralizacji znacznych grup społeczeństwa. Rękopis tej książki przechowywany jest w Muzeum Literatury i do dziś nie ukazał się drukiem.

Wkrótce jednak zakres aktywności Ossendowskiego znacznie się zmienił, literat zaangażował się w działalność konspiracyjną i odnowił swoje życie uczuciowe.

KRYPTONIM „2029”



Jan Malarski
portret Ferdynanda
Ossendowskiego,
przed 1939 rokiem

Mam twarz orangutana
i każdy gestapowiec
zidentyfikowałby mnie
w ciągu ułamka sekundy.

Ferdynand Antoni Ossendowski

Długa choroba żony na wiele miesięcy wyłączyła Ferdynanda Ossendowskiego z aktywnego życia. Skoncentrować się musiał na zapewnieniu pani Zofii odpowiedniej opieki i leczenia. Gdy zmarła, owdowiały pisarz, mimo swoich 65 lat, rzucił się w wir różnych aktywności, jakby chciał nadrobić stracony czas. Podejmował próby zajmowania się handlem, zarządzania kamienicami, pracował nad kolejnymi książkami. Przede wszystkim jednak zaangażował się w działalność konspiracyjną.

Ossendowski od wielu lat sympatyzował, a nawet współpracował z ugrupowaniami o charakterze narodowym, jednak dopiero w okupowanej Warszawie zdecydował się formalnie związać z partią narodową. W lutym 1943 roku został zaprzysiężony na członka Stołecznego Okręgu Stronnictwa Narodowego, które wraz ze Stronnictwem Pracy, Stronnictwem Ludowym oraz Polską Partią Socjalistyczną tworzyło zaplecze polityczne rządu emigracyjnego, na którego czele stał generał Władysław Sikorski. Wejście do struktur konspiracyjnych wymagało rekomendacji. Udzielił mu jej zaprzyjaźniony ziemianin, Jan Broszkiewicz, brat Blandyny Broszkiewicz, z którą Ossendowski miał córkę, wówczas już czternastoletnią.

Podając najważniejsze informacje na swój temat do szyfrowanej ewidencji, podróżnik pochwalił się znajomością ośmiu języków obcych: angielskiego, francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego, hiszpańskiego, włoskiego, a także chińskiego i mongolskiego. Było to dość ryzykowne, bo w przypadku przejęcia i odczytania tej kartoteki przez Niemców, Ossendowski zostałby natychmiast zdekonspirowany, nie było bowiem wówczas w Warszawie chyba nikogo, kto władałby tyloma i takimi językami, a wiedza o kompetencjach lingwistycznych pisarza była powszechnie znana. Szczęście, że w Stronnictwie Narodowym nadawano kryptonimy liczbowe – Ossendowski otrzymał „2029” – bo gdyby sam miał sobie wybrać pseudonim, to pewnie też byłby on łatwy do zdekonspirowania, podobnie jak jego pseudonimy literackie.

Przygotowując się do pracy konspiracyjnej, pisarz odbył specjalne szkolenie organizacyjne. Szybko awansował w podziemnych strukturach, wkrótce został sekcyjnym i sam szkolił nowych kandydatów, którymi z reguły były osoby starsze, mające wyższe wykształcenie. Jego wysokie kompetencje i pełne zaangażowanie zostało zauważone przez kierownictwo Stronnictwa Narodowego i znaleziono dla niego nowe wyzwanie. Przeszedł do Wydziału Wychowania i Propagandy, gdzie pracował w Kole Pedagogicznym, zajmującym się opracowaniem programów nauczania. Jego konspiracyjny kompan, Tadeusz Marciński pseudonim Prus z Batalionu „Gustaw”, wspominał, że pisarz w tym czasie „wykazywał młodzieńczy zapał i energię, a jego opracowania na temat kierunków nauczania młodzieży w odrodzonej Polsce miały dużą wartość”.

W strukturze Polskiego Państwa Podziemnego za edukację odpowiadał jednak Czesław Wycech ze Stronnictwa Ludowego, który był dyrektorem Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj. Ossendowski bardzo krytycznie oceniał jego działalność i oskarżał go o sprzyjanie komunistom. Intuicja i tym razem go nie zawiodła, po zajęciu ziem polskich przez Armię Czerwoną, Czesław Wycech objął tę funkcję ministra oświaty (w latach 1945-1947) w tworzoną przez komunistów Rządzie Jedności Narodowej. Niestety nie skorzystał z dorobku wypracowanego przez konspiracyjne Koło Pedagogiczne, a w kanonie lektur zamiast powieści Ossendowskiego pojawiły się książki Wandy Wasilewskiej czy Janiny Broniewskiej.

Działalność w konspiracji wzbudzała jednak w Ossendowskim strach przed aresztowaniem. Obawiał się nocowania we własnym domu i coraz częściej gościł w mieszkaniu Broszkiewiczów przy ulicy Foksal. Z czasem spędzał tam nie tylko noce, ale i całe dni. Tam też odbywały się wszystkie zebrania, zbiórki i odprawy, w jakich brał udział. Lęk przed wyjściem na warszawską ulicę pisarz tłumaczył tym, że przy jego aparycji rozpoznany zostanie bez trudu przez każdego gestapowca. Dręczyła go obawa, że w przypadku takiej wpadki, nie ocaliliby go list od księcia Hohenlohe, nawet z osobistym dopiskiem gubernatora Franka.

Biografowie pisarza podejrzewają, że strach przed Gestapo nie był jedynym powodem zamieszkania pana Ferdynanda przy ulicy Foksal. Wiązało się ono także z relacją, w jakiej był z Blandyną Broszkiewicz i chęcią spędzania z nią, a prawdopodobnie także z córką, jak najwięcej czasu. Konspiracyjni kochankowie mieli podobno plany matrymonialne, a Blandyna była tą, dla której Ossendowski nawrócił się na rzymski katolicyzm i którą chciał poślubić.

ZAPOWIEDZIANA ŚMIERĆ



Tabliczka nagrobna Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego

- Czytałeś „Ludzie, zwierzęta, bogowie”?
- Owszem czytałem. Ale co to ma do rzeczy?
- Słuchaj serdecznie. Ja wierzę święcie w to, co słyszałem od starego hutuhtu Dżetyb w Narabanczi Kure. A gdzież tu oczekiwać na znak od Ungerna? Już pewnie i ślad po nim zaginął.
- No – zauważyłem. – Teoria profesora i interpretacja wróżby jest bardzo wygodna. Jeśli Ungern zginął, to znaczyłoby, że jest pan skazany na nieśmiertelność
- Nie kpij z tej wróżby, młody człowieku. Nie kpij. Ja wierzę. Przyjdzie czas, kiedy i ty jeszcze uwierzysz (...)

Ferdynand Ossendowski chyba faktycznie wierzył w przepowiednię, jaką usłyszał z ust starego lamy w pałacu Bogda Chana. Jak zresztą miał w nią nie wierzyć, skoro w odniesieniu do barona Ungerna sprawdziła się co do joty, on zaś – w czasie swej męczeńskiej wędrówki przez Azję – widział tysiące trupów, a sam uniknął śmierci, choć wydawało się to niemożliwe.

Nie tylko pisarz znał treść tej przepowiedni, znały ją miliony czytelników książki *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*, a także uczestnicy jego spotkań autorskich. Bawił ich często anegdotą, że będzie żył wiecznie, bo skoro Krwawy Baron nie żyje, to nie może przywołać go na tamten świat. Mylił się jednak, bo 2 stycznia 1945 roku do drzwi dworku w Żółwinie zapukał ktoś, kto przedstawił się jako baron Ungern von Sternberg i stanowczo oświadczył, że musi natychmiast rozmawiać z Ossendowskim. Rozmowa trwała kilka godzin, ale zarówno jej treść, jak i faktyczna tożsamość gościa do dziś pozostaje tajemnicą.

Możliwe, że oficer przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem i faktycznie był krewnym Krwawego Barona, a chciał skorzystać z ostatniej szansy porozmawiania z człowiekiem znającym jego szalonego krewniaka. Inne wytłumaczenie odwiedzin nawiązywało do listu gubernatora Franka, a niemiecki oficer miał się pojawić z propozycją ewakuacji podróżnika do Niemiec, by ocalić go przed nadciągającymi Sowietami. Pojawiła się także relacja byłego oficera niemieckiego wywiadu – z której ten się później wycofał – twierdzącego, że proponował pisarzowi ucieczkę do Berlina, gdzie miał zostać członkiem rządu polskiego kolaborującego z III Rzeszą. Potwierdzał to jeden z polityków konspiracyjnych, który miał otrzymać od Niemców podobną ofertę, popartą stwierdzeniem, że Ossendowski już się na to zgodził.

Niezależnie od tego, kto pojawił się w wili państwa Witaczków, faktem pozostaje, że po tej wizycie stan zdrowia Ossendowskiego gwałtownie się pogorszył, co tak opisywał w swoich wspomnieniach Stefan Krzywoszewski: „Wieczorem w dworze żółwińskim zgiełk i bieganina. Do sali jadalnej, gdzie siedzieliśmy przy stole, wpada bardzo poruszony doktor Doński, troskliwy i kochany przez nas wszystkich opiekun – Ossendowski w niebezpieczeństwie. Krwotok wewnętrzny! – Nazajutrz wczesnym rankiem konsylium lekarzy. Zaordynowali natychmiastowe przewiezienie chorego do szpitala w Grodzisku. Tam krwotok wnet się powtórzył. I koniec! Pocho waliśmy Ossendowskiego w Milanówku, 13 stycznia”.

Nieoczekiwana śmierć Ossendowskiego sprawiła, że pojawiły się różne teorie dotyczące jej okoliczności. Niektórzy uważali, że przyczyną nagłej śmierci pana Ferdynanda mogło być jego otrucie

przez niemieckiego oficera. Inni sądzili, że z rozmowy z Niemcem pisarz dowiedział się, że wkroczenie Sowietów jest kwestią kilku dni. Wiadomość ta miała zaś skłonić Ossendowskiego do podjęcia decyzji podobnej jak wybór Witkacego, który we wrześniu 1939 roku, gdy Armia Czerwona zalewała kraj, odebrał sobie życie.

Pojawili się oczywiście także tacy, którzy uważali, że to sam Roman Ungern von Sternberg przybył z zaświatów, aby zabrać Ossendowskiego na drugą stronę. Tłumaczyli, że Krwawy Baron chciał ocalić przyjaciela przed straszliwymi mękami, jakie czekałyby go z rąk bolszewickich oprawców, którzy byli już coraz bliżej. Kilkanaście dni później ta ezoteryczna teoria zyskała silne potwierdzenie.

Do drzwi żółwińskiego dworku załomotali enkawudziści poszukujący pisarza. Nie uwierzyli, że Ossendowski właśnie umarł i krótko przed ich przybyciem został pochowany. Uznali, że to kolejny fortel podstępnego Polaka, który znów próbuje umknąć sowieckim oficerom śledczym. Pojechali natychmiast na cmentarz w Milanówku i nakazali grabarzowi rozkopanie grobu Ossendowskiego. Gdy okazało się, że w trumnie jest ciało niedawno zmarłego mężczyzny, nadal nie dowierzali, że są to zwłoki znienawidzonego literata. Postanowili zweryfikować jego tożsamość.

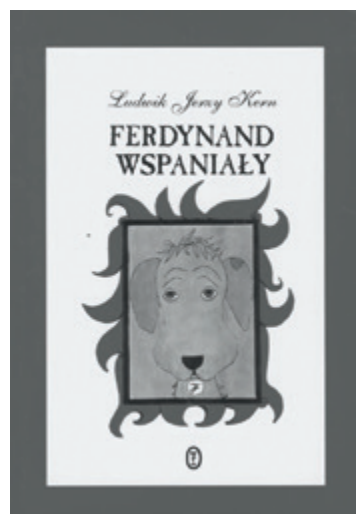
Sprowadzili na cmentarz miejscowego dentystę, poczęstowali go dla kurażu samogonem, a potem kazali mu dokładnie obejrzeć zęby zmarłego i porównać je z posiadaną przez nich kartą leczenia stomatologicznego. Dopiero kiedy przerażony lekarz potwierdził, że w trumnie znajduje się mężczyzna, którego użębienie opisane jest w dokumentacji medycznej, uwierzyli, że Ossendowski faktycznie umarł. Zezwolili grabarzowi na zamknięcie trumny i zako panie go na powrót w grobie.

Pisarz po raz kolejny umknął sowieckim mordcom, tym razem już definitywnie.

FERDYNAND WSPANIAŁY

Nagle się obudziłem i spostrzegłem, że zasnął przy biurku

Ferdynand Antoni Ossendowski
z wywiadu prasowego



Okładka książki *Ferdynand Wspaniały*
Ludwika Jerzego Kerna



Biurko Ferdynanda
Antoniego Ossendowskiego

Ferdynanda Ossendowskiego starano się za wszelką cenę wy-mazać z pamięci Polaków. Literaturoznawcy zapominali, że w okresie międzywojennym mieliśmy pisarza zaliczanego do grona pięciu najbardziej wówczas poczytnych autorów na świecie, porównywanego z Karolem Mayem, Rudyardem Kiplingiem, Jackiem Londonem czy Josephem Conradem. Jego książki sprzedały się w osiemdziesięciu milionach egzemplarzy, nakładzie, jakiego nie osiągnęli pewnie łącznie wszyscy członkowie polskiego Pen Clubu.

Po wojnie, zanim państwo komunistyczne w pełni przejęło rynek wydawniczy, ukazało się kilka książek Ossendowskiego. Zarówno te nowe, jak i przedwojenne były rozchwytywane przez czytelników. Do czasu. Wieloletni niebyt książek Ossendowskiego rozpoczął się w 1951 roku. Akcją ich usuwania z bibliotek i niszczenia kierował Antoni Słonimski, poeta i publicysta żydowskiego pochodzenia, który przed wojną należał do grupy poetyckiej Skamander i pisał kłśliwe felietony, piętnujące polskie wady narodowe, czytane chętnie przez mieszczańską publiczność. Gdy powrócił do stalinowskiej Polski, otrzymał od władz apartament w Alei Róż, pieniądze i sute kontrakty na wydawanie swoich dzieł literackich. Sam stał się aktywnym działaczem na froncie ideologicznym. Gdy Czesław Miłosz zdecydował się na emigrację, Słonimski potępił dawnego przyjaciela paszkwilem *Odprawa* opublikowanym w „Trybunie Ludu”. On właśnie, z zaangażowaniem typowym dla komunistycznych neofitów, zajął się usuwaniem książek Ossendowskiego. Nie było to zadanie łatwe, bo wydrukowano je w milionach egzemplarzy. Słonimski okazał się jednak bardzo skuteczny i na długie lata najpoczytniejszy polski pisarz międzywojnia został skazany na zapomnienie.

Książkę tę zacząłem od osobistej opowieści o moich dziecięcych poszukiwaniach profesora Ossendowskiego, który – jak wynikało z książki Makuszyńskiego i Walentynowicza – znany był nawet mieszkańcom afrykańskich wiosek, a nic o nim nie wiedziały nasze bibliotekarki. Dopiero babcia Sabina Skulska, przedwojenna nauczycielka, opowiedziała mi o tym, kim był i jakie książki dla dzieci napisał Ferdynand Ossendowski. Bardzo byłem ciekaw, jak wyglądał, a ona, kładąc palec na ustach, wyjęła ze swojej przepastnej szafy pożółkłą książkę, na której było zdjęcie pana Ferdynanda. Miał spokojną, pocziwą twarz, lekko już opadające policzki, ale jego oczy wciąż żywo wpatrywały się w czytelnika. Miałem wrażenie, jakby spoglądał na mnie, uśmiechając się nieznacznie.

Kilka miesięcy później zatrzymałem się przed księgarnią. Obejrzałem okładki książek adresowanych do nieco młodszych czytelników i już chciałem wejść do środka, gdy poczułem, że coś mi każe raz jeszcze spojrzeć na witrynę. Przebiegłem wzrokiem po oknie wystawowym i nagle go zobaczyłem. Ferdynand Wspaniały spoglądał na mnie z okładki książki Ludwika Jerzego Kerna, miał opadnięte policzki, spokojną twarz i coś łobuzerskiego w oczach. Portret z obwoluty wyglądał jak dziecięcy rysunek przygotowany na konkurs „Przedstaw ulubionego pisarza w postaci psa”.

Jestem przekonany, że pan Ferdynand byłby bardzo zadowolony i usatysfakcjonowany faktem, że Kazimierz Mikulski narysował go jako dostojnego, eleganckiego wyżła węgierskiego. Sportretowanie siebie w taki sposób potraktowałby zapewne jako wyraz

docenienia jego szyku oraz uznania dla łowieckiej pasji, bo wyżeł węgierski to doskonały pies myśliwski.

Określenie „Wspaniały”, dołączone do imienia Ferdynand, doskonale opisywało charakter, osobowość, sposób życia, a przede wszystkim aurę, jaką pisarz rozciągał wokół swej osoby. Gdyby próbować określić Ossendowskiego jednym przymiotnikiem, słowo „Wspaniały” narzucało się jako najbardziej adekwatne.

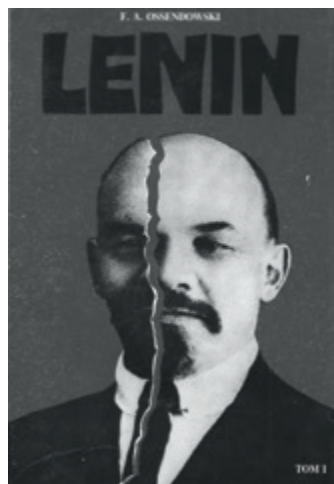
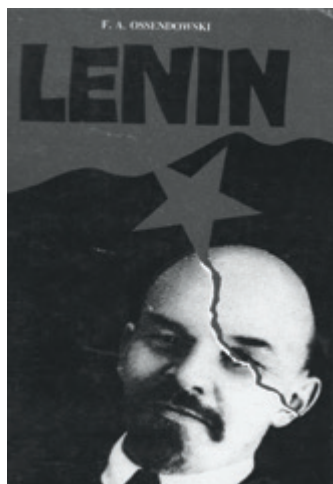
Ludwik Jerzy Kern znał Ferdynanda Ossendowskiego, obaj pisali do przedwojennego „Świerszczyka”, redagowanego przez Wandę Wasilewską, której komunizowanie wydawało się wówczas niegroźną fanaberią. Satyryk potrafił w postaci Ferdynanda Wspaniałego nakreślić najważniejsze cechy Ossendowskiego.

Książka opowiada o przygodach psa, Ferdynanda Wspaniałego, który mieszka w dużym mieście, pewnie w Warszawie, i marzy o tym, żeby zostać człowiekiem. Marzenia udaje mu się spełnić we śnie. Staje wówczas na dwóch nogach, wybiera się do krawca, który szyje mu doskonały garnitur. Ferdynand zakłada melonik i wędruje przez miasto, a jest tak przekonujący w roli statecznego mieszczanina, że przechodnie nie rozpoznają w nim psa i biorą go za człowieka.

Kontynuacją *Ferdynanda Wspaniałego* (wydanego w roku 1963) był zbiór powiązanych fabularnie opowiadań *Zbudź się Ferdynandzie* (z 1965 roku), gdzie znalazły się kolejne przygody psa, któremu wydawało się, że jest człowiekiem. W jednej z historyjek bohater staje przed sądem oskarżony o uchylanie się od płacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego; w innej wzięty zostaje za generała i ma odbierać defiladę; kolejna to opowieść o jego udziale w polowaniu na zające; ostatnia zaś opowiada o marzeniu Ferdynanda, który – żeby kupić sobie parasol – zaciąga pożyczkę w banku.

W treści opowiadań można doszukać się licznych analogii z życiowymi perypetiami Ossendowskiego. Wszelkie wątpliwości zdaje się rozwiewać puenta – Ferdynand budzi się ze snu na swej kanapie i uświadamia sobie, że wszystko, co przeżył, po prostu mu się przyśniło. Czy nie jest to doskonała parafraza słów samego Ossendowskiego, który – zmęczony ciągłymi atakami krytyków odnajdujących w jego książkach nieścisłości – odpowiadał, że przecież nie pisze rozpraw naukowych, a tylko „romantyczne opowieści o podróży”?

CZERWONA TABLETKA



Okładki dwóch tomów
książki *Lenin* Ferdynanda
Antoniego Ossendowskiego

Na frontonie widnieje tylko jedno słowo „Lenin”. Tu złożono zabalsamowane zwłoki dyktatora proletariatu. W szklanej trumnie, w wojskowej bluzie, z gwiazdą Orderu Czerwonego Sztandaru na piersi, spoczywa Lenin.

Żółta, pergaminowa skóra jeszcze bardziej podkreśla mongolskie rysy twarzy, zaciśnięta prawica, nieustępliwa i zawsze gotowa do ciosu, nie zmiękła w obliczu śmierci i pozostała jak młot kowala, burzyciela.

Zdawać się mogło, że grobowiec groźnego Tamerlana został przeniesiony z serca Azji tu, do Moskwy, gdzie panowali przez całe stulecia potomkowie Mongoła Czyngis-chana, półtatarscy kniaziowie moskiewscy, i nareszcie w wieku XX – pół-Mongoł, myślą powracający na niezmierzone stepy azjatyckie, do dzikich, górskich wąwozów, z gnieźdzącymi się w nich hordami znajdującymi tylko zniszczenie.

Ferdynand Antoni Ossendowski
Lenin

Babcia Sabina Skulska nie zdążyła mi powiedzieć, dlaczego książki Ossendowskiego zniknęły z bibliotecznych półek. Musiałem poczekać dobrych kilka lat, by to zrozumieć. W 1990 roku odwiedzający nas podczas wakacji stryj przywiózł dwa niewielkie tomy w czarno-czerwonych okładkach, na których znajdowały się portrety Lenina, ale przedarte, jakby jego postać rozpadała się tak jak zbrodnica ideologia i okrutny system, którego był symbolem.

Pamiętam, jak zacząłem pospiesznie kartkować te książki, otwierać na przypadkowych stronach i czytać zdania, jakie jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie mogłyby zostać wydrukowane w żadnym legalnie działającym wydawnictwie. Możliwość czytania tej książki, jej dostępność, sama książka wreszcie, pachnąca świeżą farbą drukarską, ze stopką wydawniczą i ISBN-em, była namacalnym dowodem upadku systemu komunistycznego, który nie był już w stanie obronić nawet swojego najważniejszego „świętego”.

Opis moskiewskiego mauzoleum Lenina przykuł mój wzrok. W niezmienionej formie, może z nieco bardziej wysłużoną mumią, funkcjonowało ono przecież przez całe moje życie, a ja setki razy widziałem je w telewizji. Co roku odwiedzały je miliony ludzi, było dla komunistów tym, czym bazylika św. Piotra dla chrześcijan – najważniejszą świątynią wzniesioną na kościach najważniejszego ucznia i pierwszego głosiciela tej „religii” bez boga. Jak to możliwe, że patrzyłem na mumię Lenina przez tyle lat i nie dostrzegałem jej mongolskich rysów?

Komunistyczna propaganda przez całe dekady budowała opowieść o wrażliwym, rosyjskim inteligencie, który pragnął poprawić byt uciemiężonego ludu i dla tego ludu wiódł życie pełne wyrzeczeń i poświęceń, a na koniec złożył ofiarę z własnego życia. O tym, jak to się zdarzyło, że pracując heroicznie dla dobra proletariatu zaraził się syfilisem, który doprowadził go do śmierci, nie mówiono.

Nie wspomniano także, że Uljanow był potomkiem barbarzyńskich najeźdźców, których co pewien czas wyrzucał wielki step, a oni wyruszali i niszczyli wszystko, co napotkali po drodze. Lenin był nieodrodnym synem Attyli, Czyngis-chana czy Tamerlana i tak jak oni znaczył swój szlak ciałami ofiar, ruinami, zgłiszczami i budzącymi grozę opowieściami.

Powiedzieć, że przeczytałem *Lenina*, to nic nie powiedzieć. Ja pochłonałem tę książkę. Była dla mnie jak tabletki, po której zażyciu opadały zmurszałe draperie komunistycznego Matrixa, wszystko stawało się jasne, a przy tym wcale nie piękne. To wówczas dopiero zrozumiałem, dlaczego Ferdynand Antoni Ossendowski został skazany na zapomnienie, a jego książki musiały zniknąć z bibliotecznych półek...

Nie przypuszczałem, że jego powrót będzie trwał tak długo.

SPIS KARTEK

Złodzieje książek	/	8
Z lisem w herbie	/	12
Z rodu Kniaziom równego	/	14
Waleczne orły	/	18
Panowie na Inflantach	/	22
Mocni ludzie	/	26
(Nie)święty Antoni	/	30
Szczenięce lata	/	32
Student z Petersburga	/	36
Przyjaciele z Wysp Andamańskich	/	38
Galery spokojnego zmierzchu	/	42
Kirgiska narzeczona	/	44
Argonauci wschodniej Syberii	/	48
Syberyjskie tygrysy	/	52
Opowieści z dalekiej północy	/	54
Przedsiębiorca wojenny	/	56
W palarni opium	/	58
Rewolucja i pogromy	/	62
Chłopcy malowani	/	64
Mister Oss	/	66
Prezydent rządu dalekiego wschodu	/	68
Oskarżony Ferdynand O.	/	72
Order dla skazanego	/	74
Starosta więzienny	/	76
Na marginesie życia	/	78
Samobójczy skok do Newy	/	80
Mistrz czarnego PR	/	82
Polarna miłość	/	86
Trzy spotkania z Rasputinem	/	90
Czerwony car	/	94
Fałszerz dokumentów Sissona	/	98

Minister w rządzie Kołczaka	/	100
Człowiek puszczy	/	102
Przez Syberię	/	104
Przez kraj odwiecznego pokoju	/	106
Przez kraj szatana	/	110
Fortele pana Ferdynanda	/	114
Żywy Budda	/	118
Spowiedź Krwawego Barona	/	122
Mongolskie przepowiednie	/	126
From Russia with love	/	130
(Dramato)pisarz Ossendowski	/	134
Robinson Crusoe XX wieku	/	136
Krótką współpraca z „Rojem”	/	140
Fundator pomnika Orląt Warszawskich	/	142
Osobisty wróg Lenina	/	144
Afrykańska podróż poślubna	/	148
Biały czarownik	/	150
Dawni ludzie, nasi bracia	/	152
Polowanie z kamerą	/	156
W pałacu afrykańskiego króla	/	158
Sokół pustyni	/	162
Polskie kolonie zamorskie	/	164
Pogromca cyrku	/	168
Kochany tatuńcio	/	172
Ossendowski tour	/	174
Willa Ossendówka	/	178
Bard Polesia	/	180
Słodki marketing	/	184
Pożegnanie z sanacją	/	186
Sława i zapomnienie	/	188
Przyjaciel księcia Hohenlohe	/	192
Kto handluje, ten żyje...	/	194
Kryptonim „2029”	/	196
Zapowiedziana śmierć	/	198
Ferdynand Wspaniały	/	200
Czerwona tabletką	/	202

**Bibliografia przywoływanych książek
Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego
[z podanym rokiem pierwszego wydania]:**

Tući nad Gangom [pol. *Chmury nad Gangesem*], Sankt Petersburg 1899.

Ljudskaja pyl' [pol. *Kurzawa ludzka*], Sankt Petersburg 1909.

Ženščiny, vostavšija i pobeždennyja. Fantastičeskaja povest [pol. *Zbuntowane i zwyciężone. Powieść fantastyczna*], Moskwa 1915.

Mirnyje zavojevateli. Povest iz žizni i dejatelnosti nemeckich špionov v Rossii, [pol. *Pokojowi zdobywcy. Opowieść z życia i działalności niemieckich szpiegów w Rosji*], Petrograd 1915.

Cień ponurego wschodu (za kulisami życia rosyjskiego), Warszawa 1923.

Najwyższy lot. Z niedawnych czasów wielkiego porywu, Warszawa 1923.

Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów (Konno przez Azję Centralną), Warszawa 1923.

W ludzkiej i leśnej kniei, Warszawa 1923.

Cud bogini Kwan-Non. Z życia Japonii [Opowiadania], Poznań 1924.

Nieznany szlakiem. Nowele, Poznań 1924.

Za chińskim murem. Romans, Warszawa 1924.

Żywy Buddha. Dramat w trzech aktach, Warszawa 1924.

Od szczytu do otchłani. Wspomnienia i szkice, Warszawa 1925.

Orlica. Powieść z życia górali wysokiego Atlasu, Warszawa 1925.

Po szerokim świecie. Nowele, obrazki i szkice z podróży, Warszawa 1925.

Torreador w masce i inne opowieści, Poznań 1925.

Czarny czarownik. Relacja z wyprawy do Afryki, Warszawa 1926.

Płomienna północ. Podróż po Afryce północnej. Maroko, Poznań 1926.

Pod smaganiem samumu. Podróż po Afryce północnej. Algieria i Tunezja, Poznań 1926.

Biały kapitan. Powieść, Poznań 1927.

Huragan. Opowiadania, Warszawa 1927.

Niewolnicy słońca. Podróż przez zachodnią połąć Afryki podzwrotnikowej 1925/1926, Poznań 1927.

Wśród czarnych. Szkice i notatki z Afryki, Lwów-Warszawa-Kraków 1927.

Na skrzyżowaniu dróg. Nowele i szkice, Tczew 1928.

Pięć minut do północy. Powieść, Poznań 1928.

Pod polską banderą. Powieść historyczna z czasów króla Zygmunta III, Lwów-Warszawa 1928.

Sokół pustyni. Powieść, Poznań 1928.

Szkarłatny kwiat kamelii. Opowieści z życia Japonii, Poznań 1928.

Lenin, Poznań 1928.

Wańko z Lisowa. Powieść historyczna z XIII w., Lwów-Warszawa 1928.

Życie i przygody małpki (Pamiętnik szympansziczki „Kaśki”), Warszawa 1928.

Lisowczycy. Powieść historyczna, Poznań 1929.

Wicher. Powieść, Warszawa 1929.

Mali zwycięzcy (Przygody dzieci w pustyni Szamo). Powieść, Lwów 1929.

Okręty zbłąkane. Powieść, Kraków 1932.

Czao-Ra. Opowieść północna, Warszawa 1930.

Gasnące ognie. Podróż po Palestynie, Syrii, Mezopotamii, Poznań 1931.

Iskry spod młota. Powieść współczesna, Poznań 1936.

Syn Beliry. Powieść, Warszawa 1932.

Trębacz cesarski. Powieść 1830-1831, Miejsce Piastowe 1931.

Zagończyk. Powieść historyczna, Lwów-Warszawa 1931.

Zwierzyniec. [Powieść dla młodzieży], Poznań 1931.

Daleka podróż boćka [Opowieść dla młodzieży], Warszawa 1932.

Narodziny lalki [Opowieść dla młodzieży], Warszawa 1932.

Przygody Jurka w Afryce [Opowieść dla młodzieży], Warszawa 1932.

Słoń Birara [Powieść dla młodzieży], Kraków 1932.

Staś emigrant [Opowieść dla młodzieży], Warszawa 1932.

W krainie niedźwiedzi [Opowieść dla młodzieży], Warszawa 1932.

Brat Walenty [Powieść], Poznań 1932.

Milioner „Y”. Powieść o dzielnym murzynku-sierocie, Warszawa 1933.

Cadyk Ben Beroki [Powieść], powstała 1932, wydana Białowieża 1992.

Afryka. Kraje i ludzie, Warszawa 1934.

Polesie [seria: *Cuda Polski*], Poznań 1934.

Pożółkły liść [Powieść], Warszawa 1934.

Złoto czerwonych skał [Opowieść dla młodzieży], Warszawa 1934.

Mocni ludzie [Powieść], Lwów 1935.

Skarb wysp Andamańskich. Powieść dla młodzieży, Warszawa 1935.

W polskiej dżungli. Powieść, Warszawa 1935.

Aldo [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Bajeczki niebajeczki, Częstochowa 1936.

Czarnoskórka [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Dimbo [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Drobnoludki i inne dziwy [Bajki], Częstochowa 1936.

Grzmot [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Huculszczyzna. Gorgony i Czarnohora [seria: *Cuda Polski*], Poznań 1936.

Kosmacz [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Kraczka [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Miś i Chocha [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Popielatka [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Puszcze polskie [seria: *Cuda Polski*], Poznań 1936.

Rudy zbój [Opowiadanie dla dzieci], Poznań1936.

Szympansziczka [Opowiadanie dla dzieci], Poznań 1936.

Postrach gór [Powieść], Warszawa 1937.
Szanchaj [Powieść współczesna], Poznań 1937.
Biesy. Powieść, Poznań 1937.
Orły podkarpackie. Powieść, Poznań 1938.
Pierścień z krwawnikiem, Kraków 1938.
Pod sztandarami Sobieskiego, Poznań 1938.
Wisła, Warszawa 1938.
Zygzyki [Powieść], Warszawa 1939.

Bibliografia ogólna:

100/XX+50. *Antologia polskiego reportażu XX wieku*, t. 3, red. M. Szczygieł, Wołowiec 2015.
Adamska G., *Dwór w Żółwinie i jego tajemnice*, Brwinów 2009.
A.Z. [Artur Załęski], *Musimy być awangardą!*, „Sybirak” 1934, nr 1.
A.Z. [Artur Załęski], *Syberia – druga ojczyzna Polaków*, „Sybirak” 1934, nr 1.
Banaszkiewicz M., *Prasa, wydawnictwa, księgarnie i polskie środowisko wydawnicze w Petersburgu*, w: *Petersburg i Polska. Zbiór esejów pod redakcją naukową Dariusza Konstantynowa*, Kraków 2016.
Barcz A., *Zmierzch cyrku w „Zwierzyńcu” Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego na tle rozkwitu kultury cyrkowej XIX wieku*, „Napis” 2014, (R. XX), s. 184-198.
Besser S., „*Płomienie*” [S. Brzozowskiego], „*Przedwiośnie* [S. Żeromskiego] i „*Lenin*” [F.A. Ossendowskiego], *trzy rewolucyjne powieści w oświeceniu filozoficznym*, Warszawa 1930.
Boy-Żeleński T., *Flirt z Melpomeną. Wieczór piąty*, Warszawa 1925.
Bystroń J.S., [recenzja *Wśród czarnych*], „Przegląd Współczesny” 1927, nr 64.
Bzowiecki A., *Sven Hedin contra Ossendowski*, „Wiadomości Literackie” 1924, nr 44.
Chruszczyński A., *Geniusz grafomanii. Rzecz o Antonim Ferdynandzie Ossendowskim*, Bydgoszcz 1995.
Czachowski K., *Antoni Ossendowski o sobie. Wywiad specjalny „Wiadomości Literackich”*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 4.
Czekalski E., *Tajemnymi szlakami rozstajnych dróg północnej Azji*, „Świat” 1924, nr 11.
Deszczyńska K., *Lenin Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego na tle wybranych literackich portretów wodza*, „Napis XXIX”, 2023, s. 179-202.
Dębnicki K., *Ludzie, zwierzęta i nowi bogowie*, „National Geographic Polska”, 2005, nr 1.
Domaniewski J., *Dzieło „naukowe” prof. dr Ossendowskiego*, „Wiadomości Literackie” 1924, nr 22.
Drozd A., *O sztuce wykorzystywania „sposobności” – słów kilka o edycjach książek Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego*, „Artes Humanae”, 2017, Vol. 2, s. 201-210.

Cztery cuda Polski, Warszawa 1939.
Karpaty i Podkarpacie [seria: *Cuda Polski*], Poznań 1939.
Jasnooki łowca. Powieść dla młodzieży, Kraków 1946.
Wacek i jego pies. Opowiadanie dla młodzieży z czasów ostatniej wojny, Kraków 1947.

Drozd A., *Tajemnice literata. Antoni Ferdynand Ossendowski a Polska*, „Biografistyka Pedagogiczna”, 2018, (R. 3), nr 1.
Filler W., *Cyrk, czyli emocje pradziadków*, Warszawa 1963.
Giżycki K., *Przez Urianchaj i Mongolię. Wspomnienia z lat 1920-1921*, Białystok 2007.
Gruszecka A., [recenzja *Zwierzyńca*], „Przegląd Współczesny” 1932.
Grzybowski K., *O Leninie*, „Przegląd Współczesny” 1930, t. 32.
Hedin S., *Ossendowski und die Wahrheit*, Leipzig 1925. Wydanie polskie Hedin Sven, *Ossendowski a prawda*, tłum. A. Polończyk, Olsztyn 2014.
Hulka-Laskowski P., *Ossendowski w Afryce*, „Wiadomości Literackie” 1928, nr 29.
Hulka-Laskowski P., *Podróż do Ziemi Świętej*, „Wiadomości Literackie” 1931, nr 24.
Jagielski S., *Epilog ostatniej tajemnicy F.A. Ossendowskiego*, „Przekrój” 1947, nr 111.
Jagielski S., *Ostatnia tajemnica Ferdynanda Ossendowskiego*, „Przekrój” 1947, nr 101 i 107.
Kijak A., *Kategoria pogranicza w twórczości Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego (na przykładzie powieści Przez Kraj ludzi, zwierząt i bogów)*, „Ruch Literacki”, 2010, (R. 51), z. 1.
Kołodziejczyk A., *Mały Londyn: Milanówek w ostatnich miesiącach okupacji niemieckiej październik 1944 – styczeń 1945 roku*, „Niepodległość i pamięć” 1995, nr 2/3.
Kopeć Z., *5 Dywizja Syberyjska w publicystyce „Sybiraka”*, „Porównania” 2018, nr 1.
Kopeć Z., *Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego (niektóre) przypadki*, w: *Zapisane. Reportaż międzywojenny interpretowany przez pisarzy i historyków literatury*, red. U. Glensk, I. Grin, Lublin 2017.
Kopeć Z., *Reportaż ekstremalny Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego*, w: *Zapisane. Reportaż międzywojenny interpretowany przez pisarzy i historyków literatury*, red. U. Glensk, I. Grin, Lublin 2017.
Krzywoszewski S., *Długie życie. Wspomnienia*, t. 2, Warszawa 1947.

Kuncewicz P., *Agonia i nadzieja. Literatura polska od 1918*, t. 1, Warszawa 1993.
Kwiatkowska I., *Stanisław Szczepan Zalewski 1858-1923*, w: *Polscy badacze Syberii*, Warszawa 2008.
Kwiatkowski J., *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2000.
Lepecki M., *U wrót tajemniczego Maghrebu*, Warszawa 1925.
Lisiewicz P., *Ojciec krokodyli*, „Niezależna Gazeta Polska”, 05 września 2008.
Lorentowicz J., *Opowieść o nowym Tamerlanie*, „Dziennik Polski” 1930, nr 147.
Louchin J., *Henryk i Stanisława Witaczkowie – rodzzeństwo, które tysiącom warszawiaków udzieliło schronienia i pomocy w popowstańczej tułaczce*, „Kronika Warszawy” 2019, nr 2.
Mackiewicz J., *Bunt rojstów*, Wilno 1938.
Makuszyński K., Walentynowicz M., *Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje*, Warszawa 1936.
Michałowski W.S., *Ossendowski Antoni*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. XXIV, Warszawa 1979.
Michałowski W.S., *Ossendowski. Podróż przez życie*, Poznań 2015.
Michałowski W.S., *Tajemnica Ossendowskiego*, Warszawa 1990.
Michałowski W.S., *Wielkie safari Antoniego O. Kim był Antoni Ferdynand Ossendowski?*, Warszawa 2004.
Mikrut I., *Pamiętniki małpki*, „Guliwer” 2013, nr 2.
Nasiłowska A., *Historia literatury polskiej*, Warszawa 2019.
„*New York Times*” o Ossendowskim, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 52.
Niewiadomski A., Smuszkiewicz A., *Leksykon polskiej literatury fantastycznonaukowej*, Poznań 1990.
Nowicki A., *Monolog cyrkowego lwa*, w: Abramowska J., *Pisarze w zwierzyńcu*, Poznań 2010.
Ossendowski F.A., *Lenin. Postscriptum*, „Wiadomości Literackie” 1930, nr 14.
Palmer J. *Krwawy biały baron*, tłum. J. Pyka, Poznań 2010.
Parandowski J., *Alchemia słowa*, Warszawa 1951.
Piekarczyk K., Pluciński K., *Wieczory czwartkowe w Pałacu Działyńskich: książka pamiątkowa wydana z okazji setnego „Czwartku” w Pałacu Działyńskich w dniu 10 marca 1938 roku*, Poznań 1938.
Piotrowski G., *Powieść biograficzna Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego pt. Lenin*, „Zeszyty Naukowe WSP w Bydgoszczy. Studia Filologiczne” 1996, nr 40.

Piskozub A., *Sven Hedin jako geopolityk*, „Przegląd Geopolityczny”, 2012, nr 5.
Pogonowska E., *Kraj „niemożliwych możliwości”, czyli o Rosji F.A. Ossendowskiego – „Cień ponurego Wschodu (za kulisami życia rosyjskiego)*, w: *Sensacja w dwudziestoleciu międzywojennym (prasa, literatura, radio, film)*, red. K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2011.
Rakowski M., *Ossendowski przywrócony*, „Nowe Książki” 2004, nr 11.
Rausz M., „*Cuda Polski*” *Rudolfa Wegnera: historia edycji*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis Studia ad Bibliothecarum Scientiam Pertinentia” 2006, t. 4.
Rytard J.M., *Podróż Ossendowskiego*, „Wiadomości Literackie” 1927, nr 3.
Słonimski A., *Gwałt na Melpomenie* [recenzja *Żywego Buddy*], „Wiadomości Literackie” 1924, nr 15.
Słowiński P., *Księżę przygody. Biografia Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego*, Warszawa 2024.
Smolarski M., *Ossendowski w oświeceniu krytyki zagranicznej*, „Tęcza” 1928, nr 1.
Starcev V., *Nienapisannyj roman Ferdynanda Ossendowskiego*, Sankt Petersburg 1994.
Stawar A., [recenzja *Orlicy*], „Wiadomości Literackie” 1926, nr 15.
Stpiczyński W., *Wyjaśnienie w sprawie tzw. prof. Ossendowskiego*, „Głos Prawdy” 1924, nr 39.
Strzyga L., *Polski Karol May przed wojną wydał 80 mln książek. PRL zmiotł go z półek*, „Dziennik Zachodni”, 5 stycznia 2012.
Talko-Hryniewicz J., *Z przeżytych dni (1850-1908)*, Warszawa 1930.
Trąmpczyński W., *Przedmowa*, w: *Syberia i znaczenie Wielkiej Kolei Syberyjskiej, podług dzieł W.J. Kowalewskiego, P.P. Semenowa, płk. Wenjukowa, Habenichtai Domanna*, oprac. G. Krahmer, Warszawa 1898.
Wańkowicz M., *Karafka La Fontaine’a*, Warszawa 1981.
Wasilewska A., *Na styku cywilizacji – Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego wizje dla Europy*, „Rocznik Towarzystwa Naukowego Płockiego”, 2016, nr 8, s. 314-323.
Wasylewski S., *Wspomnienia i szkice znad Warty*, Poznań 1973.
Zapisane. Reportaż międzywojenny interpretowany przez pisarzy i historyków literatury, red. U. Glensk, I. Grin, Lublin 2017.

Netografia:

Antoni Ferdynand Ossendowski. *Podróżnik budzący kontrowersje*, youtube.com.

Balcerkiewicz M., *Baron von Ungern-Sternberg: mongolskie bóstwo wojny w ciele rosyjskiego dowódcy*, histmag.org.

Białek A., *Ferdynand Ossendowski miał zniknąć z kart historii*, national-geographic.pl.

Bożejewicz P., *Rosja sowiecka. Złote pociągi Kołczaka*, rp.pl.

Chrzanowski W., *Ferdynand Ossendowski – człowiek, który zabrał do grobu tajemnicę skarbu Szalonego Barona*, turystyka.wp.pl.

coryllus, *Czy jest coś czego nie wiecie o Ossendowskim*, salon24.pl.

Czy Lenin był niemieckim agentem?, konflikty.pl.

Drozd A., *Tajemnice literata. Antoni Ferdynand Ossendowski a Polska*, biografistykapedagogiczna.pl.

Ferdynand Ossendowski, *drugi po Sienkiewiczu*, polskieradio.pl.

Ferdynand Antoni Ossendowski, encyklopediafantastyki.pl.

Gacek D., *Spotkania po zmroku*, polskieradio.pl.

Górecka B., *Nieszawa. Co zobaczyć w miasteczku nad Wisłą*, krajoznawcy.info.pl.

Grabowski M., *Ferdynand Ossendowski. Pisarz znienawidzony przez komunistów*, naszahistoria.pl.

Grochowski K., *Polacy na Dalekim Wschodzie*, kpbc.pl.

Jasiński K., *Baron Roman von Ungern-Sternberg. Szalony chan Mongolii*, rp.pl.

Kawecka, *Kłątwa z dna rzeki. Polak, który wiedział za dużo o wielkim skarbie*, podroze.onet.pl.

Kazimierski S., *Nieudolność czy zbrodnia*, kuriergalicyjski.com.

Koziołkiewicz E., *Robinson czy heroiczny męczennik. O dwóch wersjach najśłynniejszej książki Ferdynanda Ossendowskiego*, ruj.uj.edu.pl.

Kwiatkowska I., *Stanisław Szczepan Zaleski (1858-1923)*, archiwum.pan.pl.

Louchin J., *Henryk i Stanisława Witaczkowie – rođenjeństwo, które tysiącom warszawiaków udzieliło schronienia i pomocy w popowstańczej tułaczce*, warszawa.ap.gov.pl.

Malczewski P., *Ferdynand Antoni Ossendowski – pisarz pochowany dwa razy*, swiatsybiru.pl.

Malczewski P., *Podróż śladami Ossendowskiego*, swiatsybiru.pl.

Manteuffel G., *Lucyn w Inflantach*, polona.pl.

Masłoń K., *Drugi po Sienkiewiczu*, historia.uwamzmrze.pl.

Merta M., *Ossendowski – pisarz wyklęty*, kin-rchri-stusrex.blogspot.com.

Michalik P., *Roman von Ungern-Sternberg zwany Krwawym Baronem*, opinie.wp.pl

Michałowski W.S., *Skarb stepowego barona*, racjonalista.pl.

Michałowski W.S., *Syberyjski Lawrence*, racjonalista.pl.

Michałowski W.S., *Żywy Budda. Kim naprawdę był Antoni Ferdynand Ossendowski?*, geopolityka.net.

Orwid T., *Droga do źródeł wiary*, dobreksiazkimag.pl.

Ossendowski, *Ferdynand Antoni (1878-1945)*, katalog.fides.org.pl.

Ossendowski *Ferdynand Antoni*, w: *Encyklopedia PWN [online]*, pwn.pl.

Pettyn A., *Spór o Ossendowskiego*, tmm.net.pl.

Pilawski K., *Ossendowski nie umarł w Żółwinie*, zolwin.pl.

Piskozub A, *Ferdynanda Ossendowskiego przypadki*, geopolityka.net.

Polscy podróżnicy i badacze – Ferdynand Ossendowski, nbp.pl.

Przywracany pamięci, nieszawa.pl.

Rembikowska E., *Człowiek do wynajęcia, czyli młode lata Ossendowskiego*, szkolanawigatorów.pl.

Rzewuski P., *Ferdynand Antoni Ossendowski: przewodnik po kraju ludzi, zwierząt i bogów*, histmag.org.

Sieradzan P., *Kultura polska wobec zachodniej filozofii ezoterycznej w latach 1890-1939*. tradycja-ezoteryczna.ug.edu.pl.

Słowiński P., *Polak napisał światowy bestseller. Członek Akademii Noblowskiej zarzucił mu kłamstwa i plagiat*, wielkahistoria.pl.

Solecki M., *Poszukiwany żywy lub martwy: Ossendowski*, rodaknet.com.

Sowa T., *Zapomniany Ferdynand Ossendowski, ciekawostkihistoryczne*.pl.

Szczepaniuk M., *Cenzorzy z Ochoty*, rp.pl.

Szczucińska P., *Polski podróżnik, który uciekł z piekła. Gdy opowiedział o swojej podróży, stał się sławny*, national-geographic.pl.

Umami – Buntownik nr 1045. Antoni Ossendowski – przemysł wojenny i Daleki Wschód, szkolanawigatorów.pl.

Węgłowski A., *Antoni Ferdynand Ossendowski. Przez kraj szpiegów, fantastów i morderców*, focus.pl.

wło, skp, *Ferdynand A. Ossendowski. Pisarz demaskator*, dzieje.pl.

Zawilski M., *Antoni Ferdynand Ossendowski – pisarz, obieżyświat, antykomunista*, tysol.pl.

Zielony P., *Między reportażem a literacką fantazją. Ferdynand Antoni Ossendowski*, przystanekhistoria.pl.

Zychowicz P., *Jak Czesi zdradzili admirała Kołczaka i Polaków*, dorzeczy.pl.

Indeks fotografii i ilustracji:

Złodzieje książek, s. 8. Ilustracje z książki *Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje*, autor książki: Kornel Makuszyński, autor ilustracji: Marian Walentynowicz.

Z rodu Kniaziom równego, s. 14 i 17. Ilustracje z książki *Wańko z Lisowa*, autor książki: Ferdynand Antoni Ossendowski, autor ilustracji: Konstanty Sopoćko.

Kirgiska narzeczona, s. 47. Kirgiska panna młoda na koniu, źródło: <https://www.istockphoto.com/pl/wektor/kirgiska-panna-m%C5%82oda-na-koniu-w-afganistanie-gm821235372-132872001>.

Mistrz czarnego PR, s. 85. Banknot 10 rubli emitowany przez firmę Kunst i Albers, źródło: <https://katzauction.com/lot/90538?title=Russia---Far-East-Blagoveschensk-Kunst-and-Albers-Shop-10-Roubles-1918>.

Fundator pomnika Orłąt Warszawskich, s.142. Pomnik Orłąt Warszawskich na Powązkach Wojskowych w Warszawie, źródło: <https://forum.odkrywca.pl/topic/756959-osobliwe-pomniki-nagrobne-na-warszawskich-pow%C4%85zkach-wojskowych/page/2/>.

Willa Ossendówka, s. 178. Willa Ossendówka w Nieszawie, źródło: <https://audiovis.nac.gov.pl/obraz/118908/>.

Zapowiedziana śmierć, s. 198. Tabliczka nagrobna Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego, źródło: *Wielkie Safari Antoniego O. Kim był Antoni Ferdynand Ossendowski*, autor: Witold S. Michałowski Wyd. Iskry, Warszawa 2004, s. 285.

Ferdynand Wspaniały, s. 200. Okładka książki *Ferdynand Wspaniały*, autor: Ludwik Jerzy Kern, źródło: <https://ksiaznica.pl/ferdynand-wspanialy-p-46563.html>.



Milan Subotić

Od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zafascynowany jest twórczością Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego, którą odkrył dzięki Józefowi Czapskiemu w trakcie studiów na Université Paris-Sorbonne. Miłośnik kultury paryskiej i mol książkowy. Tysiące godzin spędził w Bibliotece Sainte-Geneviève w Paryżu, zanurzony w książkach, które mogły pamiętać samego Ossendowskiego. Zafascynowany podróżami – zarówno tymi po świecie, jak i literackimi – wciąż odkrywa nowe tropy pisarza. Zawodowo związany ze strukturami Unii Europejskiej. Prywatnie – obywatel Europy.



Paweł Cieliczko

O profesorze Ossendowskim pierwszy raz przeczytał na początku lat osiemdziesiątych XX wieku... w powieści rysunkowej o małpce Fiki Miki i wtedy rozpoczęła się jego fascynacja pisarzem, łączącym cechy Indiany Jonesa i barona Munchhausena. Studiował historię na poznańskim UAM i literaturoznawstwo w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie. Marzy o zrealizowaniu projektu „Śladami Ossendowskiego” – podróżowaniu jego tropami i opisywaniu tego, jak zmienił się, albo nie zmienił, świat przez mijające stulecie, bo podróżowanie i pisanie, to rzeczy, które lubi najbardziej.



Opieka redakcyjna

Magdalena Benali

Redakcja i korekta

Hanna Kicman

Korekta

Katarzyna Wigurska

Współpraca redakcyjna

Katarzyna Bukowska-Wcisło,
Marta Markiewicz, Agnieszka Wiśniewska

Projekt okładki i opracowanie typograficzne

Katarzyna Bukowska-Wcisło, Kornelia Nowak

Skład i łamanie

Kornelia Nowak

Zdjęcie na okładce

Ferdynand Ossendowski po powrocie z ekspedycji do Afryki, 1926
Narodowe Archiwum Cyfrowe

**Szczególne podziękowania za pomoc
w realizacji tej publikacji dla Milana Subotića**

Copyright © for this edition
by Fundacja Pro Posnania, 2025
ISBN 978-83-956559-1-3

Wydanie I

Wydawca

Mecenat



Patronat medialny

Partnerzy



Kartki Pana Ferdynanda to książka, która nie jest biografią pisarza, a raczej spacerem przez jego życie, które poznajemy przez pryzmat jego twórczości. Autor nie narzuca swojej wizji Ossendowskiego, ale oddaje mu głos, pozwala wybrzmieć jego opowieści.

Milan Subotić

Książka dostępna także jako e-book
i audiobook na stronie proposnania.org



ISBN 978-83-956559-1-3

Wydawca

Mecenat

Patronat medialny

